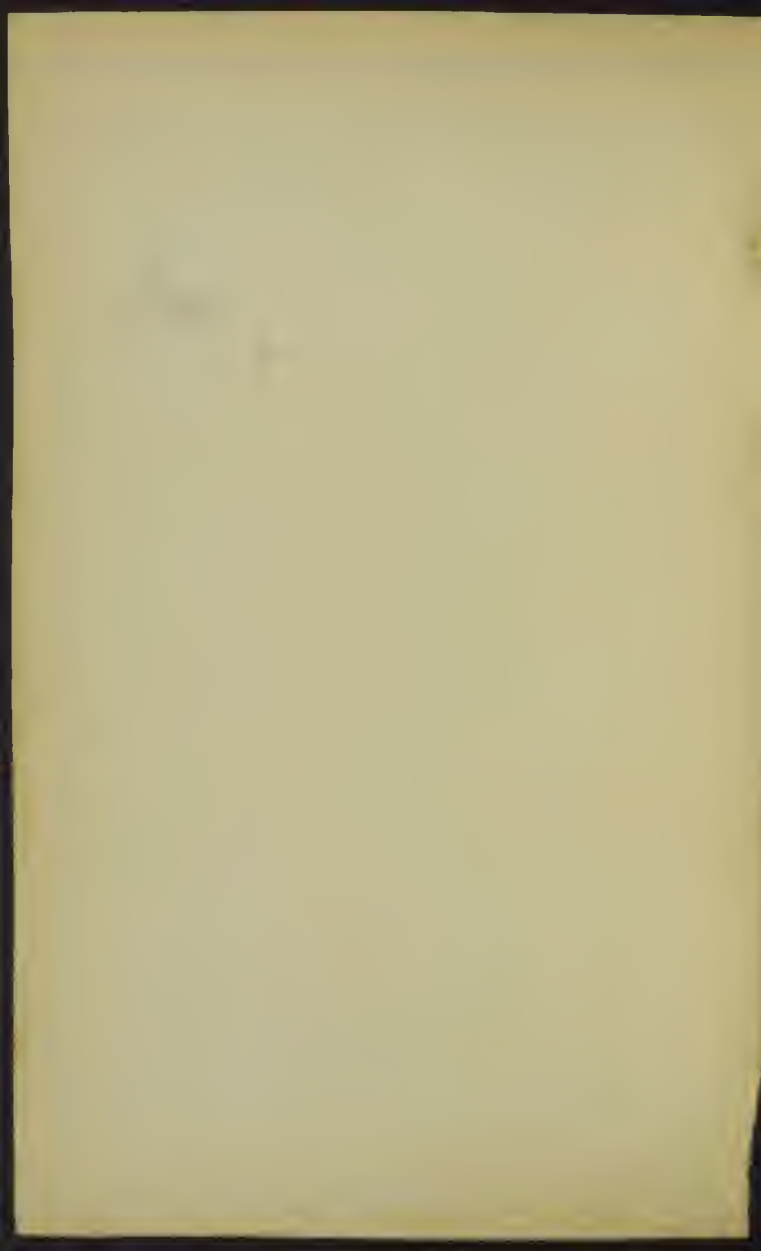


SYN JAZDONA.



SYN JAZDONA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Bolesława Wstydliwego
i Leszka Czarnego.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk J. Jeżyńskiego, Daniłowiczowska 16.

—
1897



Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Марта 1897 года.

I.

Stały lasy w śronu klejnotach jak w brylanty ubrane, jak obłubienica do ołtarza iść mająca w śnieżnej powłoczystej szacie z koroną djamentów u czoła.

Słońce zimne wyjrzało z za obłoków, tylko aby poigrać z temi tysiącami błyskotek, w których się odbijało iskrząco. I ziemia — choć niby całunem odziana, śliczną była. Z pod tego snu śmierci, czuć się dawał powrót do życia, wesół ten trup miał do wesela z martwych powstać. Można rzec było o niej — nie umarła tylko śpi.

Spała! i śniła cudnie królowa. Błękit wyblądły jak baldachin spłwiała nad głową jej się rozpościerał, obłoki się złociły, wiatr nawet ucichł szannjąc tę uroczą chwilę zimy — to rozkwitnięcie pozornej śmierci.

Na polach; jak zawsze, tyle wdzięku nie rozesało się co po lasach. W nich śmiało się wszystko łagodnym uśmiechem skostniałego żywota. Gałęzie uginały się pod ciężarem swych klejnotów, a było ich tyle, że najmniejszej trawce na brylancie nie zbywało. Szczodra dłonią sypała matka natura swe dary.

Na tem tle bieli i świecideł. wszelka barwa, co w lecie i wiosną wydawałaby się zgasłą i spłwiałą — występowała jaskrawą prawie a świetną. Mchy pyszniły się jak aksamity, zielono, majowo, oliwkowo, szkarłatem i pomarańczą. Gdzie pozostały z jesieni liście żółte i te, które zima jeszcze w szacie ich le-

tniej pochwyciła—wychodziły jak malowane. Jagódki na ziemi stały jak perły krwi nanizane na szary sznurek gałązek, wychylając się ze śniegu.

Na szacie tej zimowej, jak na białej karcie pergaminowej, widać było popisanie hieroglify i dzieje stworzeń, które jej dotknęły stopami. Pismo to było czytelne, wyraziste, jasne. Mówiło kto je namalował, zkad szedł, kto był i dokąd, a nawet po co się udał.

Cały świat tych istot, których łowcy szukają tak chciwie, ślady tu po sobie zostawił. Lekkie dotknięcie pierzchliwego zwierzęcia, ciężkie stopy dzikich, olbrzymich mieszkańców lasu, przeskoki chyżych biegunów, zdradliwe płataniny chytrych złodziei—wszystko to na śnieżystej powłoce rysowało się—niby historia dnia wczorajszego, dzieje puszczy i tych co w niej żyli. Biegle łowca oko odczytywało to pismo łatwo, a psy mu się radowali naszczekując wesoło.

Był ranek zimowy jakich mało. przecudny, cichy, spokojny, do marzenia dla starców stworzony.

Co żyło ptactwa w lesie ruszało się zwiedzione słońcem i pogodą, a powietrzem łagodnem, jak gdyby już skowronek na wiosnę zadzwonił

Wiewiórki ze spiżarni swych w dziuplach powylażyły umywać się i nakryte ogonami, stały z nastawionemi uszkami dowiadując się, czy kto nie czatuje na nie. Dość było ledwie dosłyszanego szelestu, grudki gdzieś spadającego śniegu, aby się wnet jednym schowały skokiem. Ryś na rosochatem drzewie kociemi rozglądał się oczyma, pod siebie i do koła; ranek był tak piękny, iż mógł mu pastwę wyprowadzić na przechadzkę. Z kotlin pod lasem wyglądały długie słuchy zajęcze, których właściciele, podniósłszy się na tylnych skokach, rozglądali się i nasłuchiwali także, ażali bezpiecznie było na śniadanie wyruszyć.

Nawet zbudzony zabłąkanym słońca promieniem, dobrze pod kłodą w liście zgniłe zaszyty niedź-

wieść, zaspany jeszcze, oczy ociężałe otwierał, dziwując się, że mu już wstać kazano. Wiedział on, że nie dospał, i gniewał się na słońce bałamutne mruczając, odwrócił łeb kosmaty, łapy skrzyżował pod siebie i dalej ciągnął marzenie o jagodach dojrziałych w lesie, może o barciach na sośnie.

Żubry i łosie wychodziły na przechadzkę stadami, w pewnym porządku i szyku, nie bez przedniej straży. Kozły wietrzyły także, czy się z ostępu wyraszyć godziło, i dać znać jejmościom, że się wyskakać mogą swobodnie.

Wilcy śmielsi wychodzili na polowanie i na miłosne, mięsopustne schadzki, zuchwali jak nigdy, bo dla nich była już wiosna, czas łowów, a zwłaszcza pora załotów krwawych. Wychudzone, zmęczone, najeżonem futrem okryte zbóje leśne, mniej teraz dbające o bezpieczeństwo, zuchwalśi rozstawiali głodne paszczęki, oczy buro-żółte wysyłając ua zwiaady. Czasami górą przeciągnął ptak szerokoskrzydły, pan w obłokach, zadumany, patrząc od niechcenia na ziemię, czy na niej co nie czernieje, nie ruszy się.

Rozbudziło tak słońce, co tylko żyć mogło, ludzi, co nawet najmniej na nie patrzą i o nie dbają. Po lasach, w puszczach, słyhać było szeleplące kroki pieszych, samotnych łowców i trąbki myśliwych, ujadanie psów, wesołe szczeki i koni tentent, śniegiem stłumiony, to znowu na odmiecionej, skostniałej ziemi głośniejszy—a nawoływania dalekie.

Z ukosa przedzierające się przez obnażone gałęzie promienie padały teraz tam, gdzie czasu lata nigdy nie zagładały, wciskały się w tajemnicze głębie, szpiegowały po zakątach, odżywiały, co było w mrokach zamarłe. Na śniegu złociste pasy plotły się z siwemi półcieniami, a gdzie śnieg nastrzępił się i powyszczerbiał, tam kryształy, jak na tkaninie wełnianej perły, pobłyskiwały. W zacisznych miejscach, od wiatru osłoniionych. blade promienie zmie-

niały brylanty w łzy ciche..., które padając na ziemię, głęboko w miękkie zakopywały się puchy.

Nad oparzeliskami trochę zieleni śmiało się temu słońcu, bez którego nawykło się obchodzić. Zielen to była prawdziwie zimowa, wymokła jakaś, zszarzana, zmęczona, a przecież świadcząca o życiu.

W puszczy za Wisłą, rozlegał się głos trąbki i hasła jakiegoś polowania pańskiego, które szło szumno, nie dbając, że je wrzawa zdradzi.

Na polanie stał na komu mężczyzna w sile wieku, dosyć jeszcze pięknej twarzy, ale zmęczonej, gniewnej, namarszczonej, groźnej. Pańsko a zuchwale się rozglądał.

Jedną ręką się w bok trzymał, drugą na szyi konia spარлszy—siedział na wierchowcu siłnym, krępym, jak wmurowany, jak jeździec, co nawykł więcej się koniem, niż nogami posługiwać. Odziany był w futro kosztowne, okryte fiołkowym aksamitem, popspinane na węzły złociste.

Na nogach skórznie też były futrem okładane i nabijane złotem. Trąbka z kości słoniowej w kosztownej oprawie, obuszek misternej roboty, miecz w pochwach kamieniami sadzonych, składały uzbrojenie.

Oszepepek myśliwski do ciskania miał pod ręką.

Obok niego na koniach stało kilkunastu łowczych, a kilku pieszo psy wiodło na sforach. Z boku mężczyzna brzydkiej twarzy, przekrzywionej, z nosem na bok, śniady, odziany w kożuszek lisi, stał tak namarszczony jak pan, na rozkazy jego czekając.

Lecz pan w bogatej szubie milczał zadumany, a był tak zły, że mu jego gniewy i myśli niebezpiecznie przerywać było. Wszyscy więc czekali aż się wyburzy.

Psy miały powywieszane języki, jakby już biegaly, a tylko co je na sznur pościągano, na odzieży łowców znać było, że już się przez lasy przedzierali, bo i śnieg na niej leżał, i łście, i gałęzi okrucy.

Nagle, jakby zbudzony, mężczyzna co stał na przodzie, odwrócił się do oczekującego.

— Ty psie, na cóż czekasz? Każ w ten ostęp zapuszczać, a patrz, by mi się drugi kozioł nie wysliznął, jak ten, coś mu dał z przed nosa nam pójść w las.

I pięścią mu pogroził.

Werchaniec, gdyż on to był, popatrzył ze wzgardą jakąś na mówiącego, i byłby może odpowiedział tak szorstko, jak patrzył, gdyby ludzi nie było i uszu do koła. Spojrzał na tę czeladź, wargi zagryzł, krzywiąc je obrzydliwiej jeszcze i — dał znak.

Natychmiast cała gromada się ruszyła, psy niecierpliwe ze sfor się rwać i sznury napinać zaczęły tak, że je ledwie psiarze utrzymać mogli.

W prawo i w lewo szybko ruszyli ludzie. biskup pozostał w swem miejscu jak wkuty. Werchaniecowi dał znak, aby mu dał drugi oszczepek.. który miał przy siodle.

Było to narzędzie łowieckie, którego mało kto tak umiał zręcznie używać, jak wprawny do obchodzenia się z niem oddawna biskup Paweł. Ciskał on niem czasem na odległość znaczną, a miał i taką siłę i taką wprawę, że rzadko celu chybił, mało kiedy pociskiem tym zwierza na wylot nie przeszył. Oszczep był w końcu zaostrozony żelazcem, jak bełt od kuszy; lekki i zręczny. Gdy mu go Werchaniec podał, wziął Paweł, okiem znawcy mierząc, parę razy zamachnął w powietrze i odrzuciwszy pierwszy oszczep, za haczyk przy siedzeniu na prawo go uwiesił.

Czekali aż się łowcy, którzy po cichu wyszli w głąb—oddalą. Nic słychać było nic, tylko krótkie, urywane psów trzymanych na uwięzi jęki i chód w śniegu i spadanie kropel wody, które gdzieś—gdzie słońce z gałęzi zrzucało.

Werchaniec trochę podjechał na palankę, rękę do prawego ucha przyłożył i namarszczył się gniewnie.

Coś mu tam w ucho niedobrego powiedziało powietrze.

W chwili, gdy się tak sunął na polankę dalej, z prawej strony zając spłoszony z pod pnia, stanął na tylnych skokach, spojrzął i w powolnych kilku susach szmergnął przed samym koniem Werchanca, jakby się z niego prześmiewał. Z razu pochwycił on oszczep, i chciał nań cisnąć, ale mu się sznurek zaplątał pod ręką od rogu, i nim się od niego uwolnił, już długouchy, mało co żywiej uskoczywszy, w zaroślach mu zniknął.

Łowiec zaklął okrutnie, biskup z politowaniem uśmiechnął się kwaśno.

W tem lekkie szmery na przedzie się słyszeć dały, Werchaniec stanął, biskup podjechał żywiej, wyprzedzając go na skraj lasu.

Wedle wszelkiego podobieństwa, tedy musiał zwierz wypaść na łowców.

Zachmurzona twarz biskupia, którą nie łowieckie troski porały, w chwili gdy podjeżdżał ku lasowi zmieniała się. Stał się już tylko namiętym myśliwcem, wszystko inne precz poszło z głowy. Z oczyma wgląd lasu wlepionemi, z szyją wyciągniętą, z ręką na oszczepku, pochylony na koniu czatował dech wstrzymując. Tuż stał Werchaniec obojętniejszy trochę, ale także głosem psów zagrany, który go zdala dochodził. Można było dosłyszeć, że gonią wprost na stojących, a z głosu ich biskup poznawał zwierza i oblicze zapalało mu się krwiożerczo, chciwą namiętnością dzikiego człowieka, który życie swe zdobywać musi łukiem i pociskiem.

Odczuwał się w nim prastary instynkt tych ludzi co mordercami byli dla głodu, a myśliwemi dla życia.

Któżby był w nim poznał kościelnego dostojnika i zgadł, że te usta półotwarte namiętnie, modlić się i błogosławić były powinny.

Zupełnie przeistoczony był on łowcem dawnych

wieków, dla którego walka ze zwierzem była rozkoszą i dumą.

Zaczynało szeleścić w gęstwinie. Werchaniec stał w prawo przy biskupie, jakby mu się gotował pomagać, ale w nim namiętności łowieckiej nie było, zimna krew i tem już zużzonego sługi.

Ksiądz Paweł począł drżać cały, oszczep ujął w dłoń, która mu się trzęsła ze wzruszenia. W gąszczu coraz wyraźniej, bliżej coraz bieg słychać było i rozszarpywane nim gałęzie.

Wśród drzew mignął już kozioł ogromny, tuż za nim psy coraz bliżej zawodziły. Biegł oszalały ze strachu, że się zdawał czatujących nań nie widzieć.

Werchaniec coś zmiarkowawszy po zwrocie oczów czy głowy, wysunął się dalej na prawo i stanął.

Biskup w miejsen stał wryty. Kozioł przeskoczywszy kłodę z podniesioną w górę głową, pyszny, silny, straszny swemi rogami rozłożystemi. wprost rzucił się na Werchańca. Podsmął się pod stojącego u drzewa tak blisko, że niemal otarł się o niego. Stary rzucił nań oszczepem—i chybił.

Pocisk świsnął w powietrzu i daleko zarył się w ziemię.

W mgnieniu oka, cwałem, jak oszalały biskup najechał na stojącego Werchańca i w dzikim roznamiętnieniu oszczep, który w rękę trzymał, do piersi mu cisnął.

Rozgniewaną dłonią rzucony pocisk — przeszył na wylot nieszczęśliwego, który ręką ku niemu zrobił ruch gwałtowny, jakby wyrwać go chciał, pochylił się w tył, zsunął z konia przeleknionego, i upadł na ziemię. Pocisk tkwił w nim, krew buchała z piersi i lała się ustami.

Krzyk jeden tylko, krótki, urywany dał się słyszeć, potem coraz cichsze chrapanie, kilka razy drgnął Werchaniec i wyciągnął się konając.

Biskup, który natarł nań blisko z koniem, stał oślepiały.

Namiętność, która go zbójcą uczyniła dopiero teraz na widok krwi ostygła — powracała mu przytomność. Twarz bladła i mieniła się

Nie wiedział co ma począć jeszcze, gdy już ludzie i psy gromadnie nadbiegli na polanę.

Na widok leżącego Werchańca krzycheć zaczęli, psy stanęły i ostrożnie do krwi płynącej zaczęły wyciągać języki.

Nęciła ich, odpędzać nikt nie myślał.

Myśliwi stali przerażeni jak gromem. Biskup też drżący jeszcze, z głową spuszczoną, długo nad trupem pozostał milezący.

Zwrócił się nareszcie do starszego łowczego swego Dudara.

— Przypadek się stał ~ zawarczał posępnie.— Oszczep puściłem na kozła, a ten niezdara się nawinał. Trupa wziąć na konia, uwinąwszy w płachtę jaką.

Rozkazu tego ludzie jeszcze wykonać nie pośpieszyli, gdy biskup się rozmyślił.

— Po co się wozic z tem ścierwem—zawołał— tu mu jamę wykopać i pogrześć.

Spojrzał groźnie na Dudara.

— Słyszysz, ty!

Potem na czeladź się obejrzał i głos podnosząc, dodał:

— Zginał w lesie! Język za zębami! Kto mi piśnie, dostanie mu się to co jemu!

Ręką wskazał.

— Czego stoicie? dół mu kopać żywo. Ani rogu ani nie mu nie zdejmować, nie tknąć! pogrześć go jak padł!

Łowcy, dziki lud już byli ochłonełi z przerażenia. Dudar pierwszy do trupa przystąpił, za nim inni. Straszny był ze krwią już się ścinającą w ustach, z oczyma na wierzch wysadzonemi, z gębą poczwarniej jeszcze bólem wykrzywioną. Dudar tyłem stojący do biskupa pożałował pięknego oszczepu tkwiące-

go w piersi, nogą na trupa nastąpił i oburącz go wyciągać zaczął. Ks Paweł nie rzekł nic.

Oszczep zbuczony był, więc Dudar począł go śniegiem ocierać ze krwi, a psy, cisnąc się, krew ze śniegiem lizaly.

Biskup stał na koniu, z większą grozą na twarzy, niż żalem. Zbrodnia popełniona nie budziła w nim skruchy, ale dzikszą jeszcze namiętność. Patrzał obojętnie na ludzi, spełniających jego rozkazy.

Jamę wykopać nie było łatwo w zamarzłej ziemi. Szczęściem, ludzie toporki mieli, któremi niegłęboko pod śniegiem umarzły piasek porąbali. Dalej już zamrozu nie było, dobywano rękami, wynoszono w połach ziemię, a ludzie zwijali się żywo, bo pan sam stał nad niemi. Co który spojrzał nań, ciarki po nim przechodziły.

Zaledwie dół za krótki, na lokci parę w głąb dobyto, gdy Dudar dał znak, aby wół trupa kłaść, a że się nie mieścił wyciągnięty, posadzono go w jamie i na znak dany przez łowcę, posypała się ziemia na głowę, która zwiśla na ramię, jeszcze szklanemi patrzyła oczyma. Psy stały nad grobem z wywieszonemi ozorami..

Szybko już potem poszło zasypywanie mogily i ubijanie ziemi, którą nogami deptano, dopóki się z powierzchnią nie zrównała.

Nasypano na wierzch i śniegu, aby miejsce poruszone niebardzo znacznem było. Dudar kazał jeszcze zgnilą kłodę przytoczyć, którą czeladź, oparłszy się o nią, na grób zepchnęła.

Spoczął tak Werchaniec, w grobie, którego nazajutrz trudno by się domyśleć było tym, co o nim nie wiedzieli. Tylko stratowana polana i kraj lasu, zdeptany śnieg, porozrzucane liście, świadczyły o bytności ludzi...

Wszystko się już dokonało, a biskup jeszcze się z miejsca nie ruszył. Coś go tu przykuwało, upojenie jakieś krwią, szła zbrodni. Pies ulubiony jego

podsunął mu się łaszac pod konia. Paweł w gniewie cisnął nań obnuszkiem i ubił.

Była to dla czeladzi przestroga. Wszyscy z głowami pospuszczanemi stali, jak niewolnicy, którym myśleć ani czuć się nie godzi.

Nagle ksiądz Paweł konia targnął gniewnie, szarpnął uzdą, ubódł ostrogą i nazad z lasu ku miastu się skierował. Dudar siadł na konia z obojętnością człowieka, co nieraz śmierci w oczy zaglądał, skinął na czeladź i jechał za panem.

Łowcy i psiarze nie śmieli ani szepnąć w drodze, mierzyli się oczyma.

Jeden z nich, choć pod okiem pana, gdy Werchańca do mogiły ciasnej wkładali, odczepił mu róg zrzęcznie i ukrył śpiessznie za pazuchą, drugi nóż wysunął i w but go schował. Ci idąc mieli niewiniątek twarze i wydawali się najpokorniejszymi.

Było dobrze południe, gdy z lasów się na pola wybrali, a choć po drodze ze zwierzem się spotykali, biskup ani nań spojrzal, ani ścigać kazał. Jechał tak pogrążony w siebie, iż na konia nawet baczności nie dawał. Parę razy mu się potknął mocno, skarcony został do krwi ostrogą.

Za lasem czekała przy chacie leśniczego część biskupiego orszaku.

Chata była nędzna, choć leśnik bogaty, bo naówczas z zamożnością się przed wszystkimi kryć musiano, aby nie obdzierali.

Ludzie biskupa stojący tu postrzegli zaraz, że Werchańca brakło, ale ten się często w las zagnawszy obłąkał, nie było w tem nic tak dziwnego.

Poznali tylko po obliczu pana, że łowy źle pójść musiały, bo i zwierza nie wieziono i on jechał zasępiony, a służba szła w strasznem milczeniu.

Biskup zsiadł tu z konia i do izby wszedłszy, w której go, do nóg mu padając, powitał leśnik stary, popchnął go precz od siebie i kazał grzać wino.

Dudar natychmiast się wziął do tego, bo nigdy

bez beczutki nie wyjeżdżano. Jadło odepchnąwszy, Paweł siedział i pił długo.

Na dworze pozostała służba przyparła się do płotów i woza, a na pytania, zadawane przez resztę dworu, nie odpowiadała.

— Gdzież Werchaniec?

— Licho go wie...

— Zły pan?

Głowami okazywali, że się doń zbliżać nie było bezpiecznie.

Pijąc, sparty na ręku biskup, wyjrzał razy kilka ku oknu, jakby się słońca i dnia pytał, ile ich było do wieczora.

Piękny dzień zmienił się pod wieczór w pochmurny, szara opona, śniegiem grożąca, wisiała nad ziemią. Wiatr czasami przeciągał z wyciem. Rachował pewnie ksiądz Paweł, ażeby zbyt zawczasu nie powrócić do Krakowa. Już zmierzchało, gdy znak dał, by mu konia podawano. Służba ruszyła się żwawo, mileżąca, strwożona—Dudar nią dowodził.

— No, to się gdzieś zbłąkał Werchaniec!—mruzczeni niektórzy.

Drudzy patrząc po sobie, uśmiechali się skrycie.

Jak pogrzebowy orszak, ponuro, milczący, smutnie pociągnął ów biskupi poczet ku miastu.

Ci, co byli na polanie, bali się ust otworzyć—reszta przestała pytać. Oglądano się tylko, czy Werchaniec nie napędzi. Wiatr coraz wiał silniejszy i gniły.

W tem milczeniu grobowem wjechali już nocą prawie w ulicę Wiślną, w podwórze, i biskup wprost poszedł do swej izby sypialnej. Służba rozpierzchnęła się po stajniach i psiarni. Dudar wdumany w siebie, myśląc pewnie, czy mu Werchańca zastępować nie każą i czy go kiedy ten sam los nie spotka,—stał jeszcze na podwórzu, gdy ze drzwi wybiegła, w boki się ujawszys Zonia.

— Słuchaj, ty!—zakrzyczała do Dudara—a mój gdzie?

— Albo ja wiem! Zabłąkał się!

— Coście to, nie trąbili nań?

Dudar ramionami dźwignął.

— No, słyszysz? Gdzież go lichy poniosło, nie wiesz?

— Pewno w puszczy nocuje—z trochę szyderstwa odparł Dudar, śpiesznie precz odchodząc.

Zonia polajawszy go, wróciła do izby, w której ten sam młody klecha siedział u stoła. Poczęła łąać, że jej męża zagubili.

— A co mu się w lesie ma stać, który on zna jak własną komorę? — odezwał się klecha. — Wilcy go nie zjedzą!

— Nie ukąsiliby, tak stary i twardy — odparła Zonia, śmiejąc się i siadając na ławie.

Siedzieli tak na rozmowie z klechą dobry czas, aż się pożegnał i wyszedł. Werchańcowa kręciła się po izbie, ogarniał ją niepokój jakiś.

— Ten złój to mi zawsze takiego strachu napędza — rzekła do siebie. — Niebardo mi się na co zdał, a wszelako oczy do niego nawykły..

Przeżegnała się pobożnie, pocałowała krzyż, narzuciła chustę na siebie i pobięła do dworca. Tu popytawszy czeladzi, do komory wpadła, w której biskup siedział, nogę na nogę założywszy, sam jeden, z czołem nafałdowanem.

Zobaczywszy ją w progu, odwrócił twarz.

— A gdzieżeście to mego podzieli? — ostro zapytała Zonia.—Biskup ręką zamachnął.

— Idź, jędo, idź! zawołał — w lesie został..

Popatrzyła mu w oczy.

— Cóż to jest!? — zakrzyczała. — Wszak to już nocka, a jego tak na wilki zostawiliście?

— Milcz-że i idź zkądś przyszedł! — odparł siedząc się Paweł i pięść podnosząc.—Precz, babo!

— Czegoś zły! — zamruczała Zonia, wcale się nie uląkwszy i stojąc a przypatrując mu się i niby czytając w twarzy. Biskup milczał długo.

— Jego nie ma—poczęła znowu baba po chwili—a ja tu za wszystkich starczyć muszę. Życia nie stanic. Ta wasza Kraska, łomocze się tam po swych izbach, że ją choć wiązać. Wszystkiego jej mało, królową by się chciało być. Idźcie no popatrzeć jak szaleje. A tu ja jedna i na nią i na czeladź, i na dwór.

Gdy język tak rozpuściła, biskup wstał, uogami poczał bić o podłogę, a rękami podniesionymi grożąc, wygnał ją precz z izby, z której uciekla, przeklinając.

Tego wieczora garstka wiernych Pawłowi, wesolych towarzyszków, zebrała się na wieczerzę, ale biskup, który z niemi nie pieścił się bardzo, kazał precz odprawić, powiedziawszy, że jest chory. Do dziwactw jego nawykli, poszli pasorzyeci, szydząc i rozpowiadając po ciehu, że pewnie być musiał u swej zakonnicy.

Nie było go tam do późna. Zawahał się nawet czy miał iść dnia tego, czy u siebie pozostać. namyślił i wyszedł tylko na chwilę.

Dziewczynę znalazł stojącą, nadąsaną, zwróconą plecami doń, gdy wzbodził. Biskup nie w lepszym był usposobieniu. Burza groziła. Bieta udala, że go nie postrzegła i nie słyszała, zwróciła się potem nagle i temi oczyma, które u niej za całą twarz stały, zmierzyła groźnie biskupa.

Gniew z nich buchał.

— Cóżś to tak zła?—zapytał

Albo mi tu dobrze, żebym dobrą była?—odparła gwałtownie, suknię szarpiąc na sobie. Niewola taka jak w klasztorze, twarzy ludzkiej nie widzę, głosu nie słyszę, wy ledwie przyjsć raczycie, wstydzając się mnie.

Biskup nie odpowiadał, o czem innem rozmyślając, roztargniony.

— Wstydzicie się i kryjecie—dodała—a to próżno, wszyscy przecie wiedza, żeś wasza.

Chodzić poczęła zataczając się i chwytając za głowę.

— Złośnica jesteś—odezwał się biskup, oczyma goniąc za nią.—Drugaby się za szczęśliwą miała we wszystko opływając, tobie trzeba jeszcze więcej!

— A! mnie to wszystko wasze za nic—zaczęła Bieta, daszając się—za nic bez powietrza, słońca i ludzi. Jeszcze mi za stróża posadziłeś na karku babę złą i krnąbrną, która myśli, że ona tu panią i mnie chce rozkazywać! Ja żadnych przykazań nie znoszę.

Biskup słuchał obojętnie, odrętwiały.

W tem drzwi otwarły się z trzaskiem wielkim, tak, że Bieta i biskup zwrócili się ku nim przestraszeni.

Z włosami potarganemi, z zaognioną twarzą, w sukniach pomiętych, jak wściekła wpadła Zonia wprost na biskupa, w rękę trzymając ów róg mężowski, który jeden z czeladzi odkradł, gdy go do grobu wciągano.

Podniósłszy go do góry, stanęła przed Pawłem, słowa nie mogąc przemówić. Dobyła nareszcie głosu z piersi.

— Co się stało z moim? mów! na rogu krew! Werchańca nie ma! Ludzie milczą! Mów! to twoja sprawa.

Biskup cofnął się trochę pobladłszy, lecz natychmiast w nim górę wzięła dumna i zuchwałstwo przyrodzone. Spojrzał z góry na kobietę i zmarszczywszy brwi, pokazał jej drzwi.

— Precz!

Precz! nie! nie pójdę precz!—krzyknęła Zonia. —Ty wiesz! to sprawa twoja! Tobie się go może pozbyć było potrzeba, bo wiedział wiele. Takbyś się innie chciał zbyć!

— Kto ci dał ten róg?—począł biskup napaścią tą strwożony znowu—z kąd go masz?

— W izbie czeladnej na stole, u wieczerzy go położyli—żywo wołała kobieta. Na nim krew! krew!

Ręce jej dygotały róg obracając. Biskup zwolna oprzytomniał. Bieta oka z niego nie spuszczała.

— Co za krew! jelenia może albo dzika!—rzekł Paweł.—Róg musiał zgubić, upiwszy się! Niecnota! Co ja wiem o nim. Idź go szukać sobie.

— O! ty wiesz! kłamiesz! — krzyczała Zonia.— Wiesz! Ludzie milczą, dosyć popatrzeć na nich, czuć, że coś połknęli i tają, bo muszą. Jemu się stało coś—on nie żyje! Zwierz go zadark, czy ty!

Gniew niewieści rozlał się we łzy namiętne, w jęk i szlochanie. Biskup zmierzwszy ją i Biętę długim, chmurnym wzrokiem, podszedł ku drzwiom i zatrzaskał je gwałtownie za sobą.

Werchańcowa na ziemię padła rozplakana, zrozpaczona.

Z mężem na pozór nie byli nigdy bardzo serdecznie, ale Zonia po swojemu była doń przywiązana, zazdrosną o niego, żyła z nim długo, nawykła doń, byli sobie wzajem potrzebni. Żal po nim objawiał się niemal rozpaczą.

Można było przepowiedzieć, że nie potrwa długo, lecz pierwszy wybuch jego był straszliwy.

Bieta, dla której wszystko to po klasztorным spokoju nowem było, stała patrząc, słuchając, rażona i więcej zaciękawiona niż rozrzewuiona. Pierwszy raz w życiu widziała tak dziką namiętność, choć sama nie mniej gwałtowną była.

Po różnych wywoływaniach, zaklęciach, wykrzykach do Boga i świętych o zemstę, o karę, o ratunek, Zonia zwróciła się do Biety.

— Znajże ty tego człowieka, jaki on jest—zawołała—poznaj ty go zawczasu. bo i ciebie to, co nas czeka!

— Precz! za drzwi, gdy się mu skomlenie na przykrzy! albo ubić każe. Czy to mu pierwsza, czy ostatnia! Takim on zawsze był i takim szatani duszę jego porwą do piekła! Gotuj że się i ty pieszczołko! Jak mu się przejesz, wyżenie bez litości.

Groząc jej pięścią, cała jeszcze z gniewu i wzruszenia miotająca się ruchy bezmyślnemi, Werchań-

cowa róg meżowski cisnąć w rękę pobiegła ku drzwiom, jakby biskupa gonila. Bieta ścigała go oczyma. W duszy jej budziło się pytanie, czy to miało być szczęściem, dla którego spokojny klasztor opuściła?

II.

Izba była sklepiona, niska, mała, prawie jak cela klasztorna. Jedno okno zakratowane, błonami ciemnymi sadzone, wpuszczało do niej tyle światła, że we dnie siedząc przy nim, czytać można było.

We wgłębieniu grubego muru, w którym się ono mieściło, stało siedzenie drewniane, dębowe z prosta rzeźbione niezgrabnie, z wysokim poręczem i bokami, wysłane starą poduszką. Podnózek dobrze wytarty stał przed nim, i stół z pulpitem wyniesionym, bez którego ksiąg ówczesnych grubych, ciężkich, czytać nie było można.

Wszystkie one z małemi wyjątkami agend i ksiąg pobożnych, miały formę grubych foljałów, oprawne były w deski dębowe, okute mosiądzem, a jeden człek ledwie je czasem mógł podźwignąć. Czytający musiał je na takim rozkładać pulpicie, aby się w nich wygodniej rozpatrzyć.

Właśnie taki ołbrzymi foljant spoczywał otwarty przed siedzeniem, a zrzynek pargaminu służył za zakładkę.

W prawo niżej pulpitu, na podstawie spoczywał czarny kałamarz rogowy, nożyk niezamykany i przyrząd cały do pisania. W lewo stała w dębowe drzewo oprawna prosta klepsydra szklana z piaskiem jak śnieg białym, mierząca godziny.

Zgaszona lampka włoska ze swemi przetyczkami i łańcuszkami, z po za klepsydry wyglądała.

Naprzeciw siedzenia tego, całkiem we wklęsłość muru wciśniętego, na malej półeczce w górze, tak, aby czytający zawsze ją mógł mieć na oku, postawiona trupia głowa, przypominająca pobożnemu mieszkańcowi tej ubogiej izdebki, znikomość rzeczy doczesnych.

Za oknem tem, w kącie ciemnym, stało łóżeczko anachorety, ciasne, twarde, jedną welnianą, wyszarżaną kołdrzyną okryte. Przy niem u wezglowia widać było klęcznik z krucyfiksem i dzbanek na ziemi.

Podłoga bez mat i wysłania, składała się z polupanych już i porozgniatałych cegieł, z pośrodku których tu i owdzie ziemia nawet przeglądała.

Po kątach swobodnie pajaki zasnuwały sieci swoje. Reszta ścian wolnych, okryta była przytwierdzonemi do nich półkami, na których się skromne mieszkańca tej izdebki gospodarstwo mieściło.

Można było z nich odgadnąć, co mu drogiem a co obojętnem było.

Najwięcej miejsca zajmowały takie księgi ogromne, z których jedna właśnie spoczywała na pulpicie, ciężkie, rozmiarów wielkich, w okładzinach, z desek skórą poobeciąganych, z kutemi ciężko narożnikami, grzbietami i boki z mosiądzu, na grube klamry pozamykanemi.

Z ich układu wnosić było można, iż często je ztamtąd poruszano, nie stały bowiem rzędami wyprostowane jak próżniacze księgi na spoczynek skazane, ale się różnie wychylały, jedne leżąc, drugie stojąc pochyło, inne się przygniatając, aż półka pod niemi w kablak się uginała.

Tuż obok nich para garnuszków, kilka misek glinianych, flaszek pyłem okrytych, we mroku ledwie dojrzone się chowały.

Dla przybywających tu w gościnę, których zapewne nigdy się wielu razem zbierać nie mogło, stały przygotowane dwie ławki dębowe z poręczami, a na jednej z nich wyszarżana, spłaszczona leżała poduszka. U drzwi wisiała kropielnica gliniana, na

której domyśleć się było można aniola ze skrzydły rozpostartemi, który naczynko utrzymywał. Para obrazków świętych kryła się w ciemności, która już z południa większą część izby zalegała.

Właśnie o tej godzinie zimowego dnia, siedział w tej swojej katederce przy oknie w kożuszek okutany, w butach futrzanych, mężczyzna małego wzrostu z bystremi mimo lat podeszłych, oczyma. Głowę miał też okrytą czapeczką z uszami, bo w izbie było dość chłodno.

Ręce pozasuwał w rękawy biedny starowina, postawę miał zbiedzoną i smutną, a że się skurczył i siedzenie dlań za obszerne było, ledwie się w niem skulony u boku dojrzeć dawał.

Był to ksiądz Jakób ze Skarzeszewa, ówczesny luminarz kapituły, któregośmy już raz przy wyborach widzieli. Od tego czasu twarz jego zwiędła, żółta, jeszcze się bardziej do parganinu starego stała podobną, jak gdyby na niej odbiła się barwa tych ksiąg, nad którymi nieustannie siedział.

Mała izdebka dnia tego była prawie pełną, tak, że przybyli stać musieli i obracać się im było trudno, a że wszyscy pragnęli przybliżyć się do uczonego i pobożnego męża, otaczano go ciasnem kolem.

Ks. Jakób oczy miał spuszczone i jakby nieśmiało patrzeć na przytomnych. Twarz wyrażała strapienie i frasunek.

Na przodzie stał kanonik Janko, znany nam przeciwnik biskupa, z czasów wyborn; chudy, suchy, ascetycznego oblicza, na którym gorzały zapał, energija i wielka woli siła. Za nim inni nieprzyjaciele biskupa, smutni, upokorzeni, bezsilni, milczący, pograżeni w sobie, na odpowiedź księdza Jakóba oczekiwac się zdawali.

Milczenie było długiem, smutkiem brzemiennem—ks. Jakób z odpowiedzią się ociągał.

— Dopuszczenie to Boże — rzekł nareszcie głosem złamanym — ale, bracia mili w Chrystusie Zba-

wieciełu, drogi Opatrzności są niezbadane. Dozwala on czasem złym przyczynić zgorszczenia, z pychą się prawdzie uragać. aby ona potem wyszła zwyciężką i jaśniejszą. Bóg wielki! Kara to straszliwa, ale zżymać się i szemrać nie godzi! Na próbę wydana cierpliwość i wiara wasza i enota. abyście się nauczyli szanować władzę kościoła, choć w niegodnych rękach spoczywa; a Bogu pozostali wierni.

Biada temu przez kogo przychodzi zgorszczenie, lecz kościół wiekuisty uszczerbku nie poniesie przez jednego człeka, my, słudzy jego, ucierpim tylko! Natośmy przecie żołnierzami Chrystusowemi, abyśmy mu ran naszych nie liczyl. Płaci on za nie sowicie!

Skończył ks. Jakób. westchnienie do jęku podobne słyszeć się dało wśród stojących do koła.

Ks. Janko odezwał się pierwszy.

— Ojcie miły—rzekł.— Wszystko to święta prawda, ale na tośmy żołnierzami Chrystusa. abyśmy kościół Jego ratowali. My kapituły tej prześwietnej członkowie, my współpracownicy domniemani tego człowieka, którego czyny w części na nas spadają, musimy, powinniśmy nie zostać bezczynnymi świadkami.

Nie da się inaczej zaprotestować — wykrzyknął głos podnosząc—więc choćby pieszo pójdziemy do Rzymu. Nie zechce nikt, ułękna się inni tego Antychrysta, wezmę kij w rękę i pójdę ja sam. Padnę do stóp Namiestnika Chrystusowego, powiem mu ból mój i zwołuję sumieniowi memu. *Salvabo animam meam.*

Parę głosów odezwało się za nim.

— Pójdziemy z wami!

Ks. Jakób milczał, patrząc na księgę, czy na ziemię.

— Postanowiona to rzecz—dodał ks. Janko.— Chybabym nie żył, uczynię jakom rzekł. Sam, czy z kim, bodaj o żebranym chlebie od furty do furty klasztornej—idę!

Zapał z jakim to mówił ogarnął innych, poczęli za nim powtarzać.

— Pójdziemy! idziemy!

Jednakże się nie wszyscy w tę podróż ofiarowali.

— Myśmy wszakże w Rzymie nie znani — mówił po chwili ks. Janko, posadzą nas może, i dla osobistej wasni spór toczymy. Potrzeba nam powagi twój, poparcia twego ojcie. Znaie tam mężów wielu. Ojciec Święty szanuje was, słowo jedno wasze więcej tam znaczyć będzie, niż wszystkie skargi i użalenia nasze.

Ksiądz Jakób powoli zaczął głowę podnosić.

— Dam wam świadectwo — odezwał się — jako was za mężów zacnych i wiary godnych trzymam, ale oskarżać mnie, staremu, o to czego oczy moje nie oglądały, o czem z posłuchów wiem tylko... nie przystało.

Kanonik Janko nie nalegał: ks. Jakób mówił dalej powoli, karty swej księgi palcami poruszając.

— Świadectwo moje! daj Boże, aby się ono wam na co przydało. Nim wy z niem przybędziecie do Rzymu mnie na tym świecie nie będzie. Lata moje podeszły już bardzo, Bóg mi dał tę wiedzę, łaską swą, że się zbliżam do końca. Na sąd idę, spokojny.

Zaczęli mruczeć niektórzy, a jeden z młodszych księży pochylił się i z poszanowaniem, rękaw sukni starca ucałował.

Ksiądz Janko ciągnął dalej.

— Kto nie może iść z nami, powinien nam też świadectwo swe dać, aby powagę większą skarga miała.

Kilku duchownych zgodę oświadczyło.

Kanonik mówił z oburzeniem rosnącym:

— Wszeteczeństwo, jawnogrzesznictwo, zabójstwa, simonja, rozgrabienie duchownej własności, gwałty wszelakie, samowola niesłychana!

Nigdy tak kościół pokarany i pokalany nie był dłońią, co go bronić i przyświecać mu była powinna! Prześladowali świeccy, lecz by pasterz własną swą trzodę wiódł na zatracenie, tego jak pamiętać ludzka i dzieje sięgają, nie było!

— Nie było! powtórzyli wszyscy.

— Na nas wszystkich odgrazanie się srogie— mówił Janko. — Ludzie biskupi głoszą, że więzienia i kuny oczyszczać kazał, stróżów do nich nowych poprzyjmował Żelazne więzy kowają dla nas. Tymczasem obicia ze skarbów idą na łoża wszetecznicy, mniszki, grosz nasz na zapłatę grzywn za przelaną krew! zgroza!

Ksiądz Jakób zamknięty w sobie milczał. Robiło się w izbie coraz mniej. Stojący za innemi człeczek niewielki, biedota, który słuchał z uwagą natężoną oddawna, skorzystał z chwili, gdy nań niepatrzano, do blizkich drzwi się przysunął, ostrożnie je zlekka odemknął i — uszedł. Dopiero, gdy się one za nim zawarły, a klamka zatrzaska dostrzeżono, że ktoś ubył.

Spojrzano po sobie, policzyli się obecni, księdza Jeremiego nie było.

Kanonik Jeremi Jankowi i niektórym innym zdawna był jakoś podejrzanym, chociaż stale trzymał z temi, co przeciw biskupowi byli, a czasem nawet odzywał się dosyć gorąco na Pawła.

Nie miano dowodów żadnych, by sprawę ogólną zdradzał, a jednak przeczucie jakieś mówiło, że go się strzedz należało.

Ksiądz Janko mianował go wprost przechera, inni bronili. Był to człowiek pokorny, godzący się na wszystko, nie sprzeciwiający nikomu; pomimo mało-mówności weiskający się ciekawie gdziekolwiek była jaka narada, gdzie się coś dowiedzieć, posłyszeć było można. I działa się potem rzecz dziwna, bo choć narady odbywano w poufnem kółku, biskup o ich skutku, nawet o słowach wyrzeczonych i sposobie przemawiania każdego, był doskonale uwiadomiony.

Nie podpatrzono dotąd by ks. Jeremi chadzał do biskupa, przecież nie bardzo mu ufano.

Ksiądz Janko, który tu zawołał innych członków kapituły, jednako myślących, osiągnąwszy cel

swój, a widząc nadchodzący wieczór, gdy już duchownym bez światła i chłopca na ulicach samym się ukazywać nie godziło, zabierał się do wyjścia. Inni też księdza Jakóba żegnali.

Janko jednak po namyśle został dłużej trochę, bo i gospodarz coś mu szepnął do ucha.

W izbie zupełnie się zrobiło ciemno, tylko od śniegu, w ulicy leżącego, trochę odbitego blasku przez okienko wpadało.

Zgarbiony starowina, prawie tego wieku, co ksiądz Jakób, wszedł mu lampkę zapalić.

Ręce, które trzymał w rękawach kożuska zasunięte, wyjął ks. Jakób i podniósł je do ks. Janka.

— Braciszku mój! - zawołał niespokojnie. — Braciszku mój! Ty *per pedes Apostolorum* do Rzymu, ty! do Rzymu, braciszku, a moja cała nadzieja była w tobie! Ja lada godzina zemrę, któż się zaopiekuje skarbami mojemu, aby się to nie rozproszyło marnie na co ja wiek cały pracowałem! Żli ludzie rozerwać to gotowi, gdy ja zamknę oczy. Ze zgrozą myśle! Powydzierają karty pergaminowe, pozmywają je, podrapia, aby na nich lada przywileje pomazali! A moje Decretalia! Codeksy moje! Biblia..

Starzec mówiąc rozgrzał się mocno, głos słaby urósł mu nawet, ręce wyciągnięte drżały.

— Ty do Rzymu, braciszku, a moje rękopisma na cztery wiatry! na myszy!

— A! tak źle nie będzie, ojciec mój — odparł ksiądz Janko — znajdzie się przecie ktoś, co mnie zastąpi!

Staruszek, któremu się na płacz zbierało, powtórzył z boleścią:

— Codeksy moje! *Miserere Domine! Miserere!*

Kanonik Janko w ramię go pocałował; nie mówił nic, ale mu się dziecinnem zdało o kodeksach myśleć i dekretaljach, gdy kościół gorzał.

Nazajutrz po tej naradzie, zwykły poseł w takich razach, strojny, rumiany, wesół, rubaszny ks.

Szczepan się zjawił u księdza Jakóba, biskupa prawa ręka, zauszniak i gorliwy obrońca.

Twarz miał nad podziw wesołą, jak gdyby na świecie żadnego powodu do strapienia nie było.

— A co? księżu pralacie—zawołał głośno, całując go w ramię. — Jak tam zdrowie? Ksiądz biskup się o nie troskliwie dowiadyuje.

Stary spojrział z ukosa, jakby powiedzieć miał:— Zkądże ta łaska? i rzekł krótko:

— Dogorywam! o zdrowie tam nie pytać, gdzie życia ledwie drobinka.

— Ho! ho!—przerwał ks. Szczepan.—Tak to wy już od lat mówicie dziesiątka... ale, zawiędliscie, i przeżyjecie nas młodszych!

Ksiądz Jakób dał znak ręką.

— Ksiądz biskup was u jutrzejszy dzień do stołu zaprasza—dokończył przybyły.—Wie on, że mu nie wszyscy są chętni, ale, bez różnicy, wzywa całą kapitułę. Kazał mi was prosić.

— Ale ja i o kiju nie mogę!—odparł Jakób.—Nie mogę na żaden sposób.

— A powinniście być! — pośpiesznie począł Szczepan. — Potrzeba raz w kapitule ład uczynić. Ksiądz biskup ma niechętnych wielu, potwarzami okrutnemi go okładają. Czynią go wszetecznikiem, gwałtownikiem, mordercą!

Starzec spojrział z ukosa.

— Potwarze to są! potwarze kalumnjatorów — ciągnął przybyły.—Nikt z nas świętym nie jest, ale znowu nie takeśmy przekłeci, jak głoszą. Mniszka uciekła z klasztoru? albo to pierwsza? Wnet na biskupa włożyli, że on ją wykradł!

Niechże dowodzą!

Na łowach mu ulubionego sługę ubito, wnet głoszą, iż biskup go zamordował! Gdy złe języki puszcza się — ho! ho! końca nie ma. Dalej już nie wiem, co nań wymyślą.

Ksiądz Jakób milczał.

Przybywający z zaproszeniem byłby może mówić dłużej, lecz zobaczywszy, iż starzec machinalnie karty książki przed sobą leżącą przewraca, a mało się go słuchać zdaje .., zabrał się do pożegnania.

— Będzicie u biskupa?—zapytał.

— Wiecie, że ja tą porą zimową, na krok z izby nie wychodzę—odpowiedział ks. Jakób sucho.

Po odejściu posła stary zaraz modlić się zaczął, z tą obojętnością na wszystko ziemskie, która w późniejszym wieku, gdy człowiek świata obcym się staje, świadczy zarówno o starganych siłach, jak o spokoju ducha.

Ta myśleniem przerywana modlitwa trwała z godzinę, gdy ktoś do drzwi zapukał i wszedł kanonik Janko, jak zawsze, poruszony mocno.

— Coś nowego - odczuwał się w progu—ksiądz biskup nas wszystkich, wrogów swych, na obiad wołać raczył! Posły biegają na wsze strony, nagłąc, abyśmy szli.

— A wy?—zapytał staruszek.

— No? a wy?—powtórzył ks. Janko.

Gospodarz za całą odpowiedź, wysunął swe obrzękle, futrem obwinięte nogi.

— Ja pójdę!—zawołał stanowczo Janko.—Tak! pójdę! Mężtwo potrzeba mieć, aby wbrew i zawsze prawdzie dawać świadectwo! Łatwo narzekać i łajać za oczy - pora przyszła stanąć oko w oko!—Pójdę!

Stęknął ks. Jakób.

— Mieścież się na baczności — szepnął bardzo cicho.—Jedno z dwojga, chcecie skarżyć do Rzymu, po cóż mu w ręce się dajecie? Cóż będzie, gdy was tam ująć każe i do więzienia da wrzucić?

— Nie może być! nie targnie się! nie będzie śmiać!—krzyknął Janko.—Kapitułę do więzienia!

Starowina głową pokręcił, czapeczkę nacisnął na uszy, poprawił kożuszkę—nie rzekł nic.

— Pójdę ja, ale nietylko ja sam — mówił Janko—gardluję zatem, aby szli wszyscy nasi, i pójdą.

Staniemy mu jako mur, jak opoka, jako wyrzut, jako głos sumienia, mężnie. — Niechaj się dzieje co chce.

— A jeśli tak zuchwałym jest jak głoszą? — zapytał gospodarz.

Zmilczał nieco Janko.

— Gdyby się to stać miało, co wy prorokujecie — dodał po namyśle — gdyby się na nas targnąć ważył i do więzienia dał — toć świat o tem wiedzieć będzie, to mnę wrogów przyczyni i przyspieszy upadek pysznego.

— Mnie o me nędzne życie nie idzie — mówił z coraz większym zapalem. — Męczeństwo ponieść gotów jestem dla sprawy kościoła, głowę dać, krew przelać, a nie dopuszczę stolicy tej, świętych matki, bezcześcić i plugawić.

Ludzie powiadają — tak indziej bywa. Są źli biskupi, są pasterze niegodni! Nie było ich u nas na krześle tem, które zasiadał męczennik Stanisław ze Szczepanowa, błogosławiony Wincenty, i Prandota, i Iwo!

Nie było na tej stolicy cienia. ni plamy, a dziś! ohyda!

Zakrył sobie oczy Janko.

— Ach! — ciągnął dalej — gdybym odwagę moją wlać w drugich potrafił, gdyby mnę kapituła posłała pontificaliter, cała, jednogłośnie powiedzieć: — Nie chcemy cię, boś zakął, idź ztąd synu szatana! idź przeklęty Antychryście! Musiałby precz, ze sromem zbójca ten ustąpić!

Pięść wyciągnął ks. Janko, jakby nią miał wroga niewidzialnego uderzyć.

Nie spostrzegł się uniesiony tak wołając, że na ostatnie jego słowa wsunął się ks. Jeremi i bardzo śpiesznie czapkę zdjawszy, począł szeptać z uśmiechem.

— A co? a co? Biskup na jutro. na chleb, na polewkę prosi do siebie! Co to będzie! Wy idźciecie. ojezulku?

Ks. Jakób głową potrzęsnał.

— Jać nigdzie już nie chodzę, do kościoła nawet nie mogę.

— A wy?—zwrócił się do Janka

— Jak sądziecie! zapytał z pewną ironją Janko. Zmieszał się przybyły.

— Ja! ja!—zająknał się — ale ja, głosuję za tem, aby iść! iść!

— Ja także!—odparł dumnie kanonik.

Ks. Jeremi przyskoczył doń żywo, oczki mu małe pałały.

— Tak jest, ja pójdę—dolożył chłodno Janko.

— A drudzy?

— Sądzę, że pójdą wszyscy.

Ks. Jeremi uspokoił się wprędce i tehtał swobodniej, zdawał się jednak nie dowierzać słyszancinu.

Dodał po cichu:

— Kiedy wy, ojcze, kiedy wszyscy, .. Kiedy postanowiono... ja się nie odłączę. Idę i ja.

Gdy się to działo w mieszkaniu ks. Jakóba ze Skarzeszewa, na dworcu biskupim wrzało i gorzało jakimś ognikiem piekielnym. Biskup Paweł nigdy mniej przystępnym, gniewliwszym, popędliwszym nie był. Czeładź domowa, wołana i odpędzana nieustannie, najczęściej odchodziła okrwawiona i potłuczona. Nikt dogodzić mu nie umiał.

Nie wyjeżdżał wcale na łowy, bez których dawniej trzech dni się nie obył, włóczył się po izbach pustych, do kościoła aui zaglądał, odwiedzających gości przyjmował twarzą ponurą i nadąsaną. Zaufanych swych lajał i okazywał im wzgardę.

Z kilku tylko tylko zauszuikami swemi z kapituły, a najczęściej z ks. Szczepanem potajemnie miewał naraady. Na Wawelu w kościele kazał się innym zastępować.

Czeladź biskupia rozpowiadała, iż z żoną zabitego Werchańca, nieutuloną w żalu i gniewie, przez dni kilka takie jakieś odbywały się sceny krzykliwe..., iż ją nareście nocą, gwałtem porwano i wywieziono. Dokąd, nikt nie wiedział.

Ze zniknięciem jej. Bieta, oswobodzona od nadzoru, stała się jeszcze bardziej samowolną i rozkielznaną. — Mówiono, iż na ludzi nie bacząc, wieczorami śmiało do dworu chodziła, a biskup odpędzać jej odwagi nie miał.

Śmiała niewiasta brała nad nim nawet górę.

Z pokornej zakonnicy stała się tu panią wszechwładną, a moc jej rosła z każdym dniem i rozzuchwalała ją bardziej.

Czeladź musiała słuchać skinienia.

Co się stało z Werchańcową? domysłano się różnie, utrzymywali niektórzy, że jej już, jak jej męża, ludzkie oczy nie zobaczą.

W dniu tym, na który goście byli do stołu biskupiego zaproszeni, cała służba nadzwyczaj była czynną. Ksiądz Szczepan do bocznej komory zwołać kazał wszystkich wyrostków, którzy około stołu posługiwać byli zwykli. — Z temi bardzo długo szeptał coś, nauki im dawał i niedopuszczał, aż ich służby jakiejs nauczył.

Gdy się potem ta swawola gromadzka rozpierzchała po podwórzu, widać było na ładnych twarzyczkach chłopiąt osobliwą jakąś radość, jak gdy się jaka niepocziwa następuje psota do wyrządzenia. Stawali po kątach gwarząc, śmiejąc się, za boki biorąc i niemogąc poskromić weselości, która z nich wybuchowała. Zuchwalej niż kiedy stawili się swej starszyźnie.

Ciekawi komornicy biskupa, domysławiając się czegoś, napróżno z nich starali się dobyć tajemnicę. Co rzadko się trafia młokosom, milczeli uparcie, a śmiechy po kątach nie ustawały. Głowy sobie łamali drudzy, z kąd ich napadło to wesele i ta buta, domysłano się tylko, iż ksiądz Szczepan od biskupa tajemne jakieś wydał rozkazy.

Do obiadu i przyjęcia duchowieństwa wielkie czyniono przygotowania, choć gość dawniej na biskupstwie nie był rzadki. i w ostatnich dopiero czasach mniej się tłumnie do stołu i kubków ściągano.

Oprócz chłopców, prawa ręka biskupa kanonik Szczepan, wczwał i inną czeladź do siebie, mianowicie tych, co około biskupich więzień straż mieli.

Tych w nozy pościągano, a gdy po wydaniu im rozkazów odprawił kanonik, nie tak wesoło jak chłopcy patrzyli. Rozeszli się po kątach posępni, wzdychając.

Wszystkie te przygotowania do uczty jawne i potajemne, biskupa zdały się uspokajać uicco. Stał się mówniczym, powolniejszym, i zmuszał do okazywania pogodnego umysłu.

W wigilją dnia naznaczonego, biskup jawnie podwórcem poszedł wieczór do Biety. Widzieli to wszyscy, zdał się nie dbać wcale. Od czasu wywiezienia Werchańcowej, u mniszki zmieniło się jeszcze; przybyło sprzętu i okazałości. Dostarczano jej co chciała. a codzień potrzebowała czegoś nowego, i wszystkiego jej było mało.

Niewielkie izby dworku tem się wydawały wspanialsze, że w nich nagromadzono co tylko ówczesny mógł dostarczyć zbytek. Bieta kochała się w przepychach, jak ci, co ich nigdy nie miewali. Powietrze wonne było od olejków ze Wschodu, od kadzideł drogich, którei szafowano. Najjaskrawsze kobierce perskie leżały pod nogami, ściany całe okrywały obicia szyte i bisiory.

Dwór też swój po zniknięciu Zoni pomnożyła, postroiła, chociaż obchodziła się z nim nielitościwie.

Nie było dnia, by jednej lub dwu kąpieli nie kazała stawiać, a włosów sobie kilka razy trefić coraz inaczej. Suknie też mieniała w dzień często, strojąc się coraz inaczej, coraz dziwniej.

Leżąc potem na miękkim posłaniu z rękami pod-

łożonemi pod głowę, dziewczętom sobie kazała śpiewać pieśni miłosne.

Obok stawiano łakocie, które gryzła ciągle; coraz inne wymyślając napoje i jadła. bo się jej wszystko prędko przykrzyło.

Niespokojny duch jakiś niczem się jej długo cieszyć nie dawał, potrzebowała zmiany; zachciwała rzeczy niemożliwych, rzucała je potem, ze wzgardą, a łąda co niecierpliwiło ją, gniewało. wyciskało łzy z oczów. Dziewczęta widywały ją nagle zrywającą się z pościeli, biegającą po izbach..., płaczącą i śmiejącą się jakby w przystępach szaleństwa.

Taką ją z oczyma zaiskrzonymi zastał biskup tego wieczora. Spojrzała nań niespokojnie badając niemi.

— Wiesz—zawołała z wymówką gorzką—wiesz! klasztor mi się śni, załedwie zamróżę powieki! Słyszę nasz dzwonek do chóru, i pieśni tych mniszek przeklętych... moje własne. Widzę tam siebie. Widzę i czuję, jak mnie odartą do naga smagają i rzucają do celi ciemnej i zamurowanej na wieki.

Biskup ramionami ruszył.

— Oszałeję!—mówiła ciskając się do niego—nie wyżyję! Te sny, te okropne sny! Widziałam królowę Salomeę. Wstała z grobu biała, blada, około głowy koło miała złote, promieniste, patrzyła na mnie tak, a! tak! że mnie jej wzrok jak włóczniami przeszywał... Tu! tu! Jeszcze mnie boli!

I na pierwsi wskazywała.

— Nie śpię już w nocy, bojąc się tej strasznej zmory. Każę śpiewać, siedzę, oczy się kleją, sny wracają. We dnie gdy usnę ze znużenia, toż samo. Nigdzie spokoju!

Biskup chciał się rozśmiać, usta mu się tylko skrzywiły, padł na bliskie siedzenie. Stała przed nim.

— Ja wiem—ciągnęła gorączkowo dalej.—Mnisz-

ki chcą mnie tam nazad porwać... zamurować, zabić może... głodem umorzyć. Królowa nieboszczka, pani moja, ona mi nigdy nie przebaczy. To był jej klasztor, a my jej dzieci. Czemu nie każesz się modlić księżom, aby mnie od tych snów uwolnić!

Ja nie poszłam dobrowolnie, jam niewinna. Tyś mnie wciągnął w to piekło...

Nie wiem sama gdzie gorzej mi było: tam czy tu!

Zakryła oczy, wstrzęsła się i wnet odrzuciwszy ręce, poczęła płasć po izbie, śpiewając, śmiejąc się, wdzięcząc, zmuszając być wesołą.

Wesele to było od smutku przykrzejsze. Buchnęła płaczem po nim.

Na te sny utrapione przecież rada jakaś być musi?—zapytała.

Biskup się rzucił niecierpliwie.

— Dosyćże już tych suów głupich.—krzyknął.—Ja tu do ciebie na spoczynek, nie na utrapienie przychodzę. Potrzebuję wesołej twarzy, nie lamentów.

Bieta słuchając oczy wlepiła w ścianę.

Z za drzwi ciekawie powyglądały służebne, klasnęła w dłonie.

— Hanna!—zawolała —tu! słodkiego wina!

Paweł na wzmiankę o winie, zadumany rękę wyciągnął.

— Wina! podać tu wina!—powtórzył.

Hanna, starsza nad dziewczętami, milcząca niewolnica z twarzą nabrzmiałą i siną, pokorną, chytrą, bojaźliwą, zjawiała się ze dzbankiem wyłancanym i kubkami.

Podawała żywo naprzód biskupowi napój, ale Bieta z gniewem porwała pierwsza kubek. Dopiero po niej nalał sobie Paweł i wychylił prędko i chciwie.

Wstał odżywiony, próbując się uśmiechać, chciał po twarzy pogłodzić Bietę, ale ta mu się wymknęła obrażona.

Hanna wysunęła się, dzban zostawiając na stole przy ścianie.

— To wino—odezwiała się Bieta—ono na sny nie pomaga, po nim straszniejsze jeszcze się roją.

Po Pawle widać było, że choć tu przyszedł z nałogu, myślał być musiał gdzieindziej. Złośliwe ruchy i uśmiechy dziewczęcia, którego humor zmieniał się co chwila, rozedmurzyć go nie mogły. Wkrótce potem ponowił kubek, przeszedł się po izbie, otarł czoło spotniałe, parę słów szepnął z przy-musem, i zawrócił ku drzwiom.

Bieta zastąpiła mu drogę.

— Boję się zostać sama!—odezwiała się.

— A ja dłużej tu dziś nie mogę być — odparł Paweł—inny mam ciężar na głowie.

Spojrzeli na się, Bieta dumnie od drzwi odstąpiła.

— No, to idź! — rzekła wskazując na nie — idź!
Zagryzła usta. niedokończyła...

III.

Obszerna była izba stolowa w dworcu biskupim. Obyczajem onego czasu, w większych domach zachowywanym, ławy i stoły wąskie otaczały ją dookoła, a środkiem miejsce dla służby wolne było. Goście zasiadali z jednej tylko strony od ściany.

Dnia tego ze szczególną troskliwością na przyjęcie gości spodziewanych ją przysposabiano. Cze-ladź pilno doglądała, aby białe obrusy, które za-ściełano, aż do samej ziemi sięgały. Kilka razy ks. Szczepan wychodził nagląć, jak też stół był przy-brany i nakryty.

U końca, gdzie się z obu stron schodziły bie-gnące w koło siedzenia. dla biskupa ustawiono wy-sokie krzesło, wystłane poduszkami szkarłatnymi.

Przepych był wielki.

Choć rozrzutny i nie szanujący grosza ks. Paweł z Przemankowa, miał z czego występować po pańsku, sam z siebie majątnym będąc i szafując dochody kościelnymi. a na prawo do nich nie zważając ściśle.

Świeciły wszędzie ciężkie srebrne dzbany, niektóre wyłacane, konwie i kubki w części srebrne lub cynowe, misy i długie i krągłe. U biskupa jadła było zawsze poddostatkiem, a przyprawiano je dobrze, bo on sam i ulubieńcy jego żarłocznością się odznacжали. Myśliwstwo, majątności kapituły obficie na stół dostarczały, czego tylko zażądano.

Z za granicy przywożono wino, przyprawy i łakocie.

Przy ludziach nowych, cudzoziemcach, Legatach z Rzymu, którzy często Polskę nawiedzali, Synody zwołując i z ramienia papieża czyniąc porządek w kościele, biskup choć występował po książęcemu, miarkował się jednak, w pewnych granicach trzymając, nie dając sobie zbyt swobody. Ze swem własnem duchowieństwem i przyjaciółmi nie zważał na nic, nie lękał się nikogo, czynił, co zażądał, a gdy podchmielił sobie, więcej pamiętał na bujną swą młodość, niż na stan, do którego teraz się liczył.

Duchowieństwo nieprzyjazne biskupowi dawno już nie bywało u niego ani na dworze, ani u stołu.

Nie miało ochoty przychodzić doń z dobrej woli, a gdy kilka razy zapraszane nawet się nie stawiło, nie wołano ich więcej.

Dnia tego działa się rzecz niezwykajna; wiadziano już przez posłów, że przeciwnicy Pawła wszyscy się stawić przyrzekli.

Stoły więc nakryto tak, aby dla nich miejsca było dosyć, po prawej ręce Pasterza wyznaczwszy siedzenia dla tych, o których wiadziano że wrogami mu byli.

Obiady jadano wówczas rano, dobrze przed południem, więc tu już się od brzasku krzątano.

Biskup sam, uchyliwszy drzwi, po kilkakroć wyglądał, czy po jego myśli biesiadna izba była przybrana..., wyglądał ks. Szczepan, naradzał się z nim, chodził niespokojny i posępny jak człowiek, który się na coś wielkiego ważyć, radby co rychlej zbyć się wziętego na się ciężarn.

Zastęp przeciwników biskupich szedł cały razem pod wodzą śmiałego kanonika Janka, który u siebie zgromadziwszy ich i zagrzawszy aby się mężnie stawili, poprowadził z sobą na biskupstwo.

We zwyczaju bywało, iż wprzódby nim do stołu zasiąść miano. biskup wychodził do izby, gości swoich witał, rozmawiał z niemi.

Na tę przedobiednią chwilę rozmowy rachował kanonik Janko, iż w niej zaraz całą gorzką prawdę mu w oczy rzuci.

O godzinie naznaczonej, gdy przyjaciele biskupa nie wszyscy jeszcze pośpieszyli się zebrać, ksiądz Janko z kilku towarzyszami swemi wszedł i nie znajdując nikogo oprócz gości, trzymających się od niego zdala, mierzących go oczyma ponuremi, sam też ze swą gromadką przystanął na uboczu, czekając na wyjście ks. Pawła, który, jak sądził, lada chwila zjawić się był powinien.

Milczenie, przerywane tylko brzękiem dzbanów i mis, które służba ustawiła jeszcze i poprawiała, panowało w izbie. Powietrze w niej jakieś duszne było.

Powoli ściagała się reszta przyjaciół biskupa. Stawili się już wszyscy, garnąc w izby kąć przeciwny zdala od kanonika Janka, oglądali ku drzwiom; oczekiwany pasterz nie wychodził jeszcze.

Czeladź już wszystkie potrawy poprzynosiła na stół, zapach ich rozchodził się, łechtając powonienie, a ks. Pawła nie było.

Ks. Szczepan, oczekujący nań u drzwi, które mi wniknąć miał, zajął stanowisko.

Przeciągnęło się to nad miarę i kanonik Janko

zrozumiał, że obrachowano na to, aby przed jedzeniem rozmowy żadnej nie było.

Stali tak dosyć długo, gdy na ostatek drzwi na oścież otworzył komornik z łoskotem i biskup wszedł odziany pańsko, z łańcuchem na szyi, z rękami pierścieniami okrytymi, z twarzą dumną, głowę podniesioną do góry, brwiami zsuniętymi.

Spojrzał z wysokiego progu, na którym stanął, na zgromadzenie, pozdrowił je lekko zdala, a zwróciwszy się w stronę, gdzie stał kanonik Janko, mruknął.

Witam, wasze miłości, dawno niewidzianych n mnie, Witam!

Uśmiech szyderski towarzyszył tym słowom.

— Ks. kapelan Bertold—dodał—niech odmówi modlitwę.

I niepatrzac już na zgromadzonych, wprost poszedł biskup zająć siedzenie swoje. Niesiono za nim pozłocistą miednicę i nalewkę i ręczniki szyte bogato.

Ks. Szczepan dopilnował tego ze szczególną troskliwością, aby ci co z Jankiem przybyli, razem wszyscy po prawej stronie biskupa zasiedli.

Ci nawet, co Pawła najbliżej znali, i widywali go najczęściej, uderzeni byli wyrazem twarzy jego niezwykłym. Zdał się ciągle hamować od wybuchu. Żył mu się wyprężyły na skroniach, dłonie, gdy je mył i zdejmował pierścienie drgały. Podparł się usiadłszy, na rękach i wlepił oczy w kanonika Janka, który wytrzymując mężnie wejrzenie groźne, siedział spokojny.

Pomimo szastania nogami i szumu jaki powstał przy sadowieniu się gości, baczniejsze ucho mogło pochwycić niezwykle jakieś tupanie i chodzenie po sieni, jakby ją gromada ludzi zajmowała.

Nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Najłapczywsi do jedzenia, mimo, że stół woniał potrawami wymyślnymi, mierzyli się oczyma i jakby w oczekiwaniu czegoś, powoluie, obojętnie brali się do misek.

Biskup nie tknął nic, nalał sobie wina, umoczył w nie usta, spozierał wyzywająco na Janka.

— Powiadają ludzie — począł — że się w jakąś daleką podróż wybierać zamyślacie?

Żagadnięty tak, podumał trochę, podniósł głowę.

— Gdyby podróż okazała się potrzebą i obowiązkiem sumienia — rzekł — dla czegożbym nie miał jej przedsiębrać? Kapłański nasz stan na wszystko być przygotowanym nakazuje.

— A tak — odparł biskup szydersko — kapłańskie powołanie wymaga wiele, szczególnież zaś pokory i posłuszeństwa.

Gdy się tak rozpoczynała rozmowa, w izbie stało się cicho, i, jak kto siedział, niejeden z ręką do misy wyciągniętą, pozostał nieruchomy.

— Tak — dorzucił Janko śmiało — do posłuszeństwa obowiązani jesteśmy dopóki sumienie dopuszcza.

— Sumienie! — zaśmiał się biskup. — Szerokie to pole, po którem chodząc i obłąkać się można. Lada bunt się sumieniem składa.

Paweł już dłużej utrzymać się nie mogąc, zaczerwienił cały na twarzy, i zawolał głośniejszą, rękę podnosząc:

— Wy! wy mi się buntujecie!

Kanonik Janko jakby przygotowany do tego był, nie zmięszął się wcale.

— Nad Młóścią Waszą prawo też jest — odrzekł. — Gdy wódz go nie słucha, żołnierz od posłuszeństwa jest wolny.

Biskup cały zapłonawszy gniewem, ręką o stół uderzył, aż misy i dzbany szczękały, ale Janko ciągnął dalej.

— Kapituła jest do rady i współrządu ustanowiona, ma ona prawa i przywileje swe. Przy tych, jeśli nie cała chce obstawać, nie moja rzecz; są jednak tacy, co przy prawach stać będą.

Gdy to mówił ks. Janko uczuł nagle, iż pod stołem w nogę został rażony czemś kołącym i do

krwi zraniony. Nie spodziewając się tego, rzuoił gwałtownie i krzyknął. Ci, co przyczyny poruszenia i krzyku wiedzieć nie mogli, zdumieni być musieli wielce, zdawało się zdala, jakby na razie choroba cisnęła nim lub szaleństwo.

Biskup się rozśmiał.

— Szalony jesteś! — zawołał. — Patrzajcie sami! Świadków mam, ten człowiek opętany!

— Ja? — wykrzyknął Janko, sądząc, że się ranił o podnózek i zapominając o bólu — ja? Opętanym na zwać się może ten chyba, co na wysokiem dostojenstwie o Bogu zapomina i praw jego nie szanuje.

— Opętan! opętan! — powtarzać zaczęli jakby namówieni ks. Szczepan i za nim inni zauszniccy biskupi, palce wyciągając ku mówiącemu.

Jeden z księży przybyłych z Jankiem, kanonik Andrzej, podniósł się.

— Jeżeli ten ma być opętanym, to i my wszyscy tacy — zawołał — bo my też trzymamy co i on, tak samo myślimy, z nim razem sakwy podróże wziąć jesteśmy gotowi i — dodał uniósłszy się — do Rzymu pójdziemy!

Nie dokończył tych słów, gdy pod stołem zgnięty w nogę, skoczył i krzyknął. Padł na ławę z jękiem boleści.

Śmiech i wołanie ozwały się od drugiego stołu.

— Oto patrzajcie na jawną karę Bożą — odezwał się biskup szorstko. — Patrzajcie! razi ich choroba wielka wszystkich. Szaleją opętani przez djabła. ci co przeciwko Pasterzowi swemu i Panu powstali. Jawny znak, iż winni są.

— Opętani! opętani! — wołali zauszniccy od lewego stołu.

W tem trzeci z towarzyszków Janka zwrócił się do biskupa, z uniesieniem wołając:

— Nie my! Wy obawiajcie się boskiej kary. Bóg cierpliwy, *quia aeternus*, dopuszcza zbrodnie, ale się za nie mści nie tylko w wiecznem bo i doczesnem życiu.

Mówca nie pośpieszył to wyrzec, gdy także krzyżeć począł, obie nogi miał pod stołem rażone gwoździami. Zwinął się na ławie podnosząc je.

Ksiądz Janko tymczasem do siebie przyszedł i z kolei miał głos zabrać. widząc, że ich niepoczciwą zdradą, w oczach całej kapituły szalonymi uczynić chciano.

Lecz zaledwie słowo wyjąknął, gdy ukłuty znów, boleśniej jeszcze niż po raz pierwszy, musiał jęknąć podnosząc ręce

Wszyscy inni co z ks. Jankiem poprzychodzili, niezmiennie strwożeni tem, ruszali się od stołu chcąc powstawać, gdy ich spotkał los pierwszych.

Kłuto i darto im nogi nieznosnie, tak, że partrzącym na te męczarnie, poruszenia, podskoki, rzućania się, musieli się wydać szalonymi.

Byli niemi z boleści.

Od przeciwnego stołu śmiechy, wołania szyderskie, wytykania ich, coraz się powtarzały gwałtowniej.

W sali zgiełk panował. Biskup siedział tryumfujący.

— Na szalonych, opętanych, nim szatan wyzwoli, nie ma innej rady - rzekł głośno - tylko dać ich pod straż pilną, aby ludziom szkodliwymi nie byli.

Skinął ku drzwiom głównym, które się zaraz otwarły, a przez nie ujrzeli biesiadnicy zbrojnych stróżów więziennych i biskupich siepaczy, czeladź najpodlejszą, pisarzy, parobków, którzy śmiejąc się, ze sznurami w rękach stali, czekając na rozkazy.

— Wiązać ich! do ciemnicy! — wybuchnął biskup — zamknąć na chleb i wodę, aż zmysły odzyszczą.

Janko z towarzyszami widząc już jaki los im był zgotowany, nie mówił nic. On i z nim będący wszyscy, nie tracąc ducha, nie okazując trwogi, stali gotowi na wszystko.

Ten spokój naznaczonych na męczeństwo ludzi, biskupa do wściekłości przywiódł.

— Wiązać szalonych! wiązać! do lochu!—powtarzał, trzęsąc się cały.

Wtargnęli burmem do izby biesiadnej stróże i z dzikiem barbarzyństwem ludzi, którzy się radzi pastwią nad wyżej od siebie stojącemi, poczęli księży chwycić, targać, ciągnąć i bić, choć się im ani opierali, ani bronili.

Janko najbliższy biskupa siedzący, że nierychło kolej nań przyszła z za stoła być dobytym, miał czas podnieść ku niemu rękę i zawołać:

— Bóg wielki skarże cię, pójdiesz na wzgardę i obydę wiekom potomnym! Amen!

Pokaleczono mu nogi znowu, gdy to mówił, a siepacz za kołnierz porwawszy go, z za stołu jęczącego wyciągnął.

Nim jednak wszystkich pobrano i pokrepowano, nim gwałt dokonany został, pół stołu obalili stróże, izbę zarzucono naczyniem, potrawami, winem zalano. szczyrby okryły podłogę. Przez otwarte drzwi wpadła zgraja psów, resztki jadła chwytając chciwie.

Czasu, wśród tego zamieszania upłynęło dosyć, biskup Paweł siedział, śmiał się, podzegał, parobkom ukazywał, aby, więźniów nie żałując, smagali. Ci też idących sznurami, które im w rękach pozostały, bili po plecach i głowach. Padali niektórzy, wleczono ich po ziemi. Tak nareście wszystkich zagarnięto, a z pod obalonego stołu pacholeta śmiejąc się powyskakiwały, które z polecenia i rozkazu biskupa, nogi kanonikom razily, aby ich wrzekomo szalonymi uczynić.

Wnet zabrano się zbierać skorupy, naczynia, wycierać podłogę, na nowo ją posypywać i do porządku a ładu izbę przywracać, bo na tem się biskupia biesiada skończyć nie miała.

Był to tylko wstęp do niej.

Ze złośliwym uśmiechem obracając się do swoich, Paweł krzyknął:

— No, teraz już spokojnie pożywać możemy, gdyśmy się opętańców pozbyli!

Niektórzy z zauszników śmieli się na całe gardło, ale w duszy nie jeden zadrżał myśląc, że ten sam los spotkać go może. Udawano wesołość, której nikt nie miał w sobie. Biskup mógł to odgadnąć, gdyż podczaszemu nalewać kazał, a sam jeden po drugim wychylając kubki, dobry przykład dawał.

Wrzawa w sieni w czasie, gdy więźniów wyciągano i wiązano panujaca, powoli nstawać poczęła. Chłopięta rumiane z długimi włosami, z uśmiechami figlarnymi na ustach zwijały się posługując, nowe misy wnoszono, ale rozmowa przzerwana tak tragicznie, na nowo się zawiązać nie mogła, choć wszyscy byli w gronie poufałym i nie im swobodnie języki puścić nie broniło.

Po śmierci Werchańca, Paweł, który takiej prawej ręki, a raczej takiej *anima damnata*, jaką nieboszczyk był, potrzebował, dobrał sobie dalekiego powinowatego, który łotrostwem i rozpustą straciwszy wszystko, dwa razy na gardło sądzony, tulał się, prawie mrąc z głodu. Zwał się on Wit Półkoza, nie młody już był, dawnego życia nosił pamiątkę na jednej ręce, u której już żadnego palca nie było. Kłykciami pozostałemi radę sobie dawał. Nos też miał na wpół przecięty nie w boju, ale w karczmie, gdy go raz chłopię pijanego zbili w pół śmierci.

Wit ten, dla którego niczem było spełnić rozkaz wszelki, byle się miał z tem dobrze, pewien bezkarności, a w razie przewinienia zagrożony więzieniem, posługiwał biskupowi zastępując Werchańca. Służył mu jako pies, który nie patrzy na co i na kogo jest poszczwany.

Jemu było zlecone więźniów wywlec, pozamykać i straż około nich postawić.

Spełniwszy to, zjawił się, dobrze już napiły i tem zuchwalszy, w progu stanął, dał znak, a potem

zaraz na swem miejscu u drzwi siadł. Wszyscy do rozmowy byli nie ochotni, nań przypadło rozweselać.

Więc, dobrze wiedząc, co najlepiej w smak panu, począł:

— Na Wawelu—rzekł—wszyscy miejscy murarze na gwałt pracują. Księżna pani kazala murem na pół przegrodzić pałacę, aby dwie płcie od siebie odłączyć i na pokusy je nie narażać. Będą tedy dwa klasztory na zamku, co się chwali Jej Miłości!

— I bardzo — odezwał się biskup złośliwie. — Książę Bolesław widząc drugich z niewiastami dobrej przyjaźni zażywających, samby może innego żywota zapragnął.

— Na to poszło—rozśmiał się ks. Szczepan—iż Piastowie chcą wyrzeć bezpotomni. Poczęła to ks. Jadwiga, Brodatego od siebie odsadziwszy, królowa Salomea poszła za nią, a nasza pani dąży w ich tropy.

— Zaprawdę, nawet słusznie się od pomnażania rodu swego wstrzymują — dodał biskup szydersko.—Mamy ich przecie dosyć, albo i nadto. Jeden dobry stałby za tę gromadę.

Z za węgla stołu wystąpiła twarz śmiejąca się z oczkami przymrużonemi księdza Kwoki. Nosił on to przezwisko, pod którem go wszyscy zuali, choć miał inne rodowe. Że dużo mówił i na dworze biskupim drugich zabawiał, dostało mu się w nagrodę.

— A cóż!—rzekł—gdyby Miłość Wasza dozwoliła, tobyśmy przy tej biesiadzie, dla uczynienia jej pobożną, jak się należy osobom duchownego stanu, mogli sobie zaśpiewać Litanję Piastowską.

Drudzy na samą o niej wzmiankę śmiać się już zaczęli, biskup nie sprzeciwiał się wcale.

Kubki przez podczaszego w okół nalewane popieszczenie i wychylane nie mieszając, umysły do tego szyderskiego śpiewu, którego ks. Kwoka był autorem, dobrze przygotowały.

— Litanję uaszą! Litanję!—wołano z za stoła...
zaśpiewajmy.

Ks. Kwoka wydobył się nieco z kąta, ułożył
minę pobożną a śmieszłą, ręce ścisnął i na głos, spo-
sobem kościelnym, zaintonował:

— Bolesławie Czysty!

— Oczyść nas!—odpowiedziano mu chórem.

— Bolesławie Pobożny Odonowiczu!

— Módl się za nami!

— Bolesławie Tęgi, Ziemowita synu!

— Zawojuj nas, jeśli możesz!

— Toby się zdało — wtrącił biskup.

Śpiewano tymczasem dalej, śmiejąc się i wy-
krzywiając.

— Bolesławie Rogaty!

— Nie bodź nas niemi!—odpowiadano.

— Gdyby nam tu dał swego skrzypka! — mru-
knął Wit—tenby się zdał.

— Bolesławie maluski, Łysego synu! — śpiewał
Kwoka.

— Rośnij powoli.

— Konradzie Czerski!

— Nie mac nam wody.

— Konradzie Glogowski kleho!

— Ożeń się gdyś się wywłókł.

— Konradku Ślązki.

— Siedź doma spokojnie.

Prawie każdej odpowiedzi coraz bujniejsze to-
warzyszyły śmiechy.

— Bracia Przemysławie i Henryku!

— Pijcie piwo Świdnickiel

— Na nasze kwaśne nie przychodźcie! — dodali
drudzy.

— Choćby do nas zajrzeli—zamruczał biskup—
nie byłoby nam z niemi gorzej niż jest.

— Leszku Czarny, synu ojca zwadliwego!

— Siedź doma! Siedź doma!

— A tu nam go właśnie chce na kark dać Bol-

ko, nie spodziewając się potomka — rzekł biskup — lecz nie dokaże tego!

— Kaźmierzu Opolski!

— Rośnij zdrów!

— Przemku Poznański!

— Siedź w swej dziurce!

— Włodku Kujawski! — śpiewał ks. Kwoka.

— A kiedyż im koniec będzie? — zapytał ks. Paweł — jeszcze nie wszystkich wysypałeś Piastowiczów.

— O! nie! — odparł trefniś. — Ziemowity jeszcze mam na ostatnie danie... a tych w Kujawach i na Mazowszu jest kilkoro!

Śmiechy i rozmowy dokończenie litanji zagłuszyły.

— Jest ich dosyć! jest — mówił autor litanji — nie potrzebujemy obawiać się, aby nam ich zabrakło.

— A to nieszczęście nasze — podchwycił głośnie biskup. — Wszystko to prawie poniemczało. Karły są i niedolegi. Jednych żony trzymają na paskach, drugich ulubieńcy. Bronić od Tatarów nie ma nas komu, a między sobą się jeść, bić, więzić, zarzynać — poddostatkiem!

— Prawda święta — dorzucił ks. Szczepan — że gdybyśmy nie mieli jednej głowy naszej w Pasterzu Gnieźnieńskim, a mocy w biskupach, kraje by te marnie na kawały się rozdrobiły i Niemcy by je wyłkali po troszę.

Na wspomnienie arcybiskupa Gnieźnieńskiego przeszedł cień po twarzy Pawłowi.

— Gnieźno! Gnieźno! — zawołał — ono nam w kościele przewodzi więcej przestarzałym obyczajem, niż prawem. Biskupstwo moje miało pałusz, który opieszałością straciło. Tam sobie metropolję przywłaszczono. Kraków był i winien zostać głową tych ziem, a biskup jego stanać najpierwszym...

Potakiwano mu głośnie.

— O! tak! takei po Bożemu być powinno.

— I tak kiedyś jeszcze będzie—dodał biskup—
gdy się o to postaramy.

Rozmowy weselsze coraz rozpoczęły się po kątach. Wit skorzystał z tego i po cichu, dobrze napity, więc tem śnielszy, do pana swego przystąpił. Korzystał on ze swobody dnia tego i nalał w siebie więcej niż kiedy, ale mógł też wiele znieść, i póki stał, nigdy przytomności nie tracił, dopiero gdy na łożu legł, kłoda był bez czucia.

Dworując biskupowi, przyszedł do ucha jego z opowieścią o księżach nwiężionych. Jak ich rozmieścił, pozamykał i kogo na straży postawił. Po-tem jeszcze ciszej rozwodzić jął skargi na Toporczyków, przeciw dworowi książęcemu, Wawelowi i rozmaitym wrogom najmiłościwszego pana. Dostał w końcu kwaśną odprawę, bo biskup nie rad był, ażeby go posądzano, iż go ktokolwiek obchodził, albo mu się mógł wydać groźnym. A gdy się ze swemi doniesieniami upierał, nadając im wagę wielką, do gniewu w końcu pobudził biskupa, który go łajaniem odprawił, i poszedł Wit jak zmyty.

Gdy się to działo w jednym końcu stoła, uczta dalej coraz weselszą i gwarliwszą się stawiała. Po owej szyderskiej litaneji piastowskiej, ks. Kwoka zaczął zadawać zagadki, nucić piosenki. Śmiechy się rozlegały, wrzawa robiła straszliwa.

Kwoka śpiewał:

Inter Prandium—Sileutium,
Stridor dentium,
Rumor bibentium,
Vox clamantium...
Vociferatio amentium...

Ktoś inny półgłosem zaintonował:

Quid invad aeternitas...
Nominis — amare
Nisi terrae filias
Licet et potare!

Ale dalszy ciąg w zatkniętych dlonią zamart
ustach...

Po katach i śmielsze jeszcze śpiewki podawano
sobie do ucha...

Swoboda była wielka. Biskup rad na nią ze-
zwalał, bo tem przywiązywał do siebie...

Ulubieńcom jego wszystko było dopuszczonem,
lecz słuchać za to musieli nie szemrząc i wszelkie
spełniać rozkazy.

Wino dozwalało prawie o tragicznym biesiady
początku zapominać. Uwolniono się od ludzi, którzy
żywym dla innych byli wyrzutem. Biskup, chociaż
wesołego udawał, był niespokojnym i podrażnionym,
wołał i odpędzał Wita, naradzał się po cichu z ks.
Szczepanem, mruczał sam do siebie.

Ledwie jednego odpuścił od siebie, drugiego
powolywał.

— Patrzeć — powtarzał Witowi — aby mi się
który z opętanych nie wyrwał. Mają tu znajomych
a może i przyjaciół, głupi stróżę gotowi się dać na-
straszyć lub njać... Pilnować mi ich jak oka w gło-
wie!

Jeżeliby który ukorzył się, prosił, żądał swobody,
mnie dać wiedzieć. A głodem niech mrą, kiedy się
im męczeństwa tak chciało. Ogadywali mnie, że posty
łamię, niech za mnie o suchym chlebie odpokutują!

Uczta przeciągnęła się do późna, ale biskup nie
dotrzymał do końca. Z kanoników niektórzy głowy
na rękach położywszy, na stolach spali, drudzy o ścia-
nę się sparszy z oczami zamkniętymi a nsty otwar-
temi, drzemali i chrapali; naostatek inni zapomniaw-
szy na stan swój, plugawe i grubijańskie żarty stroili.

Obych nie było, mogli więc pozwolić sobie, a ks.

IV.

Na dworze biskupim, chociaż niby szczerlnie był zamknięty i strzeżony, choć obcych doń nie wpuszczano łatwo, choć żyjącym na nim przykazane było milczenie, a zdrajców nikt poszłakować nie mógł, jednak gdy się co stało, tajemnicy w sobie nie strzymał. Rozchodziły się zbyt prędko wiadomości po mieście i po świecie.

Najwierniejsi słudzy biskupi. czasem jakim strachem zdjęci, niepokojem, zgryzotą, szemrali między sobą, niekiedy plotkę po za dom półgębkiem wynieśli. Z początku tym poczwarnym wieściom o życiu Pawła nie wierzono, gdyż nigdy nikt podobnego pasterza na stolicy nie pamiętał, ani o takim słyszał, nareszcie zbytki te jawnemi się stały, niemożna im było zaprzeczyć. Uwięzienie kanoników wybierających się ze skargą do Rzymu, było jawnym gwałtem, a choć zausznicy biskupi tłumaczyli je tem, że ludzie byli szaleni, czy opętani, znano ich zbyt dobrze, by temu uwierzyć. Dowiedziano się wkrótce w jak srogiem trzymano ich zamknięciu, i że jeden z ran zmarł, a choć go nocą pochowano, bez żadnego obrzędu i dzwonów, doszło to do rodziny, a nawet na zamek do księcia.

Zmarły, kapłan pobożny, znany był dobrze księżnie Kindze, która go opłakiwała. Książę Bolesław żałował go także.

Reszta więźniów nie poddając się, modliła, cierpiała, głodem marła, a gdy Wit ich namawiał, aby się poddali i o przebaczenie prosili, odpowiadać nie chciała. Biskup, któremu o tem donoszono, coraz bardziej był rozjątrzony.

Powtarzał ciągle:

— Niech zdychają! niech zdychają!

Kanonik Janko, męczennik prawy, nie poskarżył się nawet nigdy, nie przemówił o nic do stróżów. Ku temu, jako przewodzczy, Paweł miał największą złość i gniew. Lecz więzień miał siłę nie wszystkim daną, ducha wielmożnego w sobie, tak, że mógł nicokazywać nawet, iż cierpiał. Siepacze do brze wybrani, bezlitośni jak zwierzęta, patrząc nań, czuli trwogę jakąś, nie pojmowali tej nie ludzkiej nieugiętości..., tego spokoju i pogody na twarzy.

Inni więźniowie choć mniej hartu mieli, słabsi ciałem, nie wypraszaali się też, nledz nie chcieli. Wit nawiedzał ich z udaną litością, namawiając by prze-prosili pasterza, nie odpowiadano mu.

Janko, gdy mu natręctwem dokuczył, spokojnie i łagodnie wyrzucał, jak się mógł podjąć obo-wiązków kata i siepacza.

Gdy ci biedni siedzieli zamknięci, luminarz kapituły, stary ks. Jakób ze Skarzeszowa, jak sam sobie przepowiadał zawczasu, zgasł pobożnie śmiercią sprawiedliwych. Biskup czuł w nim nieprzyjaciela, nauka jego i świątobliwość wyrzutem dlań były, odetchnął swobodniej, gdy się o zgonie jego do-wiedział.

Starzec jednego wieczora uczył się słabym, przywołał swego spowiednika, prosił go o wijatyk i ostatnie pomazanie, rozmawiał z nim spokojny i do snu poszedł o zwykłej godzinie. Zdawało się, iż lekarstwo duszy i ciała wracało siłę.

Z rana, gdy sługa stary do izdebki wszedł, znalazł go klęczącym przy łóżeczku, jakby pacierze ranue odmawiał. Spuszczoną miał tylko na ręce głowę, jak gdyby usnął znużony. Lecz gdy się ku południowi miało, a on nie poruszał się, niespokojny sługa, księżom dał znać; ci, przybywszy, zastali go już zastygłym, bez życia...

Zgon musiał jeszcze w nocy nastąpić. Dla kapi-tuły strata to była niepowetowana, dla biskupa ra-

dość potajemna. W jego miejsce zaraz posadził jednego ze swoich...

O śmierci tej stróże donieśli ks. Jankowi, zapłakał, pomodlił się, a choć w nim stracił opiekuna i ojca, nie był złamanym...

Ciągnęło się tak do wiosny, ciągnęło do lata. Biskup bezsilną żarł się złością, a straciwszy już nadzieję, aby opór ich pokonał, rozkazał Witowi potajemnie, mimo wiedzy jego, co słabszych wypuszczać, dać się im wykradać...

Otwierano drzwi jakby nicopatrzenie, stróże odchodzili, nie bronił nikt odzyskać swobody, powracali więc do cel swoich.

Został tylko ks. Janko i z nim dwu najtwardszych, do których Paweł miał żal największy, nienawisć nieubłaganą. Okna ich więzienia wychodziły na podwórze, nie jeden raz ks. Paweł, idąc i przejeżdżając, słyszał ich nucących pieśni pobożne. Głosy te gniew w nim rozbudzały na nowo, były jakby urąganiem się przemocy... Wołał naówczas do ks. Szczepana:

— Niech zdychają pobożni kantorowie! Wkrótce im tego pięknego głosu nie stanie.

Tymczasem nad głową zuchwałego burza się zbierała. Różnemi drogami dochodziły o nim i o jego zbytkach wieści do Rzymu; napominał arcybiskup gnieźnieński, aby się oczyszczał i tłumaczył. On na to odpowiadał dumnie, że się do żadnej nie czuł winy, arcybiskupowi zaprzeczał prawa mieszania się do spraw swoich...

Na księcia Bolesława nalegano ciągle, ażeby on tej rozpuście i wyuzdaniu koniec położył. Szczególniej zawzięcie instygowali przeciw biskupowi Toporzycy oba.

Zgorszenie w istocie wielkie było, szemrało niższe duchowieństwo, a co gorzej, niektórzy pasterza

naśladowali. On zaś im dłużej trwał bezkarnym, tem się się stawał zuchwalszym, nie kryjąc się z niczem.

Bieta panowała nad nim, czyniła co chciała, ważyła się na wszystko.

Widywano ją bez zasłony w oknach dworku, jeżdżącą na wozach, których konie i ludzie biskupi byli jak ona. Znało już ją miasto całe i wytykało palcami.

Jeździła i chodziła uragając niewiastom uczciwym, w końcu nawet na Wawel do kościoła poczęła strojna przybywać, cisnąć się przed same kratki i oczy zwracając na siebie.

Starszy z Toporczyków Żegota, nieustannie księcia Bolesława kusił, ażeby wprost jawno grzesznika porwać kazał, zamknąć gdzie na zamku jakim i do Rzymu posłał sprawę, dla czego to uczynił.

Z założonego przez księcia Bolesława klasztoru św. Franciszka lub Dominika, jednego z mnichów łatwo wysłać było, jako mniej zależnych od władzy biskupiej, bo zakony te pod bezpośrednią papieżką opieką zostawały.

Gdy mu to wmawiano, pobożny Bolesław, we wszystkim wahający się i w sumieniu trwożny, wzdychał, narzekał, lecz targnąć się na pasterza, do którego prawa niemiał nikt oprócz stolicy rzymskiej, nie ważył się.

Skargę gotów posłać był, samowolnie więzić nie chciał. W takim razie czy winien był biskup lub nie, kłatwa i interdykt groziły. Względem kościoła uległy, syn jego posłuszny, książę słuchać nawet nie chciał, gdy go Toporczycy na śmielsze wystąpienie, wraz z innemi namawiali.

Oburzenie ziemian i duchowieństwa w końcu tak się jawnem stało, iż Bolesław wahać się poczynął. Żądano od niego, ażeby jeśli sam nie chce wystąpić, dopuścił ziemianom kościół ratować.

Zgorszenie z każdym dniem rosło, szkody też ponosiło duchowieństwo; bo dobrami kapituły i bi-

skupiem i Paweł obracał jak własnością swą, dochody trwoniąc, grunta mieniając, ziemie nadając samowolnie.

Bolesław płakał nad tem, lecz występować sam nie czuł się mocnym. Księżna Kinga sromotała się i modliła.

Toporczycy, ludzie mężni, nawykli do przeprowadzenia siłą woli swej, ufni w to, że za sobą duchowieństwo mieli, a to co zamierzali uczynić, dla dobra kościoła podejmowali, nieustawali w naleganiach na księcia, jawnie głosząc, że gotowi to na swą rękę wziąć i dokonać.

Upłynął rok cały, począł się drugi, a biskup nie tylko trybu życia nie zmienił, ale się coraz z nim mniej tail.

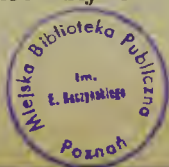
Wiedział dobrze, iż na Wawelu w pobożnym dworcu pańskim złem go okiem widziano, że Kinga, święta pani, unikała spotkania z nim, że Bolesław mu niechodził i zamykał się przed nim; na złość więc do zamku się napierał, wtargał, rozsiadał, rozmowy długie poczynął, bezbronnego w nich pana kąsał, powagi swej nadużywając bez litości.

Ludzie, przykładem pana rozzuchwaleni, naśladowali go i pozwalali sobie po mieście, po wsiach, bezkarnie ngniatając kmieci i ziemian.

Z Toporczykami, których nienawiść dla Pawła jawną była, wojskowy dwór biskupa kilka razy się zadarł tak, iż do krwi rozlewu przychodziło. Ci zawsze siłę mając przemagającą, ludziom Pawła dawali się we znaki.

Z księciem choć do jawnej wojny nie przyszło, gorzej niż bój trwał, bo niechęć rosnąca, na każdym kroku widoczna, czekająca tylko chwili i zrzeczności do wybuchu.

Co się tylko na Wawelu działo, mówiło, zamierało, biskupowi było solą w oku. Głośno mówił, że tych zniemczających Piastów wygnać precz należało, a zdrowszych na ich miejsce szukać. Nie w smak



i to mu poszło, gdy Bolesław sobie za następcę wcześniej wyznaczył kujawskiego Leszka, od włosów Czarnym zwanego, bratanka, od stryjecznych.

Gniewał się, iż w tem rady jego nie zasięgano. Leszek ze krwi po ojcu Kazimierz, obiecywał być rycerzem dzielnym, lecz prawdą było, iż chował się po niemiecku. ubierał na ich sposób i Niemcami chętnie otaczał.

Biskup roił o następcy ze swej ręki, zapewne którego z Mazurów, więc się zawczasu kłął, że Czarnego do rządów nie dopuści.

Odgróżki te nikomu nie były tajne, ale nie wiele na nie zważano.

Sprowadzony z Kujaw Leszek, uroczyście ogłoszony za przybranego syna i następcę, żenił się na Wawelu z Gryfiną Rościsławówną, księżniczką ruską. Na zamku się odbyło wesele z obrzędami świetnymi, ze wspaniałością wielką.

Biskup odgrązał się głośno, a czasu pobytu Stefana króla Węgierskiego ledwie się na zamku ukazał, lekceważąc sobie Bolesława, szydersko odzywając się o Leszku.

Jeździł do Wrocławia, na Śląsko, na Mazowsze, a Toporzycy utrzymywali, iż zdrady jakieś zamierzał i spiski knuł.

Czasami wycieczki te jego trwały długo. Naówczas wozem krytym jechała za nim Bieta, siedziała gdzie był, lub nieopodal od niego.

Toporzycy o wszystkim uwiadomieni, odgrążali się, iż nie długo to już trwać będzie, a na biskupstwie przeciwnie zapowiadano, że niedołęжных książąt Paweł wyżenie wkrótce i znajdzie takich, co mu do tego pomoga.

Z ostatniej swej tajemniczej wycieczki wracając do Krakowa biskup, gdy jak zwykle o Wita pytać zaczął, któremu straż nad więźniami polecił, nierychło się go doczekał.

Przywłókł się doń Półkoza, obwiązany płachtami,

nakuliwając, o kiju, i gdy go łajaniem Paweł powitał, przyznał się, iż mimo czujności jego, w czasie niebytności biskupa, na dwór napadnięto i więźniów z kuny wyłamano.

Wit zaprzysięgał, iż bronił się do ostatka, że go posieczono, stratowano nogami, ledwie żywego porzucono w podwórze. Opowiadał, iż to była sprawa Toporezyków, i że oswobodzeni wprost do Balice uszli, i dotąd tam pozostali.

Biskup niepohamowany w gniewach swych, usłyszawszy o tem, rwać się począł, jakby zaraz na koń chciał siąść, na Balice ciągnąć i więźniów odbijać. Po namyśle jednak Wita odegnał precz, i nie przedsiębrał nic.

Nazajutrz tylko, pojechał na zamek z takim usposobieniem, iż słudzy obawiali się, ażeby wystąpieniem jakim zuchwałem przeciw księciu nie naraził się na niebezpieczeństwo.

W przedsieniach dworca, spotkawszy się z nieławistnemi Toporezykami, którzy naumyślnie może mu się nastreczyli, wtargnął do komnat księcia tak gniewny, iż Bolesław zląkł się groźnego oblicza.

Nigdy Paweł nie szczędził księciu, ani mu okazywał powolności. Jako sasterz i duchowny czuł mu się równym, nie lękał się go wcale, wiedział, że świecka władza nie może nad nim nic, a znał nadto Bolesława, by go o myśl tę nawet posądzał. Bywały naówczas przykłady targnięcia się panujących na duchownych, lecz zawsze oni pokutować za to musieli. Rzym bowiem bronił służby swoje.

Cesarze nawet niemieccy ulegać musieli, piorunów kłatwy się lękając.

Bezkarność ta tem zuchwalszym czyniła biskupa. Zajechał na zamek nie jako duchowny ojciec, lecz jak nieprzyjaciół. Był też z postawy i teraz jeszcze więcej do wojownika, niż do kapłana podobny. Twarz, ruch, mowa były dumne, opryskliwe, szyderskie.

Ujrzawszy go Bolesław, strwożył się i nie mógł

ukryć z tem uczuciem. Nie lękał się on człowieka, lecz Boży sługa mocą z niebios daną wyposażony, onieśmiał go.

Paweł zaledwie głowę skłonił stając przed nim.

— Waszej miłości ludzie — rzekł szorstko — pewno nie bez wiedzy i rozkazu jego, dopuścili się rozboju i napaści na dworze moim, czasu niebytności mej.

— Mój ojciec — odparł Bolesław łagodnie — o niczem niewiem. Rozkazu nie dałem żadnego.

— Nie może to być! — zaprzeczając wprost odezwał się biskup. — Jawnem jest, iż to twoi słudzy uczynili, Toporezycy, przyjaciele, towarzysze, ulubieńcy.

Wybuch gniewu był tak gwałtowny, iż mowę mu zatamował.

— Wicie — począł odetchnawszy — co to jest targnąć się na władzę, na dom, na czeładź pasterzał jestto na niego samego godzić! Wicie jaki los spotkał Szczodrego, choć tamten królem był, nie jak wy, książęciem. Ani pobożność, ani świątobliwość wasza nie ocali was od klątwy!

Książę, który dotąd słuchał cierpliwie, uczuł wreszcie poruszającą się krew w sobie. Miara była przebrana. Cofnął się zarumieniony, skłopotany, lecz dumny... i rzekł spokojnie:

— Słowo moje książęce daje wam, iż o niczem niewiedziałem.

— Dowiedźcie się więc teraz — gwałtownie wykrzyknął biskup — gdy ja to mówię wam, skargę zanoszę i winnych ukarania się domagam.

— Odbili mi więźniów! Kto tu ma prawo⁷ stać pomiędzy mną a duchowieństwem mi podwładnem? Ani wy, książę krakowski, ani król nawet żaden, gdyby tu jaki był, ani nikt krom Boga i rzymskiego biskupa!

Groźno to wywoływał, głos podnosząc, Bolesław z głową schyloną, mileżał. Paweł unosił się coraz bardziej. Słysząc go było mówiącego gniewnie po komnatach sąsiednich, w podwórzu. Dwór znajdujący

się tuż, drżał z oburzenia chwytając wymówki czynione panu swojemu, tak zuchwale.

Milczenie księcia, cierpliwość z jaką znosił tę napaść, zimna krew i wyraz dumny na czole pańskim, niecierpliwiły biskupa.

— Wasza Miłość zapomnieliście pono o tem— ciągnął dalej— że tu z tej stolicy, niejeden z poprzedników waszych, gdy go pasterz nie chciał, precz iść musiał; że biskupi siłę mają, z którą mierzyć się niebezpiecznie. Znajdą oni poparcie nie tylko w Rzymie, nie tylko u braci swej, ale u ziemian i u sąsiadów.

Wołał tak biskup, jakby chciał Bolesława do gniewu doprowadzić; jakoż najzimniejsza krew nawet, od takiego smagania słowy wzburzyć się musiała. Bolesław stał długo niemy, oczyma wodząc po komnacie.

— Ojcie mój — odparł w końcu z dumą pańską — przemawiacie do mnie nie jak kapłan i Pasterz... ale jako nieprzyjaciół, który wyzywa... Słuchać was nie chcę i nie mogę; tłumaczyć się nie będę.

— Będziecie! powinniście! — zawołał biskup, nie hamując się jeszcze.

Tych słów już prawie nie słuchając, Bolesław drżący od gniewu tłumionego, podszedł ku drzwiom bocznym, otworzył je i wyszedł do komnat dalszych, a podwoje natychmiast się za nim zamknęły.

Biskup pozostawszy sam, rzucił się jeszcze gniewny po izbie pustej, chodził spodziewając może powrotu, wreszcie zważywszy, iż zadaleko się posunął, bo najłagodniejszy z ludzi cierpliwość w końcu postradał, usiadł na ławie i klasnął w rękę.

Wszedł powoli stary ochmistrz księcia.

— Oznajmicie Jego Miłości — odezwał się Paweł — iż nie ruszę się stąd nie dokończywszy rozmowy. Pasterz ma prawo upominać się i napominać, niech wynijdzie!

Nie nie odpowiadając stary wysunął się, czas jakiś nłynął nim powrócił on, i w drugich drzwiach Bolesław się ukazał.

Biskup znacznie był ostygł. Powstał zobaczywszy księcia.

— Nie dziwujecie się Miłość Wasza—rzekł—iż się uniosłem, bom krzywdy doznał. Nie zwykłem do tego i domagam się na winowajcaah kary.

— Wskażcie ich—odparł Bolesław.

— Głos powszechny ich wytyka, Toporezycy wasi są!

— Kaźcie przeciw nim dowieść tego—rzekł książę. Biskup się wstrząsnął.

— Odmawiacie mi sprawiedliwości?—spytał.— Dobrze! donierzę ja sobie sam, albo kto inny!

Powiedziawszy to, zwrócił się i niepozdrawiwszy księcia, pośpieszył do dworu, który nań czekał. Pominał Toporezyków nie spojrzawszy na nich. Żywo dosiadł konia, dał mu ostrogę i do wrót puścił się cwałem.

Za nim z przedsienia ozwały się śmiechy.

Powróciwszy do dworca swego, biskup natychmiast radę ściągnął, ludziom swym kazał się zbierać, chciał na Balice iść, lecz przekonał się wprędee, że sprawa trudniejszą będzie, niż się spodziwał. Zaniechał więc ją na pozór, lub raczej odłożył.

Miedzy Wawelem a biskupem stosunki zostały zerwane.

Wpadł biskup na tę myśl, aby sobie ziemian krakowskich starać pozyskać—zapóźno. Chciał ich mieć przeciwko Toporezykom i księciu. Pamiętał o tem, ile razy rycerstwo krakowskie wyganiało panów swych, poparte przez Pasterzy, a nowych na stolicę wprowadzało. Działo się tak za Kazimierza i Leszka.

Lecz do Pawła ludzie przystać nie mogli, nie miał po sobie ani enoty, ni powagi poprzedników.

Poznawano go coraz lepiej, ci co mu się karcić i poić dawali, nie wiele mogli, inni nawoływać się nie dawali. Dwór jego tak mało miał znaczenia między ludźmi, jak on sam.

Życie szło po staremu, jawnie bezwstydnie i roz-

pasane. Biesiadom i nczutowaniom dniami i nocami nie było końca. Bieta z dworku przeniosła się w podwórze samo i zajęła w niem mieszkanie od przodu.

Niektórzy z zauszników Pawła dopuszczeni bywali do oglądania jej oblicza. Biskup prowadził ich z sobą, śpiewać i płaszać kazano przy nich dworowi dla zabawienia gości. Okna często stały otworem czasu odwiedzin.

Bieta, która w początkach walczyła jeszcze z sumieniem i wspomnieniami klasztornemi, czuła się trapiącą zgryzotami i nieszczęśliwą, powoli oswoiła się ze swem położeniem, szukała teraz w życiu wszelkiej rozkoszy, jaką ono dać jej mogło, upajała się niemi.

Paweł, którego znano dawniej jako niestalego i łatwo zmieniającego upodobania, zrażającego się do ludzi; trwał w przywiązaniu do mniszki, i co dziwniejsza, dawał jej przywodzić nad sobą, często najobelżywsze znosząc wyrzuty i lajania, a niewybuchając gniewem. Z nią umiał być łagodnym. Ludzie wprawdzie prorokowali, że się to rychło zmienić musi, lecz dotąd niewola zawojowanego była coraz ostrzejszą.

Gdy zmuszonym był od niej się oddalić, śpieszył z powrotem niespokojny, a zaledwie przybywszy na nie nie zważając, szedł do niej. Wstyd wszelki stracił.

Bieta też, choć się z nim obchodziła jak z jeńcem wziętym na wojnie, była mu wierną i przywiązanie jej dzikie namiętne, zwierzęce, zdawało się wzrastać z czasem.

Grzeszne to stadło żyło w wiecznym sporze, w kłótniach, lecz potrzebowało się wzajemnie.

Rozlegały się często krzyki z izb Biety, jęki, lajania, lecz zawsze kończyły się zgodą i gorętszem jeszcze przywiązaniem.

Nazajutrz ona brała górę, i czyniła co chciała, opierał się, obruszał i nęgał w końcu. Dość jej było wlepić weń czarne swe ogromne, groźne a płomieniste żrenice, aby go pokonać i zmusić do prześlągania.

Biskup nieraz odszedłszy upokorzony, gniewał

się na siebie, wyrzucał sobie nieprzebaczoną słabość, a gdy powrócił do niej, ulegał znowu.

Najmniejsze podejrzenie o zdradę, o słabość jakąś dla niewiasty, do wściekłości unosiło Bietę.

— Jeśli myślisz zbyć się tak mnie jakieś się drugich pozbywał — wołała grożąc mu — biada tobie i mnie! biada!... Ja cię nie puszczaę, hom ja jastrzębiem, z którego szponów trupem chyba wypadnie co one schwyciły! Nie pozbędziesz się mnie, chyba zamordować każesz.

Na te pogróżki biskup niby się uśmiechał, lecz po troszę się ich lękał. Pomimo namiętności ku niej, możeby był tę zbyt jawną kochankę usunął dawno. oddalił gdzieś i ukryć się starał, lecz się obawiał rozpacz i zemsty. Znał ją i wiedział, że co mówi, dotrzyma.

Przez długi czas Zonia, którą wywieziono precz i strzeżono gdzieś na wsi we dworze, który wraz z ziemią biskup dawniej im nadał, nie pokazywała się wcale.

Lecz czas zdawał się wielki jej żal ukajać. Przez różne posły zaczęła się zgłaszać do biskupa, aby jej na swój dwór wrócić pozwolił, obiecując mu służyć wiernie. Biskup opierał się dość długo, wreszcie znajdując ją potrzebną dla dozoru i posługi przy Biecie, i sam do jej usług nawykły, dozwolił na powrót do Krakowa.

Zjawiała się wdowa zmieniona, zestarzała, schudła, kaszląca, z pokorą wielką i bez wyrzutu na ustach.

Zajęła zaraz swe dawne miejsce nad czeladzią i poszła do Biety.

Ulubienica przyjęła ją dumnie i niechętnie, pamiętając na dawne spory i niesnaski. Lecz, Zonia była zupełnie inną. Stała się sługą, starała być potrzebną, zabiegała o laski. Tem zyskała sobie Bietę, a po dniach kilku, już się bez niej obejść nie mogła.

Zonia przynosiła jej z sobą jakąś wesolość usłużną, gotową na wszystko dla przypodobania się. Umiała mówić, zabawiać, przypodechlebić się, wpadła w łaski.

Gdy nikogo w dworku nie było, przychodziła do pani z plotkami miejskimi, z powieściami różnemi. Patrzała w oczy, zgadywała nposobienie, rzucała słówka jak wędkę na próbę.

Dla zabawiania znudzonej wydobywała często wspomnienia z własnego życia, przygody z żywota Pawła, którego przez się i przez męża od dawna znała. Zrecznie opowiadała, bez złej myśli niby, ale zawsze tak, aby biskupa w jej oczach obwinąć. Chwaliła go z tego właśnie, co wiedziała, że ją obnrzać musiało, z jego łotrostw, niewieścień sprawek, okrucieństwa przy pozbywaniu się ofiar..., gwałtowności i t. p.

Często w milczeniu długo słuchała jej Bieta, azatem wyrывał się jej wyraz obnrzenia lub groźba. Tak się z sobą spoufalaly.

Ks. Paweł zrazu bacznie, z pewną nieufnością spoglądający na Werchańcową, uspokoił się wprędce, tak miała się przed nim okazać obojętną. Przebąkiwała, że za mąż by znowu pójść gotowa..., byle się jej człek trafił stateczny.

Swatał jej żartem biskup Wita, ale tego jako kaleki i opoja nie chciała, żartobliwie się odgrażając, że sobie znajdzie młodego chłopaka. Łatwo by jej w istocie było o niego, bo wiedzieli wszyscy, że ziemi miała dosyć i skrzynie dobrze nabitą. Zalecało się wielu, nie zrażała nikogo.

W końcu przyjaźń dla Biety stała się tak wielką, iż Zonia ciągle prawie u niej przesiadywała, a tamta bez wdowy obejść się nie umiała. Biskup też postrzegłszy, że mniszka spokojniejszą teraz była, rad był przybycia Werchańcowej.

Zonia w prędkim czasie dawną swą władzę i zachowanie na dworze odzyskała.

Za życia męża nikt jej o wielką miłość dla niego nie posądzał; płochość jej nawet zadawano,

choć więcej słowy i zuchwałem obejściem się z mężczyznami grzeszyła, niż w istocie była winną. Teraz, po śmierci Werchańca, miała go ciągle na uszach, wzdychała za nim i popłakiwała.

Nikt nie wiedział o tem, że jednego z czeladzi, co był świadkiem śmierci jej męża, przekupiwszy, gdy na wsi jeszcze siedziała, nakłoniła go do wskazania grobu Werchańca w lesie. Nocą przybyła tam z trumną, z ludźmi najętymi, kazała rozkopać mogiłę i dobyć z niej zwłoki męża.

Miała siłę spojrzeć na pocerniałego trupa i pierś jego szeroko rozbitą.

Przy sobie złożyć kazała to ciało do trumny, powiozła na cmentarz do wsi, gdzie ksiądz njęty przez nią, z modlitwą je pogrzebał.

Stało się to tak tajemnie, iż biskup nie wiedział o niczem.

Powróciła potem na dwór łaszac się wszystkim.

Wkrótce po jej wkupieniu się w łaski Biety, Biskup dostrzegł w niej pewnej zmiany. Dawne przywiązanie stygło, stawała się nienfną, obchodziła się z nim mnicj otwarcie, była smutną.

Została namiętność dawna, lecz połączona z niedowierzaniem jakimś i wżgardą. Czasem Bieta pozwalała sobie szydzić z niego i wspominać mu dawne sprawy. A gdy Paweł zdziwiony wypytywał z kąd o nich wiedziała, odpowiadała, że o tem wszyscy prawili głośno i sroczki na płotach skrzeczały.

Przychodziło to tak zwolna, stopniowo, nieznacznie, iż ks. Paweł nie opatrzył się, że powrót Zoni sprowadził tę zmianę.

Zonia zaś, gdy ją poufałe wypytywał o Bietę, przebąkiwała półsłówkami coś dającego do myślenia, iż się jej obawiać należało, że mniszka była namiętna i miała.

Zabiegi te nie pozostały bez skutku.

Paweł ostygł, rozmyślał. Przyczyniało się do

tego. iż coraz groźniej sarkano nań duchowieństwo całe, że skarżono różnemi drogami do Rzymu. Należało z oczów przynajmniej usunąć jawne świadectwo grzechu.

Lecz jak ją było skłonić do tego? jak dokonać rozdziału, o którym mówić, wspomnieć nawet nie dozwalała?

Paweł zagadnął o tem Werchańcową półgłębkiem, która mu odpowiedziała z uśmiechem:

— Czyż wam o to mnie pytać? Albo to nie macie oddalonych klasztorów? Wyślijcie gdzie za świat, mniszki ją zamkną i zamurują, że więcej słońca nie zobaczy. Cóż to trudnego?

Tegoż wieczora wdowa siedząc z Bieta ostrzegła ją, iż Paweł dla niej coś ostyga, iż powinna być na ostrożności, aby jej gdzie do oddalonego klasztoru na pokutę nie zesłał, bo tam... pewno by ją zamurowano.

Z oburzeniem wielkiem, jak wściekła porwała się Bieta, posłyszawszy to, odgrazając straszliwie.

Musiła ją potem uspokoić Zonia, pocieszając, iż z nią nie postąpi tak, bo jeszcze ją kocha, ale zawsze z człowiekiem jak on, radziła ostrożność.

Zdradliwa niewiasta skończyła na tem, iż należało wziąć sobie człowieka, któryby mógł w potrzebie ująć się i obronić. Kochanek mógł, w niebezpieczeństwie ratować. Na wzmiankę o tem, oburzyła się Bieta.

— O! dosyć jednego w życiu!—zawołała—dwu ja mieć nie chcę i nie będę. Gdy mu z oczów zdradę wyczytam... obronię ją się sama.

V.

Leszek Czarny, którego niespodziewający się potomstwa Bolesław następcą po sobie mianował, syn znanego z burzliwego charakteru Kazimierza Kujawskiego, był mężem rycerskim, zawczasu wyćwiczonym w wojennem rzemiośle. Niemców miał nauczycieli, którzy podówczas w wojnach nieustannych, w stosunkach z zachodem wszystkie sposoby wojowania, oręż najlepszy i wprawę wielką mieli do spraw rycerskich. Dobre wychowanie książąt nie obchodziło się bez ich pomocy, po dworach lechickich pełno ich było.

Nie wymagano wiele od książąt, którzy panować mieli; kolymano ich pieśniami pobożnemi, duchowni mieli zwierzchnią opiekę nad młodzieżą, lecz kształcenia umysłu i nauki nie potrzebowano dla niej. Naukę za panujących powinni byli mieć kancelerze i lektorowie, pisarze i kapelani.

Cała rzesza skrybentów towarzyszyła książętom, ta nad prawem ślęczyła, rękopisma wertowała, sporne kwestje sądowe i sumienia rozstrzygać pomagała.

Nauka onego czasu, tradycje, historia, przykłady czerpały się nie z ksiąg, ale z żywym przychodzący słowem, w rozmowach z uczonemi, które tak lubił Kazimierz Sprawiedliwy, w obcowaniu z cudzoziemcami, co świata przejrżeli wiele, choć także czytać i pisać nieumieli.

Książę się nawet podpisywać nie potrzebował, gdyż pieczęć jego i świadkowie za podpis starczyli, a ważne przywileje nadawano wobec poważnych świadków.

Nie przeto gorszem było wychowanie ówczesne, a potrzebom czasu starczyło. Rozmowy zastępowały czytanie. Głównym zaś warunkiem przysposobienia

do życia pańskiego, książęcego, było wynezenie się wszystkiego, co wymagało rycerskie rzemiosło.

Bolesław Krzywousty dzieckiem prawie konia dosiadał, jeździł na łowy. potykał się już na placu boju, by zdobyć pas ryeerski. Dziećmi też uczyli się tacy panowie strzelać z łuku dzielnie, oszczepem eiskać, szablą i włócznią robić, ciężką zbroję dźwigać dzień cały, na koniu siedzieć bez spoczynku godzin kilkanaście. niedojeść, niedospać, zahartować się.

Miłość własna, chęć prześcignięcia drugich zręcznością i siłą, pomagały też wychowaniu. Rośli dzielni wojownicy, a gdy wojny zabrakło, co się rzadko trafiało, niezinordowani łowcy.

Łowy były bojem nieraz.

Takimi rycerzami byli z rzędu wszyscy prawie książęta od Mieszka i Chrobrego począwszy. Trudno im było wysiedzieć spokojnie między czterema ścianami, a na łowy ogromne puszcze były za małe. Jeśli w las iść nie mogli, w podwórcach sobie sprawiali gonitwy, wyścigi, zapasy, harce konne.

Nawet spokojnego ducha, miłośnik mądrości, słuchający tak chętnie wymownych opowieści Kadłubka, Kaźmierz Sprawiedliwy, był wielkim łowcem przed panem, był nim Leszek Biały. a o Wstydlwym mężu Kiugi zapisali historycy, iż sfora psów była dlań najmiłszym darem.

Tak samo jak oni wszyscy, wychował się Czar-ny, który już naówczas słynął z męstwa. Był, piszą o nim kronikarze, odwagi wielkiej, nie dopuszczający się pokrzywdzić, gdy z bratem Ziemomysłem razem porwał się na własnego ojca Kaźmierza, na odgłos, że ich macocha zgładzić chciała, aby swemu potomstwu dziedzictwo po nim zapewnić. Odebrali oni ojcu Łęczyckie i Sieradzkie i przy Sieradziu Czarny się potem utrzymał, mając na nim czekać na spadek po stryju przyobiecany.

Leszek ów, męzny, boju chciwy, łowiec namięt-ny jak oni wszyscy, gotów na koniu spędzać dnie

i noce, a w szałasach i pod namiotami spoczywać, za komnatami nie tęsknić, miał to dziwne na swój czas usposobienie, może jeszcze przykładem Bolesława stryja poparte, że niewiast nie lubił wcale.

Obojętne mu one były, tak, że na żadną nigdy ani spojrzął, unikał ich raczej.

Wybierając go następcą po sobie. Bolesław razem zaswatał go zaraz z Gryfiną Rościławówną, której ojciec był teściem króla węgierskiego i teraz na danym mu udziale w Siedmiogrodzie przesiadywał. Książ był młody i znaczenia wielkiego.

Nie pytano pewnie Czarnego, czy mu się narzeczona podoba, boć młoda niewiasta mężczyźnie w sile wieku, wedle pojęć ówczesnych podobać się musiała.

Zbyt wyidealizowanej miłości u nas nieznano.

Rycerz wychowany bez mała jak mnich, znający tylko swe rzemiosło, słyszący ciągle od duchownych, iż niewiasta tylko na pokuszenie i zgnębę rodzaju ludzkiego została stworzoną, uległ woli stryja, nie wiele wagi przywiązując do małżeństwa.

Gdy mu ową małżonkę przywieziono do Krakowa, młoda, piękną czarnooką i złotowłosą zarazem krasawicę, która długo zamknięta w teremie, karmiła się bajkami o królewiczach, piosnkami nianiek miłosnemi i obietnicami rozkoszy, jakich w przyszłym stanie zażywać miała, zdziwiła się niepomnie Gryfiną. znajdując w tym kochanku z urzędu zupełnie dla siebie obojętnego człowieka. Czaray ani się śpieszył zbliżyć do niej, ani ochoty do miłowania jej nie okazywał.

Rozmarzona, śmiała, gorącej krwi księżniczka do żywego się tem czuła obrażoną, ale wstyd jej było poskarżyć się przed ludźmi, srom przyznać, że pogardzona została.

Wszystkie niewieście środki przybliżenia się do męża, skuszenia go, spełzły na niczem. Leszek Czarny nie miał czasu miłować się w żonie, przeszkadzały

łowy i wyprawy. Dawał jej co chciała, oprócz miłości.

Obojętność ta latami się już całami ciągnęła. w Gryfinie brzdąc gniew coraz większy, prawie nienawiść do męża. Nie śmiała się z nią wydawać, boby większy srom sobie uczyniła tem, niż jemu. Zalewała się łzami, miotła z gniewu; niewiasty družki opłakiwały los swej pani, która mściła się gniewami na nich za męża pogardę.

Jakim sposobem wieść o tem pożyciu rozeszła się po świecie, trudno dobadać było. Pewnie niewiasty ze dworu księżnej śmiały się i bolały razem nad jej losem, ulubieńcom swym rozповідаjąc o tem.

Życie Bolesława Wstydliwego, rozłączonego z żoną dla zakonnego ślubu czystości, naprowadzało na myśl, że i Czarny stryja chciał naśladować, lecz Gryfina do wstąpienia w ślady pobożnej Kingi nie miała powołania.

Jej pragnieniem jedynem było, rodzinę wiec, dzieci wychować, stać się matką książęcego domu, mającego wieki panować nad Krakowem.

Biskup Paweł, który o wszystkim wiedział, szczególnie co mogło śmieszością okryć nienawistnych mu, Wstydliwego i Czarnego, znał dobrze stosunek ten i pożycie Leszka z żoną.

Raz gdy księżna sieradzka powracała z odwiedzin w Krakowie, dokąd się pono jeździła żalić stryjowi na obojętność mężowską, w podróży na południowem obozowisku orszak księżnej spotkał się z niemniej wspaniałym, licznym a wrzawliwym daleko orszakiem biskupa, jadącego do Kunowa. W Kunowie lubił Paweł przebywać za oczyma, za lasami, wożąc często i Bietę za sobą.

Nie śledziły go tam tak pilno oczy niechętnych jak w Krakowie.

Po świecku nbrany, w butach z ostrogami, przy mieczu, z hardą postawą śmiałego panka, zjechawszy

się z wozem i końmi księżnej Gryfiny, Paweł kazał ludziom swym stać.

Południe było, czas gorący, las cienisty. strumień środkiem łąki płynący, koniom i ludziom był pożądanym.

Rozkazawszy i swoim obóz rozbić, śmiały jak zawsze Paweł, któremu nigdy nie zbywało na ochotę do naigrywania się i drażnienia ludzi, poszedł umyślnie pokłonić się księżnie Gryfinie. Ta pod namiotkiem siedząc, gniewała się na sługi, dziwaczyła, bo wracała z Krakowa wielce sierdzista.

Na młodej jej, urodziwej, choć trochę męzkiego wyrazu twarzy, z oczyma czarnemi, włosiem jasnym otoczonej, nieco łzami i gniewy znużonej, widać było podrażnienie, niesmak życia, zniczczenie do ludzi.

Kazał biskup jej oznajmić, iż się jej chce pokłonić.

Stłumie nawet polecił użyć z ruska wyrażenia szyderskiego, iż chce jej czołem bić.

Gryfina nie mogła odmówić posłuchania.

Jak stał w ubiorze podróżnym przyszedł do niej ks. Paweł, a że młode niewiasty lubił i rozmowa z niemi zawsze mu miłą była, pozdrowiwszy księżną, dał się posadzić w jej namiocie i przyjął kubek podróżnego wina.

Śmiałość nigdy go nie opuszczała. Gdy niewiasty ustąpiły nieco, zostawując ich samych, wpatrzywszy się w księżną, która sromając się poglądała ku niemu, zagadnął ją jako ojciec duchowny:

— Księżno miłościwa! Nie chce mi się wierzyć. Chodzą wieści o was jakobyście naśladować mieli świątobliwą panią Kingę, a mąż was wstydliwego Bolesława? Zmiłujcież się—dodał żartobliwie—książąt nam zabraknie! Dosyć już świętych mamy, a po klasztorach mnichów i zakonnic.

Zapłonila się mocno Gryfina, oglądając do koła, czy ją niewiasty jej nie podsłuchiwały.

Ciężko jej było zebrać się na odpowiedź, zawsty-

działa się, głową poruszyła, łączy jej z oczów wytrysnęły mimowoli, łączy boleści i sromu.

Biskup to dostrzegł.

— Nie obrażajcie się mową moją—dodał—jam przecie duchowną osobą, mnie wszędzie i zawsze, a każdemu wolno prawdę rzec.

Cóż się to dzieje z wami?

Gryfina rada może była, że się będzie miała przed kim poskarżyć. Paweł zdawał się brać jej stronę. Wahała się jeszcze, rozplakała mocniej, otarła łzy i poczęła:

— Szanuję ja księżną Kingę, ale naśladować ją nie myślałam nigdy! Ja dzieci mieć chcę, na to mnie Bóg stworzył bym matką była. Szłam za męża, aby mieć tę pociechę.

Łzy mowę jej przerwały.

— Al—odparł biskup wesóło.—Kamienny to człek ten Czarny być musi, gdyście go rozmilować nie potrafili! Jakże! ma on inne miłośnice?

— On!—wykrzyknęła księżna.—On!—I ruszyła ramionami.—Na co mu one? Był konia miał i żelazo u boku, to mu za wszystko staniel

Choć mu się na śmiech zbierało, Paweł nastroił minę poważną.

— Źle to jest! — rzekł. — W stryja się wdał! Z pobożności to czyni.

Gryfina poruszyła się dziwnie, jakby i temu zaprzeczyć miała.

— Szkoda was — dodał Paweł żałośliwie—lecz jak radzić na to? Innaby sobie szukała pociechy, nie wiele dbając...

Zatrzęsła głową dumnie księżna.

— Życie wam tak marnie zejdzie—mówił biskup dalej.—Co gorzej, świat nie wie kto przyczyną jest. iż rodziny nie macie, spadnie na was srom niepłodności. Za cóż wy niewinnie cierpieć byście mieli?

— Radźcież mi co uczynić mam?—odezwwała się księżna, ręce załamując.

Paweł zamyslił się wrzekomo, spojrział ku niebu, westchnął. Złość przeciwko Leszka poddała mu co miał podszeptać Gryfinie.

— Trzeba, aby ludzie wiedzieli, iż Miłość Wasza winni nie jesteście małżeńskiej oziębłości. Prawo macie, przy ludziach wobec gości, publicznie, powiedzieć głośno, jak mąż dla was jest niesprawiedliwym. Rzućcie mu czepec z głowy, zagroźcie, iż pójdziecie do klasztoru.

Księżna oczyma bojaźliwemi rzuciła ku niemu, gdyż zamknąć się w murach klasztornych nie miała wcale ochoty.

— Do klasztoru przez to nie pójdziecie — dodał biskup, myśl jej odgadując. — Ludzie się wdadzą, żyć będziecie z sobą jak Bóg przykazał. Ale srom mu uczynić potrzeba, niech wszyscy wiedzą jakim jest.

Słuchając Gryfina, zdawała się to przyjmować myśl poddaną przez biskupa, to się jej lękać. Szepnęła coś niewyraźnego, co nie było ani zgodą ni przeczeniem. Paweł nie nalegał. Wiedział, że w niewieście zostawionej tak samej sobie, przygnębionej i smutnej, rzucone ziarno wyrośnie prędzej później. Cieszył się, że ten Czarnemu spokój jego domowy zamąci, wstyd mu uczyni, a Bolesławowi, którego niecierpiał, dokuczy sprawą gorszącą.

Jął potem księżnę pocieszać, iż wszystko to na dobre się zmienić może, iż Leszek się poprawi, a Bóg ją licznem ubłogosławi potomstwem. Stał się tak dla Gryfiny miłosiernym, łitościwym, iż niewiastę strapioną za serce chwycił.

Biskup, osoba duchowna, poważna, rozumna, mógłże jej źle radzić?

Gdy obóz księżnej miał potem ruszyć z poludniowego spoczynku, biskup na koń pomógł jej wsiąść, pobłogosławił, przeprowadził, a pozostawszy sam, śmiał się złośliwie. Niewiastka uczyni jakom jej radził, mówił w duchu. Czarny się wstydić będzie musiał. Rycerstwu się śmiesznym stanie.

Dokńczyć Bolkowi i Czarnemu najmilej mu było. Niezapomniał przestrzedz księżnę, aby nie w dawała go, iż on jej tą radą w pomoc przyszedł.

Wróciła Gryfina do Sieradzia na wysoki zamek nad Wartę i Dźwigoczowę, do pustych komnat, z których okien po całych dniach patrzała na błota i łęgi, na Wartę przez nie płynącą, dalekie lasy i dość pustynne okolice. Męża i teraz nie znalazła w domu, uwijał się kędyś na łowach.

Plakała więc samotna, a więcej jeszcze, gdy powrócił, a do niej nie przyszedłszy, przez komornika ją tylko pozdrowił. Kazała się do stołu prowadzić, usiadła przy nim, ledwie przemówił do niej. Gniew ją coraz większy ogarniał.

Czas jakiś upłynął, a nie się w pożyciu nie zmieniło, rada ks. Pawła z guiewu przychodziła jej do głowy i upajała ją.

Około następnej Wielkiej Nocy, z pozdrowieniem i podarkami zebrali się Sieradzanie do pana swego. Niektórzy z nich żony poprzywozili aby się pokłonić księżnie.

Jak co roku na wysokim zamku przyjęcie było gościinne i pańskie.

Trzy izby zastawiono stolami.

Dnia tego właśnie Gryfina więcej zażalona na Leszka, iż z nią przez cały tydzień prawie mówić nie chciał, rozgorzała gniewem takim, iż postanowiła go porzucić.

Chciała to uczynić głośnem, jawnem, aby ludzie wiedzieli czyja w tem była wina.

Leszek, im bardziej mu się biedna żona narzucała, przez dziwną ludzkiej natury przekorę, coraz do niej wstręt czuł większy.

Natarczywość ta odbierała jej cały urok wstydlowości niewieściej.

Wychowany po niemiecku, zniemczyły dużo, do tej śmiałej niewiasty, rusinki dumnej, upominającej się o prawa swoje, czuł odrazę, lękał się jej.

Zanadto owładnąć nim chciała w ostatnich czasach, zbyt się na zamku rozposażała. Słuchał jej, ale tem więcej od niej stronił. Łzami by go może zjednała, łagodnością przywiązała, obejściem się tem mężkiem, szorstkiem zrażała.

Między małżeństwem choć waśni jawnej nie było, rozbrat się stał i oziębłość, która zbliżenie się coraz trudniejszym czyniła.

Dwór ks. Gryfiny z rnsinów i węgrów złożony, z Niemcami Leszka i Polakami, był w nieustannych zatargach.

Dniem przed W. Nocnym zjazdem ziemian do Sieradza, księżna ze swym dworem była przygotowaną do odjazdu. Wozy opatrzone, konie pościagano, ludzie sposobili się do podróży. Gotowi byli z Gryfiną jechać gdzieby kazała, choćby przebojem przyszło się z zamku wydobyć, w którym Niemcom następować musieli. Niewiasty pokryjomu spakowały szaty, klejnoty i całą księżnej wyprawę.

Działo się to po cichu, nikt się z Leszkowych nie domyślał co nastąpi.

Nazajutrz z rana już ziemianie zajmowali całe miasteczko, na którego końcu wysunięty ku moczaron otaczającym je, stał mocny zameczek, pamiętuy już więzieniem w nim Ziemowita i Gertrudy.

Był też jakby na więzienie budowany, warowny, okryty, okopany, smutny i nagi na swym pagórku.

Czarny czasu świąt pozostawał w domu, ażeby ziemian swych przyjmować. Przysposabiano ucztę dla nich, gdyż całe dnie karmić i pić musiano gości.

Ponieważ niewiast, które z mężami przybyły, aby się pokłonić, dosyć było, Leszek musiał razem z Gryfiną zasiąść w wielkiej izbie na szkarłatem obitych stołkach, jak na tronach i hołdy poddanych przyjmować.

Gryfina dnia tego starała się piękną i młodą pokazać. Rusinki ją wystroiły, obwieszały klejnotami, zabarwiły jej twarz trochę bladą, a że hożą była i być

nią chciała, w istocie piękna i poważna wystąpiła zasiąść przy swym panu na krześle i z dumą spojrzeć mogła na otaczających. Leszek widząc ją tak żywą i śmiałą, odwracał oczy i spuścił je ku ziemi.

Po pokłonach, przemowach, złożonych darach, szli wszyscy zaraz do stolów i niewiasty sadzono osobno po jednej stronie przy księżnie; mężów z drugiej za Leszkiem. Było to zwyczajem.

Służbę po stronie męskiej sprawiali pacholęta książęce, z drugiej dziewczyny służebne.

Nalewano obficie i umysły się wkrótce ożywiły, a usta otwierać zaczęły. Ziemianie śmiało do pana swego garnąc się, przemawiali. Mowa była nie swawolna, ale swobodna bardzo, tak jak ona dziś już być nie umie, chyba w chlopskich chatach przy weselu, gdy sobie ludzie podochocą.

Niejednen żarcik tłusty ze strony męskiej polatywał i rumieńcem okrywał niewiast twarze. Starsze na nie dosyć wyrazistemi słowy odstrzeliwały. Służba której ani śmiać się, ani do pańskich zabaw mięszać było wolno, usta sobie czasem ręcznikami zatulać musiała.

Wszczęła się rzecz o łowach, potem o niewiastach, że one dla wojny i łowów często same siedzieć doma muszą. Mężowie podżartowywali, że sobie na tą samotność radzić czasem umieją. Baby odbijały to, czyniąc im zarzuty, że oni też nie zawsze na zwierzę czworonogiego polują.

W czasie tych ucinków, Gryfina siedziała ciągle nachmurzona, jak gdyby wybuchnąć miała. Leszek milczał, nie bardzo rad rozmoworowi temu, z kosa spoglądając na żonę.

Mężowie poczynali docierać niewiastom coraz ostrzej, a starsze i śmielsze, po miodzie nsta coraz szerzej rozpuszczaly. Wrzawa biesiadna wzięła się na dobre, pozwalano sobie, jakby nie na książęcym dworze.

Wtem, kiedy tak gwarzą, a śmiejąc się serdecznie, bo tam wszystko w żartach było, co kto spojrzy na księżnę Gryfięc, nie może zrozumieć, czemu coraz

bardziej wydaje się nachmurzoną, a niecierpliwszą, aż gdy jakoś na chwilę przycichło, księżna, która dotąd prawie się nie odzywała, nieco się podniosła.

— No! i mnie też coś o tem rzec przystoi! — rzekła z ruska, i ja bym znalazła co powiedzieć!

Wszak ci to szósty rok z panem małżonkiem moim żyjemy! Pytajcie no mnie, kiedy on doma ze mną siedzi, kiedy nie w lesie i na łowach! Rzadko go widzę, a gdy powróci, nie lepiej mi z tem. Zmęczony odpoczywa, a spocząwszy wyjeżdża znowu.

Przecieżem nie tak ohydna i stara. dodala panosząc się aby się mną mężczyzna mógł brzydzić. A ja doprawdy niewiem, na co czepiec noszę, bo mi się jeszcze wianek ruciany należał!

Jaką mnie od ojca przywieźli, taką jestem!

— Ale — zawolała głos podnosząc, gdy Leszek zawstydzony na pierś spuszczał głowę — dłużej ja tego sromu nie zniosę.

To mówiąc, rozgniona parady czepiec zerwawszy z głowy, rzuciła go na stół przed siebie i, wśród oniemiałych ze zdumienia słuchaczy, kończyła.

— Dostyć już życia tego—dostyć! Mam żyć jak zakonnica, to wolę do klasztoru iść. A żem prawdę rzekła, przysięgam ją stwierdzić gotowa, niech on powie, czy kłamie...

Odwróciła się do Leszka, który jak siedział nachmurzony i niemy, tak wryty pozostał. Słowa nie rzekł.

Komu najciężej było z tem, to ziemianom, świadkom mimowolnym małżeńskiego sporu, którego nikt się nie spodziewał, nikt go przewidzieć nie mógł.

Niewiasty strwożone, litością zdjęte, oczy sobie zasłaniając wzdychały i jęczały, mężowie głowami poruszali patrząc na Leszka, czy też co na swą obronę nie rzecze.

Czarny milczał dumnie, jak gdyby na wszystko się zgadzał, byle od żony wolnym był.

Gryfinę pobudziło to do jeszcze większego gniewu.

wu, wstała od stołu natychmiast, podniosła głowę, skinęła na swe niewiasty, które za drzwiami już ze dworem jej czekały. i wyszła.

W izbie jadalnej zrobiło się cicho, smutno i ziemianie poczęli nierychło przebąkiwać, aby państwo jednać z sobą. Lecz Leszek wcale ku temu nie okazywał ochoty, owszem obojętność największą, zakąsywał nsta, spoglądając na swych komorników.

Kurt niemiec, ulubiony mu przyszedł do ucha jego się pochyliwszy, ozuajmić, że księżna wozy swe zaprzęgać kazala. skrzynie ładować na nie, że ludzie jej rusini i węgrowie precz się już z zamku wybierali.

Myśleli, że książę, do czego prawo miał, żonę gwałtem wstrzymać każe, wrota pozamykać. z zamku nie pnieć.

Zdziwil się niemiec, gdy Leszek mu najobojętniej w świetle odparł:

— Z panem Bogiem!

— Baba z wozu, kołom lżej! — szepnął któryś z dworzan po cichu.

Stało się o czem przed chwilą niktby był pomyśleć nie śmiał. W dziedzińcu, co najspieszniej wozy już wytoczone zaprzęgano, ładowano na nie skrzynie malowane i węzły. Konie wyciągano ze stajen, a gdy niemcy niektórzy Leszkowi na swą rękę opór stawiać myśleli, węgry z rusinami do mieczów się zaraz poczęli brać.

Jak nie do krwawej bójki przyjść mogło.

Na zamku w jadalni zamieszanie się. stało nie male.

Ziemianie zawieruchy się lękając, jeśli się wyrywać. żegnać, żony zabierać i wynosić do miasteczka. Ci co sami byli bez bab, przyzostali do końca, aby widzieć co z tego urośnie.

Spierali się jedni utrzymując, że księżna wyjedzie, drudzy, że się rozplacze i zostanie. Ciekawych dosyć wysypało się w dziedzińcu, boć widowisko

było niepowszednie. Pod ścianami dworca kupami stali polscy i niemieccy komornicy, służba, dwór, żołnierze, myśliwey Leszkowi; złoścąc się za pana, drzwi i odgrządzając na Węgrów.

Dalej ziemianie patrzali co to będzie, a w pośrodku Rnś i Węgry zbrojne, złe, nadasane, klęli, łajali, pięści pokazywali, i co śpieszniej mieścili sprzęt na wozach, juki wiązali na koniach.

Na prawdę nikomu się to nie mieściło w głowie, aby żona od męża, z takim hukiem, przy tylu świadkach, czepiec mu rzuciwszy w oczy, miała precz odjechać.

Zdało się im, że to tylko odgródka próżna, aby Czarnego zmusić do lepszego pożycia.

Tymczasem w niespełna godzinę wszystko już stało gotowe, dwór na konie powsiadał, a że Gryfina zawsze też konno jeździła i jej siwego podprowadzono aż pod siń, do pieńka, który wsiadać pomagał.

Ludzie się nacisnęli ku wnijściu przyglądać jak dziwowiskn. gdy Gryfiną z twarzą odsłoniłą w wianku zielonym, który dla niej służebne zawczasu uplotły, w płaszczu szkarłatnym, wybiegła z zamku, podeszła do pieńka, i z pomocą komornika konia rażno dosiadła.

Okiem nawet na pożegnanie po zamku nie rzuciła, ściągnęła cugle, cmoknęła na siwego, stary Węgier Morosz dał znak i cały orszak jej, wozy pośrodku, konni na straży, przodem Kumany z dobytymi mieczami posunęli się ku wrotom.

Niewiasty, dziewczęta co siedziały na wozach i konno jechały, popłakiwały trochę, zostawując tu swoich, spozierając ku nim, żegnając nieśmiało głowy skinieniem.

Wrota stały otworem, bo pan tak przykazał.

Dopiero gdy księżna wyjechała za nie, niemcy i polaey wybuchli śmiechem i szyderstwami, nawołując niektórych po imieniu dziewczęta, inni węgrów drażniąc.

Zgraja się wdrapała na wał, na mury, oddalający się już obóz księżnej ścigając obelżywemi drwinami.—Lecz ten niehodził tak szybko, jakby rad był swobodzie i nigdy tu już wracać nie myślał.

Leszek z izby nawet nie wyszedł. Niemcy go mrucząc otoczyli.

Z początku donosili mu co chwila o wyborze w drogę księżnej, potem gdy wrzawa i krzyki dały znać, że wyruszyła, skupili się niespokojni przy nim. Czaruy się tem nie poruszył wcale.

Przeciwnie zdawać się mogło, iż lżej mu się zrobiło, dowiedziawszy się o wyjeździe i czoło trochę rozchmurzył.

Tym, którzy zagadywali go o księżnę, odpowiadał mówiąc o łowach, podróży, lub innych sprawach.

Zasiedli znowu biesiadnicy mniejszem kołem do stołu, zaczęto rozmowę obojętną.

Nazajutrz Leszek rano na łowy ruszył w lasy.

We dwa dni potem, przejazdem, po drodze biskup Paweł do Sieradza zajechał. Na zamek się nie udał, u proboszcza stanąwszy, który wedle zwyczaju musiał dostarczyć *prokurację*, to jest żywność dla pana, sług, koni i psów. Biskupom i wyższych stopni duchownym, prokurowały tak probostwa i klasztory, a nieraz gdy dostojny pan jechał z dworem wielkim, spoczywał dłużej, objadał strasznie plebanów i mnichów.

Biskup Paweł zatrzymał się tu tylko na popas krótki.

Szydersko zapytał o księcia.

Proboszcz po cichu opowiedział co się stało, Paweł udał zdumionego wielce, lecz wkrótce naśmiewać się począł z Leszka, żonie jego słuszość przyznając.

— W Krakowie się rozradują!—zawołał—księżnie Kindze jedna zakonnica przybędzie, a nuż Rusinka sobie osobny klasztor zechce założyć?

Natychmiast biskup wysłał ztąd do Krakowa

donosząc o sieradzkiej historii, aby i tam w wielki dzwon na nią nderzono.

A bito tak głośno, że się ta scena, aż w kronikach później przez duchownych spisywanych—odezwiała.

Książę Bolesław, gdy mu o tem doniesiono. wzrucił się mocno, ręce załamał, zatrwożył o Leszka i o Gryfinę, pobiegł do księżnej z żalem i skargą. Nikt się w tem nie domyślał roboty ks. Pawła.

Kińska przyjęła tę wiadomość spokojnie, przypisując postępowanie Gryfiny, nie sporom małżeńskim, ale świątobliwości niewieściej i powołaniu do zakonnego życia, które dla niej było jedynem szczęściem na ziemi. Sama ona do niego wzdychała.

Podniosła oczy na męża i rzekła:

— Szczęśliwa Gryfina! O! gdyby mnie też wolno było zrzucić te suknie, opuścić twoje pałace, pójść jak ona zamknąć się w murach klasztornych!

Bolesław, który w żonie czeił błogosławioną za żywota niewiastę, skłonił głowę w milezeniu i dodał sumtnie, pół głosem:

— Maluczko i ty czekać będziesz na to, miła moja a święta pani. Ja, co ci tę drogę do szczęścia zapie-ram, znajdę z niej rychło, i uczynisz wedle woli swej. Księżna spuściła oczy—zamilkli.

Bolesław w sercu i na synowca gniewnym był, że żony utrzymać nie umiał i na Gryfinę, że nłubicówi jego srom uczyniła.

Tegoż dnia Żegota Toporezyk przybył z wiadomością pewną. jakby z ust samej księżnej Gryfiny powziętą, iż wszystko to stało się z naprawy i za radą biskupa Pawła.

Bolesław zadrgał cały, czuł, że ten raz wymierzony był przeciwko niemu.

Cierpliwy i przebaczący winy, na krótką chwilę dał się gniewowi nnieść, i z ust mu się wyrwało.

— Dość już biskup ten nabroil! dość! Czasby karać go było!

Żegota podchwycił rączy.

— Miłościwy panie, dajcie go tylko nam... na wolę naszą.— Skińcie! bezprawiom jego koniec położym! Jest na nim grzechów już dosyć, a ludzie za pewne opowiadają, iż z nieprzyjaciół twojemi, z Litwą i pogany się wiąże i spiskuje. Nie zamkniemy go, naprowadzi tych druhów swych na ziemię naszą.

Żegota wyglądał skinienia, Bolesław jednak gniew swój hamując, znaku mu żadnego nie dał, ręce rozwarł, w niebo popatrzał.

— Miłościwy panie! rozkaż!— nalegał Toporezyk. Na odpowiedź czekał długo.

— Nie rozkazuję i nie bronię!— rzekł wreszcie książę, oddalając się szybko.

Żegota zatarł ręce, biegł zaraz do brata z dobrą nowiną.

VI.

Siedział naówczas biskup Paweł w Kunowie, który mu był ulubiony, w Sandomierskiej ziemi.

Majętność to była do biskupstwa krakowskiego należąca, znaczna, lasy dla łowców dogodne, kąty ciche, gdzie żyć mógł biskup jak mu się podobało. Oprócz gromady własnych ludzi, nie podpatrywał go tu nikt, obce oko śledzić nie mogło.

Życie też tu wiódł, jakie mu najmiłszem było. Otaczał się wybranymi, przywoził czasem Bietę z sobą, do ucztování i łowów miał towarzyszków podobnym. Do kościoła i na nabożeństwo chodził tylko, gdy mu przyszła fantazja, nie go nie zmuszało. Proboszcz służył i kłaniał się nisko, dostarczając co na dwór było potrzeba.

Domostwo, w którem się naówczas mieścił ks. Paweł, na nowo pobudowanem było, bo tu już raz Tatarzy zawitali, raz byli Mazurzy i spalili wszystko. Splonął i stary dworzec, ale i to na lepsze wyszło, bo biskup kazał wznieść nowy i nie z prosta, ale jak na pana wielkiego łowieckiego dwór przystało.

Wzniesiono w pośrodku duży dom z podsieniami, dawnym zwyczajem słowiańskim; po bokach dla służby, koni i psów; chaty, szopy i stajania. Kaplicy tylko brakło, a choć kościół stał opodal, ks. Paweł mówił, że go starczy.

Szczególniej myśliwstwu biskupiemu dogodnie tu było, psiarnie miał ogromne, aby gończym było jak w raju, wodę, cień i legowiska miały rozkoszne.

Dla koni stajnie zbudowano zaciszne, ciepłe, z wodopojami tuż, aby czeladź daleko nie chodziła z niemi. Osobna kuchnia, na której woli całego bodaj upiec było można, rozlegała się szeroko. Codzień też na niej barany, cielęta i kozy się piekły dla gości i czeladzi. Liczna służba zawsze się tu kręciła dniem i nocą, bo musiało na niej jak w łaźni gorzeć nieustannie, aby rzesze głodne nakarmić.

Zdała już poznać było można dwór wesoly, boć są po świecie różne, takie z których smutek wieje, i z których radość bucha. A tu było oehoczo bardzo, nicopatrzenie, bez jutra, lecz pańsko i raźnie.

Trąbki kiedy zagrały, to serec skakało, konie rżały jakby ludzkim śmiechem, psy się gziły szczęśliwe, świadcząc, że im tu dobrze było.

Dostatek wielki, nierachujący się weale, rozrzutny ścigał tu ubóstwo, włóczęgów, ludzi co radzi byli żywić się lenistwem drugich. Dwór też zawsze otaczały przybłędy, które służyły sługom, gotowe nawet psom posługiwać, byle dostać z kuchni ochlap, a z beczek choć drożdże.

Jak sam biskup, który tu wezasu używał, dwór też jego wyręczał się chętnie lada kim, byle nie pracować.

Mało gdzie tak żyć umiano jak tutaj. Zrana wstawszy ks. Paweł. zaraz kazał jeść podawać, zjadał i pił ze swemi póki się nie uczuł syt. Przy stole z ludźmi poufalemi, rozmowy wcale nie pobożne się wiodły. Potem psy opatrywano i konie; często zaraz na łowy jechał, a z nich wróciwszy u Biety jadał sam, jeżeli ona tu była, lub z towarzyszami.

Nabożeństwo i modlitwy zbywano prędko, bo na nich trwać biskup nie lubił.

U stołu kapelan szybko czytał modlitwy, niekiedy Paweł do kościoła zajeżdżał, rzadko proboszcza do stołu zaprosił. Suknia dnehowna tak mu ciążyła, iż w nim, powszedniego dnia, ehyba po pierśseieniu wielkim na palcu, pasterza poznać było można.

Mogło się zdawać ludziom, iż to życie swobodne w Kunowie szczęśliwym go czyniło. Miał w czem sobie upodobał, czego pragnął, a pomimo to chodził częściej ciemnry i zły niż wesół, a gdy się czasem rozśmiał i rozochocił, weselość była jakaś niezdrawa. przymuszona, straszna, na której dnie żółci się domyślać było łatwo. Wino i miód najczęściej do niej pobudzały.

Za łada co Paweł sięrdził się i gniewał, łajał i bił nawet. Co wczoraj chciał mieć, jutro mu już nie smakowało. Klócił się z Biętą nienastępującą mu, pędzał Wita, znęcał się nad dworakami.

Widać po nim było, że sam już nie wiedział w czem szukać tego szczęścia ziemskiego, które od niego uciekało. Robił co zamarzył. używał świata, spijał słodocze, a w nim się wszystko w pioluny i żółć obracało.

Nie wahał się kosztować żadnego zakazanego owocu, objadał się niemi—był przesycony a nie syty.

Pragnienie paliło tem silniej im pił więcej.

Liczny dość orszak pasożytów, co jak muchy do miodu lgną wszędzie do dostatku, gromadził się około ks. Pawła. Kilku duchownych, co jak on suknią tylko niemi byli, nie dbając o obowiązki, kilkunastu

ziemian zapalonych myśliwych, do kufla i wesołej pogadanki ochoczych, Wit do posług tajemnych, czeladź butna i rozpuszczona, otaczali go tutaj. Bieta miała dwór swój, dziewczęta, Zonię i czeladź osobną.

Kapelan i kanclerz siedzieli dla oka.

Oprócz tego z okolic Kunowa, niemal co dzień ściągali się sąsiedzi bliżsi, których sobie kuchnią i piwnicą umiał pozyskać.

Nigdy więc pusto tu nie było.

Żołnierzy nadwornych dwudziestu we wsi stało, którzy biskupowi w wycieczkach uroczystych towarzyszyli bardziej dla okazałości, niż z potrzeby.

Trafiło się, iż ztąd Paweł na dni kilka, a nawet kilkanaście wymykał się potajemnie z niewielkim poczem ludzi. Dokąd? nikt prawie niewiedział.

Bieta szczególnie podejrzewając go, zazdrośnie śledziła, badała, ale i ona dowiedzieć się o celu tych wycieczek nie mogła, i jej Paweł nie o nich nie mówił.

Ci, których z sobą bierał, po pijanemu nawet ust nie otwierali, a im większą z tych podróży czyniono tajemnicę, tem ona mocniej drażniła tych, którym ks. Paweł zwierzyć się nie chciał.

Z Bieta, choć nałogowe przywiązanie trwało jeszcze, biskup zaczynał się tak obchodzić, jakby mu ona już była ciężarem. Napastliwej, gwałtownej niewiasty lękał się, nie wiedząc może jak się od niej uwolnić.

W czasie pobytu biskupa w Kunowie, napływ różnych włóczęgów bywał taki około dworu, iż ścisłe się z nimi obliczyć, ani się w nich rozpatrzyć nie było można.

Zkąd i po co kto przychodził, niebadano, karmiono tę czerń posługując się nią, zalegała podwórza, cisnęła się do kuchni, wyręczała się nią czeladź leniwa.

Przez znaczniejszą część dnia pijana, służba biskupia nie zaglądała w oczy żebractwu temu, nie wiedziała kto tam, zkąd i po co się przybliżał. Nie

lękano się posłuchów i nie posądzano ludzi, z którymi było wygodnie.

Z niczem się też nie ukrywano, bo jak pan, tak i czeladź czuła się tu bezpieczną.

Ks. Paweł, gdy na łowy nie jechał, długo w noc zwykł był się zasiadywać z towarzyszami nad miodem i winem. Rozpowiadano sobie przygody różne, Paweł lubił przypominać, jak szalał za młodu, począwszy od Lignickiej bitwy i owej pierwszej muiszki porwanej, którą mu rychło odebrano. Śmiał się chwalać, że mu ją wszakże za późno wzięto.

Spraw podobnych dużo miał na sumieniu.

Drugim ulubionym rozmów przedmiotem były domowe Piastowiczów dzieje. Z tych Mazurów on nad innych przekładał, drugim zgubę wieszcząc. Szczególniej Bolesławowi i Leszkowi, bo tych obu nienawidził.

Po takich nocnych biesiadach na dzień długo zasypiano, a że we dworze wszyscy się czuli bezpieczni, straży ani czujności żadnej nie było. Żołnierze daleko spali po chatach, pijana czeladź walała się po kątach, warty nawet w domu nie stawiano.

Jednego dnia letniego, gdy ks. Paweł długo się zasiedziawszy, na ostatek do sypialni odszedł i leżał na posłanie, a drudzy się porozehodzili na siano i wszystko we dworze snem było tęgim ujęte; w pierwszego właśnie zbliżył się lasem ku dworowi oddział konnych a zbrojnych ludzi.

Cichuteńko ostawiono budowle do koła, rozrządzono czaty, i kilkunastu rycerzy podkradło się pod tę część dworca, w której ks. Paweł spoczywał.

Byli to Żegota i Otto Toporezycy, ważący się już na wszystko, byle biskupa wziąć i raz jego bezprawiom koniec położyć.

Zawczasem się wywiedziawszy, z której strony przystęp był łatwiejszy. Kędy Paweł legał, wlamali się oknem, nim mocno uspiiony biskup obudził się i oprzytomniał.

Ludzi w pobliżu nie było, czeladź spokojna kamiennym snem na przedsieniach odpoczywała, bo w izbach jej duszno było.

Gdy biskup zerwawszy się chciał wolać, wnet mu usta zawiązano i dwóch silnych ludzi, choć się zajądło bronili, ręce i nogi postronkami mu skrępowali.

Rwał się Paweł, silnym będąc, lecz napastnicy zawczasu wiedzieli z kim mieć będą do czynienia: przygotowali się więc. Ręce i sznury mocne były, użyci do tego siepacze wprawni i silni. Nim się opatrzył biskup, już go oknem wysadzonym wyrzuceno, chwyceno na ręce i niesiono do woza.

Nieopodal czekał oddział mocny, wóz zaprzężony końmi młodem, z woźnicą jakiego było potrzeba.

Rzucono nadaremnie miotającego się biskupa w siano, nakryto słomą i w ewał puścili się z nim Toporezykowie lasami, drogami błędnymi, manowcami ku Sieradzowi. Obawiali się pogoni, kręcili więc tak po dróżynach leśnych, aby nie łatwo na trop ich mógł kto trafić.

We dworze tymczasem spali wszyscy, nikt nie słyszał, choć Toporezyków ludzie biskupią izbę i skarbezyk wypróżnić czas mieli i co lepszego było pochwycić. Rano dopiero Wit obchodząc dwór do kola, okno wyłamane zobaczył, a w niem kawał odartej nocnej odzieży ks. Pawła, który o gwóźdź zaczepiony, wisiał na uszaku.

Wbiegł natychmiast do izby, a tu ujrzawszy wyraźniejsze jeszcze ślady napadu, na gwałt krzyknął.

Zerwało się co żyło, wpadli ludzie, czeladź. przybiegli goście, strach, podziwienie, trwoga i gniew wybuchły.

W izbie, w której biskup sypiał złożone były szaty kosztowne, skrzynie z pieniędzmi i klejnotami. wszystko to Toporezyków ludzie rozchwyтали i wynieśli. Na podłodze wałały się porozsypywane perły i kawalki łańcuchów porwanych.

Krzykami przestraszona przybiegła i Bieta, któ-

ra się przed ludźmi temi nie potrzebowała taić, czem dla niej był ks Paweł, rwąc włosy z głowy i zawodzając. Mało kto zważał na nią. Posłano po żołnierzy, zerwali się do koni przyjaciele biskupa z pacholkami swemi lecieć w pogoń za porwanym. Kunów cały wyglądał jakby nieprzyjaciół najechał.

Czeladź tymczasem myśląc, że Paweł mógł być zabity, lub że nie powróci, wzięła się do rozechwytywania między siebie co pozostało. Rabował kto mógł i z łupem w lasy uciekał. Konie ze stajni, szaty, co było kosztowniejszego sprzętu darli i unosili. Bieta została sama prawie z dziewczkami swemi, niemogąc nikogo znaleźć, co by się nią zaopiekował, bo i Wit naprzód myślał o sobie. Ona więc z Zenią ledwie prosty wóz jakiś sobie i konie wyprosiwszy, powiązawszy co miały, puściły się do Krakowa. Werchan-cowa milczała w drodze, Bieta klęła nieprzyjaciół biskupa, jego, świat cały, traciła głowę, szalala.

Wesoly ów i ludny dworzec w Kunowie do wieczora stał pustkami, tak, że ledwie przy nim kilku starych stróżów zostało. Wszyscy byli tego przekonania, że Pawła już nie zobaczą, bo nieprzyjaciele jego gdzieś go w lesie na gałęzi obwieszą.

Na to się jednak nie wazyli Toporczykowie, choć ezlek bez sądu wart był tego losu. Bronilo go święcenie i dostojność biskupia. Żegota po radzie z bratem, postanowił odwiedzić go na zamek do Sieradza i zdać pod straż Leszkowi.

Na prawdę nie wiedzieli dobrze, co z nim począć mieli, sami go więzić nie czując się na siłach, musieli w imię Bolesława zdać go Czarnemu.

Łatwo przewidzieć było, iż choć człowiek nie zasługiwał na to, za biskupem ujmie się metropolita gnieźnieński i kara ta będzie krótką a za małą.

Lecz Toporczykowie, a z niemi inni nieprzyjaciele, mieli się starać o to, aby złego klechę z lat parę potrzymać pod kluczem i wymódlą na nim skróchę, a na przyszłość uczynić mniej zuchwałym.

Paweł zaledwie oprzytomniawszy po pierwszej trwodze i gniewie, burzył się w więzach, targał sznury, pieniać się zemstą i śmiercią odgrzązał.

Wiozący wcale nie zważając na to, rzuciwszy go w głąb lichego wozu jak kłodę drzewa, ciągnęli z sobą w głąb lasów.

A że droga manowcami i zaroślami była szkaradna, wóz tłukł i trząsł, sznury się w ciało wpijały, biskup męki straszliwe cierpieć musiał. Nie dano mu kropki wody, nie znano litości.

Nawet gdy dobrze oddaliwszy się od Kunowa, zapewniwszy, że już ich żadna pogoń napędzić nie może, stanęli koniom wytelnąć i głębiej mu rozwiązać, nie wiele mu to ulgi przyniosło. Mógł tylko głośno krzyżeć i łajać, na co mu obelgami i szyderstwami odpowiadano.

Zegota do wozu przystąpiwszy, podparł się w boki i jął mu wszystko co broił na oczy wyrzucać.

— Wart jesteś, aby cię jak psa obwieszono — wołał, stojąc nad nim.

Zbrodni masz więcej niż włosów na głowie, wszeteczniku, morderco, zdrajco! ale przyszła na cię godzina... pójdziesz do ciemnicy na chleb i wodę, tak jakżeś pocziwych księży więził i głodził. Skosztujesz i ty zbytniku, niewoli!

Pójdzie na ciebie do Rzymu registr długi, zepchną cię z tej stolicy... zamurują gdzieś w celi klasztornej na pokutę, lub z kijem zebrać wyżeną.

Ks. Paweł zmuszony słuchać, pieścił się ze złości, lecz z ust mu się wyrzywały tylko słowa niewyraźne:

— Pies—łotr—zbój...

W pół drogi do Sieradza pieszczony człek, co w puchu leżał, potłukłszy się okrutnie z bólu jęczeć i krzyżeć zaczął. Siano i słoma roztrzęsły się pod nim, leżał bijąc się kośćmi o drągi pleciony spód wozu. Sińce stawały się ranami. Im głośniejsze narzekał, tem się Toporczykowie śmieli głośniejsze i radowali.

Droga do Sieradza daleko dłuższą była dla To-

porezyków, niż zwykłym gościńcem podróżujących ludzi. Jechali, unikając utartych szlaków, lasami i błotami, nasłuchując, wysyłając na zwiady. Nie chcieli im się postradać biskupa, raz go ujawszy.

Po długim krążeniu duiem i nocą, gdy się im w końcu miasteczko i grodzisko na cyplu ukazało, odetchnęli swobodnie.

Nie mieli oni żadnego wyraźnego rozkazu od Bolesława, ani polecenia od Leszka, aby więźnia przyjął i strzegł, ale raz się na to ważywszy, trzymając słów księcia, który rzekł, że ani rozkazuje, ani zabrania, na swą szyję wzięli odpowiedzialność i do końca chcieli doprowadzić, co poczeli.

Wyprzedzając wóz i ludzi swych, Żegota puścił się sam na zamek. On był duszą całej sprawy, Otto jego pomocnikiem tylko. Szczęściem Leszek zastał doma, spoczywającego po długiej wycieczce i łowach, które go aż do Poznania zawiodły. Tylko co powróciwszy, rozglądał się u siebie, niecierpliw już dokąd znów ma sięść na koń. gdy mu oznajmiono, że Żegota Toporezyk przybył doń od księcia Bolesława z Krakowa.

Ulubienca stryja, kazał Leszek zaraz wpuścić do siebie.

— Przywożę Miłości Waszej—rzekł wchodząc Żegota — gościa niebardzo pożądanego, ale trzeba go przyjąć jak wart. Wszakci na zamku pewnie na zameczystych komnatach nie zhywa.

Czarny poruszył się niespokojny.

— Cóż to za gość?—zapytał.

— Wzięliśmy tego łotra Pawła z Przemankowa, co się zwał biskupem krakowskim; wszetecznika i męzobójcę, i z polecenia księcia Bolesława zdajemy go pod straż Waszą.

Leszek choć męskiego serca i odważny w innych sprawach, posłyszawszy o biskupie, drgnął cały.

— Biskupa wzięliście!—zawołał—ważyliście się na osobę duchowną! Wyl książe Bolesław!

— Ale tego Antychrysta dłużej na stolicy biskupiej ścierpieć nie było można—odparł Żegota. — Do Rzymu trzeba ślać, aby go zrzuceno, a innego nam dano.

Wtem zahuczało w podwóren, wóz z więźniem wjeżdżał właśnie.

Leszek nie słuchając już Toporeczyka, zszedł zaraz w dziedzińce, ujrzawszy ks. Pawła skrzepowanego, w sukni poszarpanej nocnej, uagicgo nawpół, zbladłego i posiniałego z gniewu, zafrasował się wielce.

— Uwięzić go, to jeszcze nie — krzyknął — aleście mi go ledwie żywym dowieźli.

Zawołał zaraz na czeladź i kazał Pawła zanieść do izb osobnych, które po wyjeździe Gryfny puste stały.

Tu na Toporeczyków nie patrząc, nie pytając ich, trwogą zdjęty Czarny, natychmiast łożę, łaznię, pościel gotować polecił i sznury rozwiązać.

Biskupa ta szalona podróż na dnie wozu zmieniła wielce. Krzyczał z początku i wściekając się odgrażał, teraz osłabły, milczał, dając z sobą robić co chciano. Patrzył z góry, pogardliwie, nie odpowiadając, nawet gdy Leszek doń przemówił.

Obracano nim, kładziono go, zaciął usta, marszczył się, odwracał, a na ludzi, co go tak sponiewierali, nie patrzył nawet.

Łagodniejsze obejście się z nim Leszka nie obudziło wdzięczności, przyjął je zimno, jako uależne sobie. Żegota na pożegnanie rzuciwszy mu jeszcze w oczy szyderstwem bolesnem, pożegnał się i wyszedł.

Dopiero gdy się drzwi zatrzasły za nim, Paweł mruknął:

— Nałożysz ty i twój pan głowę!

Postawiono strażę u drzwi i okien, lecz książę nakazał, aby się z więźniem obchodzono łagodnie.

Obawiał się go. Dał mu sługi, obmyślił wszelką

wygode i zdawszy dozorem, nie mogąc słowa zeń wydobyć, porzucił.

Toporczycey sprawiwszy się tak dzielnie, za ledwie więźnia zdali, trochę sobie i koniom wypoczęli i nocey nie patrząc, nazad pośpieszyli do Krakowa.

Trzeba było księcia Bolesława uprzedzić, pozyskać od niego zatwierdzenie tego co się stało, a nie łatwa to rzecz była. Lotrostwa biskupa nie odejmowały mu jego charakteru, porwanie się na duchownego, na pasterza, groźnem było zawsze dla tych, co się ważyli na nie.

Lecz nim z Sieradza dobili się do Krakowa, już z Kunowa ludzie niektórzy do dworu Pawła należący, Bieta, czeladź, przynieśli tu wiadomość o porwaniu. Dostała się ona wnet na Wawel do księcia.

Gdy kapelan doniósł mu o tem, Bolesław zbładł i zmięszał się, zaniemiał.

— Nie może to być! — zawołał głosem wzruszonym.

Połowicznego owego zezwolenia swojego żałował już, uląkł się następstw. Niespokojny pobiegł z wieścią tą do księżnej Kingi.

Z zamku na miasto posyłano ciągle dowiadywać się, ażali prawdą było, co rozpowiadano.

Gdy Zegota potem nadjechał i przyszedł do księcia, zastał go strwożonym, a prawie guiewnym.

Nim miał czas usta otworzyć, zagadnął go Bolesław.

— Prawda to? Coście wy uczynili! Na Boga! Na coście się ważyli! Na mnie spadnie kara za zachwalstwo wasze! Jam tego nie chciałem, nie przyzwalałem, nie kazałem!

— W. Miłość rzekliście, iż nie rozkazujecie, ale nie bronicie. Czas było tego łotra, który bezkarnie broił, nauczyć, że nie wszystko mu płazem uchodzić może.

— Pasterz! Biskup! — wołał Bolesław. — Pójdą na

mnie skargi do Rzymu, interdykt rzuca. My pozbawieni będziemy kościoła, mszy, modlitwy!

Załamał ręce.

Żegota uspokoić się go starał.

— Teu, ktoby się za tego jawno grzesznika ujął—
rzekł— uznałby się współnikiem jego. Są przecie sprawy jego oczywiste, na które wszyscy patrzyli!

— Ale on za nie przed Bogiem i najwyższym Pasterzem jest odpowiedzialny, nie przed wami—zawolał książę przerażony ciągle. — Gdzież on jest? coście z nim zrobili?

— Oddaliśmy go do Sieradza, pod straż ks. Leszkowi—rzekł Toporezyk.

Bolesław za głowę się pochwycił.

— Rzekną więc, iż się to stało z naszej naprawy i rozkazania!

Żegota milczał chwilę.

— Wszyscy poczciwi duchowui staną w obrocie Miłości Waszej, był owcą parszywą między niemi.

Nie pomogło to; Bolesław padł na ławę zbolały wielce, jęcząc i mówić nie chcąc. Toporezyka odprawił ręki skinieniem.

Księżna Kinga równie jak książę trwożyli się najbardziej o to, aby sprawa biskupa nie pozbawiła ich kościoła, nabożeństwa, modlitwy. Kłątwa i interdykt, te dla dusz pobożnych dwie najstraszniejsze groźby, równające się potępieniu, wisiały nad niemi.

Zamek przybrał żalobną postać.

Pomiędzy duchowieństwem zdania były podzielone, pochwalali i cieszyli się jedni, drudzy, co stronił ks. Pawła trzymali, poruszyli się natychmiast biedz ze skargą do Gniezna, do biskupów innych, aby ratowali dostojęstwo.

Kapituła jak była rozerwaną na dwa obozy, pozostała rozbitą. Zwiększyła się tylko o niewiele liczba przeciwników ks. Pawła. Bojaźliwi milczeli, przewidując, iż potępionym być może, a sprawy jego nieczne na jaw powychodzą.

Z Wawelu też wyprawiono kapelana do arcybiskupa z tłumaczeniem, z prośbami, z podarkami dla kościoła.

Po wszystkich ziemiach rozbiegła się ta wieść, budząc najsprzeczniejsze sądy i zdania.

Obwiniano księcia Bolesława, ale więcej Toporczyków zuchwałych, przepowiadając im los owego Borzywoja, co ks. Pawła Poznańskiego więził w Sreńmie, a później to śmiercią przypłacić musiał (1236).

Żegota z bratem nietylko, że się czynu swego nie zapierali, ale głosili go, chlubili się nim, odgrządzali więcej jeszcze. Po kilku dniach, gdy Bolesław unikać ich zaczął i oziębłość okazywać, dumne panki ufni w siebie, bo między ziemianami krakowskimi pierwsi stali, ze dworu się usunęli do Tęczyna i Balic.

Przewidywali już, iż na nich winą spadnie i kara, ale to sobie lekceważyli. Do księcia zaś serce stracili i drugim je odejmowali, rozpowiadając o nim, iż słabym był, a panować nie umiał.

Na dworcu biskupim Bieta sama zostawszy z Zonia, to płakała, przyjaciół Pawła zbierać chciała i bodaj wojsko, aby go z więzienia uwolnić, to wymyślała najdziwaczniejsze środki ułatwiania ucieczki.

Głośne były naówczas i w świeżej pamięci takie z więzów uwolnienia, bo i sam książę Bolesław ratował się uchodząc.

Bieta sama wybierała się przekradać do biskupa, ludzi przekupywać... ślać szpiegów na zwiady.

Lecz ani Wit, który do Krakowa powrócił, ani nikt z najlepszych ks. Pawła przyjaciół, nie ofiarował się jej z pomocą. Znano zamek sieradzki, jako jedną z najmocniejszych warowni i najlepiej strzeżonych, nikt się na nią ważyć nie śmiał.

Werchańcowa była zupełnie obojętna.

— Nie ma się co tak za nim podrywać! — mówiła do Biety — da on sobie rady, zwolnią go! Ty tyle zyskasz, że gdy powróci, albo cię odpędzi, aby ludziom zamknąć gęby, lub sobie innej poszuka.

Tyś mu się już przejadła!

Jedno spojrzenie mniszki starczyło by Zoni zamknąć usta, tak groźnym wzrokiem jej odpowiadała. Piękna jeszcze Bieta miała to zuchwalstwo oczów i mowy, które dają rozpasane życie bez sromu. Wzrok jej mówił, że z nią zerwać nie łatwo będzie.

Werchańcowa milezcę musiała.

Jakaś skrytą myśl zżecznie starała się wykonać. Wpuszczała nieznacznie różnych ludzi do Biety, którzy się jej zalecać chcieli, lecz tych odprawiała mniszka ze wzgardą i gniewem. Na ostatek domyślając się w tem knowania jakiegoś chytrej baby, poczęła się od niej odwracać.

Zonia niespokojna usiłowała odzyskać zaufanie naprózno.

Nie wdawała się już z nią w rozmowy, zbywała milezeniem, odprawiała ją, jak sługę. Werchańcowa tem więcej się trwożyła, iż przeczuwała, że coś knuła Bieta, kryjąc się przed nią.

Jednego dnia wyjechała ze dworu niby na przejażdżkę, niechcąc jej brać z sobą. Wieczorem nie było jej do późna. Zonia niespokojna pobiegła po komorach jej i strwożyła się bardziej jeszcze, postrzegłszy, że skrzynki od klejnotów stały otworem i próżne.

Nie wróciła na noc, nazajutrz próżno się jej spodziewano. Nie zbiegła z nikim, bo nikogo nie dopuszczała do siebie. Sznurkując i szukając śladów, Zonia dowiedziała się, iż klejnoty były zastawione u żyda w mieście, a z czeladzi kilku znikło z mniszką.

Innych tropów nie znalazła wdowa. Zmartwienie miała ztąd wielkie, nie że się Biety pozbyła, ale że bez niej radę sobie dać mogła, a domysleć się było łatwo, iż się o uwolnienie Pawła pokusi. Tem więcej go tem zjednać mogła, co Werchańcowej nie na rękę było.

W istocie myśl oswobodzenia powzięła śmiała i namiętua niewiasta, dobrawszy sobie za pieniądze

ludzi, którzy jej w tem pomagać mieli. Aż do Sieradza dostała się bez przeszkody. Tu gdy się rozpa-trzyła około zamku, po strażach, spróbowawszy prze-kupstwa daremnie, namęczywszy się przez dni kilka próżnemi zabiegami, musiała w końcu poprzestać na tem. że po mężku przebrana na zamek się dostała.

Nie strzeżono tam biskupa tak, aby wstęp lu-dziom do niego był wzbroniony. Wkupiła się Bieta u stróżów, wpuszczono ją.

Jakiego tam doznała przyjęcia, nie mówiła ni-komu. Z za drzwi słyszano podniesione głosy, spór i gniewy. Po pół godzinie spędzonej w izbie wyszła Bieta z twarzą zarumienioną, z oczyma złemi, i na-zajutrz rano precz z Sieradza odjechała.

Gdy się na powrót zjawiała w Krakowie, zasta-ła już izby swe zajęte, a wszystko co tam rzuciła w rękach Zoni, która sama się w jej mieszkaniu rozgospodarowała.

Musiała natychmiast iść precz, a waśń powsta-ła krzykliwa i zajadła. Zoni zakazała pokazywać się sobie.

Mniszka ledwie wróciwszy, natychmiast biegać i krzętać się czynnie zaczęła, przyjaciół biskupa zbierając, naradzając z niemi. Wita słała i rozka-zywała mu, jakby moc nad nim miała.

Werchanićcowa postrzegłszy to, musiała się uko-rzyć przed straszną zapaśnicą swą, przebłagać ją i służyć pokornie.

Co miała w sercu, któż wiedział?

VII.

Miesiąc upływał już od czasu, gdy Toporezczycy biskupa Pawła porwali.

Mury siceradzkiego zamku strzegły jeszcze więźnia, ale ten z dniem każdym większej zuchwałości nabierał.

Sprawa jego przeciwników źle stała.

Ks. Paweł w Krakowie i dyecezyi swej, wśród tych, co na życie jego patrzali, miał nieprzyjaciół, ci uniewinnili i chwalili Toporeczyków i księcia; lecz w innych ziemiach, opodal od stolicy nie bardzo wierzano w to, co o biskupie rozpowiadano, miano to za potwarze; a porwanie się na duchownego wywołało oburzenie i zgrozę!

Wszyscy biskupi stanęli po stronie uwięzionego, a Janasz arcybiskup gnieźnieński z urzędu rzucić musiał interdykt na wszystek kraj sobie i ks. Bolesławowi podległy.

Nie pomogły uniewinnienia i prośby, gdy Bolesław wszystko na Toporeczyków zrzucił.

Dnia jednego przed samemi świętami Wielkanocnemi, nagle zamknęły się wszystkie kościoły, niechły dzwony, duchowieństwo po domach się zamknęło, a kapelanowie księcia i księżnej, oznajmili z przestachem i łzami, że nawet cichej mszy w kaplicy czytać im nie będzie wolno.

Kinga, rażona tą straszną groźbą jak piorunem, padła płacząc na ziemię.

Interdykt taki na kraj cały rzucony był w istocie rzeczą straszną. Kościół się cofał od ludu, ani w godzinie śmierci, ani przy narodzinach, ani u ślubu, nie chcąc pośredniczyć pomiędzy człowiekiem a Bogiem.

Umierający konali bez rozgrzeszenia, grzebano ich

bez modlitw, na pustkowiach, bo kościół zamykał poświęconą ziemię cmentarną

Nie chrzczono dzieci, nie wiążano ślubów, nie dopuszczano do świątyni. Stały zaparte.

W czasach tak gorącej wiary i pobożności, interdykt był karą niewysłowienie surową, najstroższą, którą jakkolwiek bądź ofiarą trzeba się było starać zdjąć z ramion.

Wprawdzie trafiało się niekiedy, iż powolniejsi kapłani, przy drzwiach zamkniętych, dla małego gronka, potajemnie msze odprawiali, ale takich ścigały ostre kary kościelne. Bolesław na pierwszą wieść o interdykcie, zawolał błagając o zgodę.

Chociaż o tem w Sieradzu nie mówiono biskupowi Pawłowi, gdy dnia jednego nie usłyszał dzwołów kościelnych, zrozumiał łatwo, że się za nim ujęto.

Był pewnym, iż się tak stać musi.

Więzień przybrał postawę zwycięzcy. Tegoż dnia ochmistrzowi Leszka, który się z nim dobrze obchodził, rzekł dumnie.

— Hej! hej! niedługo wy tu pono zamkniętego mnie strzedz będziecie. Widzi mi się, sen miałem taki, iż wy prosić będziecie mnie, abym was puścił, i zapłacicie mi za to, abym ztąd szedł.

Ale pomnij to sobie Wiruto, że choćbym zgodę zrobił, zemsty się dla niej nie wyrzeknę. Popamiętajcie wy biskupa Pawła, nie ty coś sługą, ale pan twój i krakowskie książątko. Tym ja nie przebaczył

Miesiąc więzienia, gdyż tyle ono już trwało, odosobnienie od ludzi, zmiana życia, zostawienie samemu sobie, wpłynęło nieco na zuchwałego czleka. Spoważniał, stał się surowszym, mniej dbającym o rozkosze i wygodę.

Dawano mu jadła i napoju podostatkiem, wiedząc że je lubił, często jednego i drugiego nie tykał prawie. Postarzał więcej przez te cztery niedziele, niż w ciągu lat kilku poprzednich.

Często dniami całemi dumał w oknie swem siedząc i patrząc na łęgi nad Wartą, sparty na rękach.

Z dawnej buty nie nie stracił, przybyło mu jej może jeszcze, lecz gniewy i wybuchy poskramiał i tłumił.

Ow gwałt popełniony na nim, upokorzenie jakiego doświadczył, duszę mu ścisnęły, nauczyły obmyślać lepiej środki do dopięcia swych celów.

Był już pewien rychłego oswobodzenia swego, gdy dnia jednego oznajmiono mu o przybyciu dwóch księży z Krakowa. Uśmiechnął się zwycięzko.

Byli to proboszcz Dzierżykraj, którego biskup nie lubił, bo ten do zamkowych ulubieńców należał i Walter kanonik krakowski, drnł Pawła i ks. Szczepana.

Ks. Dzierżykraj, jak biskup, pochodził ze starej rodziny ziemian krakowskich. Możliwsze domy naówczas już synów swych przeznaczaly chętnie do stanu duchownego, który prowadził do władzy, i dawał znaczenie u dworu, rycerskiemu równe lub większe jeszcze. Biskupi nie ustępowali książętom kroku, kościół stanowił prawdziwy *status in statu* (państwo w państwie), a nawet było to *status supra statum*, (państwo nad państwem), górując nad wszelkie świeckie władze, stojące na straży praw Bożych, wyższych nad państwa prawa.

Szli więc ziemianie majątni na kapłanów, w nadziei pozyskania tych stanowisk, które w początkach eudzoziemey otrzymywali.

Teraz dobijali się o nie krajowcy.

Tam, gdzie jak u rodziców Dzierżykraj, dzieci było wiele, a majątność podzielona między nie, musiałaby się uszczuplać, oblekano zawczasu chłopca w sukienkę duchowną, dawano mu chleb kościelny.

Ow młody Dzierżykraj, którego posyłano na naukę do Bononji i Paryża, wrócił z eudzoziemezały, śmiały, pewien siebie i doma przodował duchowien-

stwu znajomością praw i obyczajów powszechnego katolickiego kościoła.

Stosunki w Rzymie związane, utrzymywane po powrocie do kraju, czyniły go silnym, niezależnym, wielo potrzebnym.

Książę Bolesław trzymał go przy sobie, a choć jeszcze nie mianował kanclerzem, przepowiadano mu pieczęć w przyszłości. Był to człowiek zręczny, umiejący się z ludźmi obchodzić, wychowaniem cudzoziemskim i doświadczeniem czujący się wyższym nad to duchowieństwo, które dalej po za granice domowe nie wyjrzało.

Postać była piękna, strój staranny, wejrzenie bystre, człowiek przebiegły, umiejący się zastosować do ludzi i chwili, słowni. stworzony do układów w zawilej sprawie

Kanonik Walter, Niemiec, pobytom długim w Polsce, już z językiem jej obyty, ale mówiący polszczyzną łamaną z konieczności, bo przed laty kilkudziesięciu wydane przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, przepisy, wymagały znajomości języka krajowego od duchownych, niepoczesny, chytry, pokorny, sługa powolny biskupa, obok Dzierżykraję wydawał się bardzo małym i lichym, ale w przebiegłości mu nie ustępował, a przewrotnością go przechodził. Zyskał go datkiem, na który był chciwy do układów z ks. Pawłem; przyrzekał starać się o załagodzenie go i wyjednanie warunków przystępnych.

Jak w Dzierżykraję z pod sukni duchownej wychodził ziemianin, który nie zatarł w sobie charakteru niezależności, jaką mu dawał ród i zamożność, tak w ks. Walterze łatwo było poznać niemieckie dziecko mieszczańskie, ubrane w sutannę dla dorobku, chciwe małego zysku, do uległości gotowe, trwożliwe, a jak wszyscy co się małemi czują, złe i zawistne w duszy.

Gdy o nich biskupowi ozuajmiono, niepotrzebował zgadywać z czem przybyli, uśmiechał się, czoło

wypogodził, chciał na wstępie okazać, że więzienie go nie przybiło, że nie był niem ani upokorzony ni przeległy.

Wchodzących do sklepionej izdebki narożnej, w której siadywał, przyjął niemal wesóło.

Dzierżykraj, dawniej wstrętnego mu, niepowitał grzeczniej niż zwykle, do Waltera się zwracając.

— A! stary! przecieżś sobie wyrobił pozwolenie mnie odwiedzić? Patrzajcie co to panowie z biskupami robią! Miesiąc już siedzę w tych murach na rekolekcjach, trąbki myśliwskiej ani dzwona kościelnego nie słysząc.

— Skończy się rychło ta niewola,—zabrał głos Dzierżykraj, uprzedzając Waltera. — Co się stało, zaśzło bez wiedzy i woli księcia, który tego żałuje.

— Ho! ho! bez wiedzy!—podchwycił biskup.— Mówcie to komu chcecie... a nie mnie. Trzymałżeby mnie bez rozkazu stryja Leszek?

Dzierżykraj zamilkł nieco, a Walter zacierając ręce, niepewien co ma mówić, zająknął się.

— Co się stało! jak się stało! — rzekł — niema o czem rozprawiać, lepiej, żeby się to skończyło, a co rychlej. Trzeba pojednania i zgody.

— Zapewne! rozśmiał się biskup. — Chcielibyście abym ja niepamiętny krzywdy jaka mi się stała, guzów, które mi nabili wioząc mnie jak bydło związanego ci zbóje..., puszczając w zapomnienie krzywdę kościoła i dostojęństwa, wyszedł sobie ztąd, pokłonił się i powrócił na dwór milcząc.

Mylicie się, na Boga, nie znacie mnie — krzyknął głos podnosząc i porywając się z siedzenia, nie znacie mnie. Ziemianin jestem, rodzić tu teczny, ksiądz, biskup, sługa Boży, nie żaden ksiądz... nie przebaczę sponiewierania! Nie... pomstę za nie mieć muszę.

— Na kimże jej szukać chcecie?—odparł spokojnie Dzierżykraj.

— Na wszystkich winnych!—zawołał biskup.—

Na Toporeczkach, na Bolesławie, na Leszku! — nie przebaczę nikomu...

Walter pokornie zbliżył się doń z uniżonością i poczał go w rękę i suknię całować.

— Ojcie kochany! ojcie kochany! bez gniewu... zmilnijcie się...

— Jako, bez gniewu? — przerwał Paweł. — Toć gniew święty. Ujmuję się nie za siebie, ale za wszystkich sług Bożych.

Tak namiętnie rozpoczęła rozmowa, do niczego doprowadzić nie mogła. Dzierżykraj nstał nieco nie tracąc powagi ani spokoju zwrócił się ku oknu, zaczął niemi wyglądać, jakby rozmowy prowadzić nie chciał, czekając, aż się biskup wyburzy.

Z tej chwili skorzystał Walter i tajemnie po cichu, coś zaczął szeptać Pawłowi, który słuchał z uwagą, ale na Dzierżykraj patrzył, nie spuszczać go z oka.

Szeptanie to krótko trwało, a biskup nie dał poznać po sobie by na nim najmniejsze uczyniło wrażenie.

Walter, ażeby się nie podać w podejrzenie, iż z biskupem chciał się na swą rękę porozumieć, szybko nstał kroków parę.

Milczenie trwało dobrą chwilę.

Dzierżykraj spoglądał obojętnie to po izbie, to za okno, na ostatek, gdy cisza ta, kłopotliwa dla wszystkich nie nstawała, a ks. Paweł ostygł nieco, przybliżył się doń i rzekł łagodnie.

— Przynosimy Miłości Waszej słowa pokoju i zgody. Nie odpychajcie ich. Należy wam zadość uczynienie, nikt nie przeczy.

Mówmy o niem, Książę Bolesław chociaż się winnym nie czuje, bo jego usposobienie źle wytlumaczono, nadużyto słowa niezrozumianego. Książę pomimo to, gotów jest ponieść karę.

— Karę? jaką ja mu naznaczyć? — zapytał Paweł dumnie.

— Nie, ale na jaką wy się zgodzicie, gdy umowa stanie — rzekł Dzierżykraj.

— Naprzykład?—krzyknął Paweł unosząc się.—
Musi mnie przebłagać publicznie!

Dzierżykraj głową potrząsnął.

— To być nie może—odparł—on nie przewinił,
a dostojęstwo jego nie pozwala na to.

— Jakto? Alboż możniejsi stokroć od niego
Cesarze, głowy nie uginali przed biskupami? a takie
małe książątko nie mogłoby klęknąć przedemną, pa-
sterzem swoim!

Dzierżykraj zwrócił się znowu ku oknu, zmił-
czał. Walter spuścił głowę, nie życząc sobie się
mieszać w rozprawę.

Biskup ciągnął dalej.

— Powtóre, żądać będę przykładowego ukarania
dwu zbójców, ukarania więzieniem ciężkiem, zabra-
niem dóbr, oddaleniem ich ode dworu. Nie mogę
z nimi spotykać się więcej, nie powinno ich oglą-
dać oko moje. Nigdy! Śmierci mam prawo wyma-
gać na gwałtowników; niech Bogu dziękują, gdy im
życie darnię.

Nie było odpowiedzi, biskup mówił dalej, coraz
głos podnosząc.

— Rozgrabili mienie moje, chwycili klejnoty
i szaty, straciłam na kilkaset grzywien srebra lub
więcej... kościołowi należy za pokutę ofiara...

— Za tem, gdy się już pokuta okupi — rzekł
Dzierżykraj—drugiej wymagać się nie godzi. Prawo
nieczna, jak jedną karę za winę. Dwa razy nie każ-
nią nikogo.

— Wiem żeście w prawie biegli i niedarmo
lat strawiliście w Bononji, przerwał biskup—ale ja
moje prawo mam zapisane, tu, w piersi, nie znam
innego nad nie. Obrażony, skrzywdzony, nie wyjdę
ztaąd inaczej, jak pomszczonym.

Walter, którego krzyk biskupa onieśmiał, po-
czął bełkotać.

— Co się tknie Toporezyków, głównych spraw-

ców, nad niemi sprawiedliwość być musi, to nie po-
dlega wątpliwości.

— Niech gardła dadzą!—zawołał biskup zapo-
minając, że żądał tylko więzienia.

— Lecz wy sami byliście dla nich miłosierniej-
szymi przed chwilą—odezwał się Dzierżykraj. — Zy-
cia im nie weźmiecie.

Biskup nieco dotknięty, spojrzał na mówiącego
ostro i rzucił się na swe siedzenie. Tuż stał dzban
i kubek, wypił cały i rzekł do Dzierżykraj:

— Myśliwi jesteście!

— Nie—odparł zimno spytany.

— Polujecie na prawne wykrety po księgach
i dekretalach—dodał biskup.

— Do tego się sposobil—odpowiedział kano-
nik spokojnie.

Spojrzeli sobie w oczy. Chłodna krew tego
wychowańca Włoch, trochę nad Pawłem wzięła prze-
wagę.

Czuł, że miał przeciwko sobie nie lada zapaśni-
ka, który ze spokojem i panowaniem nad sobą prze-
chodził.

— Cóż tedy będzie? — przerwał biskup milcze-
nie dosyć niezręcznie, bo był zniecierpliwiony. — Przy-
byliście się ze mną targować o uwolnienie moje.
Kraj pod interdyktem jest i pozostanie, póki nie na-
stąpi zgoda. Nie przyjmiecie warunków moich, to
książe i księżna spowiedzi wielkanocnej, ani roz-
grzeszenia mieć nie będą. Musicie zgodzić się na to,
co ja chcę, inaczej — nie!

Książę mnie przebłaga publicznie z powrozem
na szyi...

— To wcale nie może być—rzekł zimno Dzier-
żykraj—nie może.

— A cóż będzie?—zawołał biskup.

— Ha! — odparł wzdychając kanonik — je-
śli się zgoda niemożliwą okaże, a interdykt trwać
będzie, książę i księżna na czas do Węgier wyjadą.

sprawa pò,dzie do stolicy apostolskiej na rozstrzygnięcie

— I wy za nią adwokatować pojedziecie?— wtrącił Paweł.

— Ja, albo kto inny — rzekł chłodno Dzierżykraj. — W. Miłość pozostaniecie tu aż do jej rozwiązania.

Paweł zerwał się z siedzenia.

— Dobrze! — rzekł — ja nie ustępuję nie — Nie! książe musi mnie na klęczkach publicznie przebłagać, zwolnić go tylko może z powrozu na szyi. To porczyki pod topór! Tysiąc grzywien kary i dla kościola ziemi nadanie.

Rozśmiał się dumnie, gniewnie.

— To moje słowo ostateczne!

Spojrzał nań kanonik i czekał trochę.

— Od tego nie ustąpię — powtórzył biskup.

Dzierżykraj skłonił się w mileczeniu, jakby się do wyjścia zabierał. Wieczór był późny.

Ksiądz Walter widząc go już ku drzwiom zmierzającego zawałał się, co miał począć, wyniść z nim, czy pozostać. Biskup dawał mu znaki, żeby się wstrzymał, Walter z widoczną obawą stał, patrząc na Dzierżykraję, który nie broniąc mu poufnej rozmowy, wyszedł natychmiast.

Gniewnie powiódł za nim oczyma biskup, i ręką na drzwi wskazując, zawołał.

— Dobrze wybrali posła! Ptak to, co wie jak komu śpiewać! Lecz, ja się znam na ludziach i głosach... Chee mu się kanclerstwa! zasługuje się paull

Padł na siedzenie.

Ks. Walter teraz dopiero oswobodzony od gwałtu, jaki sobie zadawał, pośpieszył do ks. Pawła z czułością wielką, łaszcząc mu się, całując go po rękach, zalamując dłonie, wykrzykując.

— Bezbożnicy! łotry! co oii z moim uczynili pasterzem! Na krwawe mi się lzy zbiera...

Boże miłosierny! Że w nich pioruny nie biły, gdy

się targnęli na pomazańca Twojego! Dzięki niebu, że życie ocalone... a i zdrowie.

Paweł przerwał gwałtownie.

— Nie lamentuj! Dosyć, żem się wylizal, alem ja twardy, nie łatwo mnie zgryźć. Z innego byliby duszę wygnali! Gdybyś wiedział jakim oni mnie tu przywieźli! Sznury mi się w ciało powjadały... krew ciekła.

Walter zakrył sobie oczy jęcząc.

— Boże miłosierny!

— A ja bym im to miał przebaczyć? Nigdy! nigdy! Nawet jeśli będę zmuszonym stłumić w sobie gniew. zrobić wrzekomą zgodę, dać się niby ublażyć!...

Nigdy! Dopókim żyw ścigać będę tego niedołężnego Bolesława i służkę jego Leszka. Wyżenę tych niemców precz! wyżenę!

Bił się w piersi, a Walter go po rękach całował uśmierzając rozjątrzenie.

— Rzekłściel — przerwał cicho — święte słowo. Zrobicie zgodę pozorną, potem postąpicie, jak zechcecie. Dajcie się przebłagać, aby się ztąd wydobyć, odzyskać swobodę. Będziecie silniejsi! Tak! tak!

Blagał go chwytając za ręce, które mu Paweł wyrywał.

— Zgodę—zawołał—mówilem pod jakimi warunkami.

Macie wóz i przewóz.

— Na to oni nie przystaną — szepnął Walter trzęsąc głową.

— Cóż oni dać myślą?—odezwał się nagle ostrygając Paweł.

Kanonik ruszył ramionami.

— Mnie oni się nie zwierzyli całkiem — począł mruczeć—ja tego tak dobrze niewiem. Dożyłem tylko z rozmowy z nim, (pokazał na drzwi) książę nie przebłaga, bo się do winy nie zna, Toporezyków

ukarze, ale nie na gardle. Kilkaset grzywien, kawał ziemi dadzą.

Paweł odwrócił się ze wzgardą.

Widać było, że waleczył z sobą. W istocie swobody mu się chciało dusznie. Dla człowieka eo nigdy w miejscu długo wytrwać nie mógł, siedzieć zapartemu wśród ścian czterech niedziel kilka, lowów nie zakosztować, wesółych uczt, śmiechu, swobody, równało się prawie śmierci. Na samą myśl otwarcia tych drzwi okutych, zdjęcia straży, serce mu biło. Niecierpliwiła go zwłoka, gdy ezul możność oswobodzenia się.

Lękał się, aby w tem Dzierżykraj go nie odgadł i nie korzystał z usposobienia. Burzyło go to i jątrzyło.

Z pół godziny jeszcze na rozmowie Walter z nim pozostał, ale nie pozyskał wiele. Opowiadać musiał o tem co się działo w Krakowie, kto i jak przyjął wiadomość o więźninie jego, okazał się przyjaznym lub wrogiem, obrońcą lub przeciwnikiem. Biskup rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły.

Przeciągnęło się to tak, iż Walter w ostatku, bojąc się podejrzeń towarzysza, wybiegł pośpiesznie. Bawił i tak za długo.

Obu posłów przyjmował książę Leszek, lecz niezbyt wielką, do całej sprawy wiążąc wagę. Nie miał, że rad był pozbyć się więźnia, choć spełnił Bolesława rozkazy.

Dzierżykraj zachował się wstrzemięźliwie, matomównie nie dając się wybadać, ani księżom ni Walterowi. Kanonik napróżno usiłował czytać w jego twarzy, nie mógł odgadnąć co myślał.

Dawał do zrozumienia, iż z biskupem już nie spodziewał się przyjść do zgody.

Nazajutrz rano wchodzący sługa dał znać ks. Pawłowi, iż krakowscy książę z powrotem się już wybierają. Zżymnął się mocno. Siedział właśnie

u rannego stołu, i nieopatrznie cisnął ze złości nożem o podłogę.

Wkrótce potem zjawił się Dzierżykraj spokojny, chłodny, obojętnością swą człowiecka takiego jak biskup mogący przyprowadzić do rozpacz.

— Przychodzę W. Miłość pożegnać — odezwał się. — Bardzo mi boleśnie, że dobre moje chęci speliły na niczem.

Ks. Paweł wrzący, mówić mu nie dał.

— Słuchaj ty! Mistrzu i doktorze praw—zawołał. — Nie graj ze mną w żadną grę, bom ja nie ko-
stera, nie gram, rąbię! Cierpliwości Bóg nie dał. Jestem tu więźniem, duszę się, chcę ztąd precz! Mów, co mi Bolesław daje!

— Ojcie mój - odpowiedział ze spokojnym smutkiem Dzierżykraj. Warunki wczoraj przez was nam dane są takie, że ja obok nich tego co z sobą przywiozłem, na stół położyć nie śmiem.

— Mów! mów! Posłem jesteś! przecie nie czy-
nię ci nic—zawołał rzucając się ks. Paweł.—Mów!

Kanonik podniósł głowę.

— Książę Bolko ofiaruje Wam ukaranie ostrem więzieniem Toporezyków, z którymi wspólności się zapiera. Dwieście grzywien srebra i nadanie Dzierążucj.

Biskup, który czerwieniąc się słuchał, wybuchnął w końcu.

— Nigdy w świecie się na to nie zgodzę! Jedźcie precz! jedźcie precz! Wołę więzienie!

Usłyszawszy to Dzierżykraj, skłonił się nisko. Walter stojący za nim ręce ścisnął, łamał, tak, że palce trzaskały, pot mu się lał z czoła, cierpiał srode.

— Ojczel!—szepnął blagajaco spoglądając nań—ojczel!

— Idźcie! jedźcie! Oba Judasze! kusiecie przekłęci! Nic z tego!

Dzierżykraj wyszedł nie czekając, Walter pozostał. Biskup w gniewie i na niego już patrzeć ani mówić z nim nie chciał. Oddalił się do progu zwolna

Walter, czekając przywołania. Paweł dał mu znak, żeby szedł.

Lecz załedwie drzwi się za niemi zamknęły, gdy biskup sam pozostał, ogarnęła go złość taka, że włosy na głowie i szaty począł targać na sobie.

Swoboda! zemsta! więzienie! przesuwały mu się przed oczyma. Zrenice krwią nabiegłe wlepił w podłogę, stał osłupiały.

— Dla zemsty! dla zemsty na wszystko przystać muszę! — rzekł w duchu. — Poznają mnie! Nieznają mnie!

Zbliżył się ku drzwiom, za któremi stały strażę.

— Posłów krakowskich przywołajcie! — rzekł stłumionym głosem.

W podwórzu widać było ich konie, oni sami poszli się z Leszkiem zegnać, który nudził się odwiedzinami, a gniewny był, że mu więźnia zostawiono.

Z posłuchania od księcia odwołano ich. Dzierżykraj nie dał poznać po sobie, iż rad był, że mu się zwiastowało zwycięstwo. — Wyszedł powoli. Walter biegł z oczyma wesołemi, nadzieja mu się uśmiechała.

Pawła zastali w pośrodku izby, rękami ujętego w boki, i miną dumną i rozsierdzoną.

— Chcę być swobodnym — zawołał — nie taję tego! Mówcie raz jeszcze, jakie mi zadość uczynienie dać możecie. Mówcie!

— Mam powtórzyć słowa moje? — zapytał Dzierżykraj.

— Nie dasz mi więcej nic?

— Daję to co niosę, ofiaruję co mi powierzono — rzekł kanonik. — Z siebie, choćbym rad, nie mogę nic. Nie przystałoby mi też z pasterzem się targować.

— A pasterz za gardło zduszony, musi zdać się na waszą łaskę lub niełaskę, i przyjąć co mu dacie! i dziękować!

Rzucił się gniewny.

— Znaćcie mnie—począł zbliżając się do Dzierżykraja—przynajmniej tyle. iż wiedzieć powinniście: gdy na dnie serca mego kwas zostanie, wyrośnie w tej dzieży dla was niezdrowe ciasto!

Zmuszony do zgody przyjmę ją, ale...

— To rzecz sumienia waszego—przerwał kanonik. Paweł złośliwie się uśmiechnął.

— Powtórzcież warunki—rzekł.

Posel patrząc na niego, począł je wyliczać powoli.

— Nóż mam na gardle—krzyknął biskup.—Słyszycie! Spisujcie tę zgodę niecną.. przyjmując!

Walter poskoczył i z serdecznością wielką po rękach go zaczął całować, chociaż biskup go odpychał.

Dzierżykraj dobył pergamin przygotowany wcześniej i położył go przed biskupem.

Milecząc godził się teraz na wszystko, chociaż widać było, że się burzył, że dla niego nie zgoda, ale wyjściem z więzienia miała być ta umowa.

— Natychmiast rozkażcie, aby konie i ludzie byli dla mnie gotowi zawołał niecierpliwie—niechcę tu pozostać ani godziny z dobrej woli.

Głosem ogromnym krzyknął na strażę, które się we drzwiach zjawyły, aby dano znać Leszkowi, iż zgoda została zawarta. Pożądana to była dlań nowina i książę sam zjawił się natychmiast.

Chociaż obchodzenie się jego z biskupem było bardzo łagodne i pełne względów, ks. Paweł nie mniej go nienawidził. Nie przebaczył mu, iż zgodził się być stróżem jego niewoli.

Przyjął go z dumą i lekceważeniem.

— Będziemy nareście oha wolni od siebie—rzekł—bo wy mną, miły panie, równieście byli utraipieni, jak ja wami. Rozkażcie mi nazad do Kuno-wa mego wozy i ludzi dać. Spocznię tam, nim do Krakowa powrócę.

Leszek rzekł coś o odpoczynku w Sieradzu.

— Odpoczywałem tu już dosyć — rzekł szydersko Paweł.—Będzie mi on pamiętnym.

Rozstali się kwaśno. Biskup nie przestał naglić o konie do Kunowa, chciał jechać bodaj samotrzeć, byleby mu je dano.

Skonńczywszy o warunki z Dzierżykrajem, nie wiele nań zważał, Walter nie mógł go zabawić i ująć sobie. Zajęty był cały sobą, planami przyszłości, zemstą, swobodą, której nżyć pilno mu było.

Posłowie krakowscy jeszcze się w podróż wybierali, gdy biskup do stołu na nowo zastawionego nie chcąc siąść, nie żegnając Leszka, gdy mu znać dano, iż są ludzie i konie, wypadł z baszty narożnej, przy której nie było już straży, nie jak duchowny, ale jak wojak znękany niewolą, śpiesząc do osiodłanego wierzchowca.

Okiem znawcy opatrzył go, bo oszczędzać nie myślał. szło mu tylko, aby donieść do Kunowa, choćby tam padł we wrotach. Dosiadł go z siłą młodzieńczą, ściągnął i ruszył z zamku wyciągniętym klusem, nie spojrzawszy za siebie. Ci, których mu dano za towarzyszków, ledwie za nim mogli podążyć.

Patrzący nań, gdy wyjeżdżał za wrota, odgadnąć mogli, z jakim uczuciem się ztąd wyrывał.

Odzyskana swoboda była groźbą, którą Leszek zrozumiał, ale wołał go mieć nieprzyjacielem zdala, niż więźniem pod swym dachem.

Oddychał wolniej.

Dzierżykraj z Walterem tegoż dnia pośpieszyli do Krakowa, gdzie na nich oczekiwano tęsknie, spodziewając się zdjeścia iuterdyktu przed świętami. Z drogi ks. Walter wysłany był z tem do Gniezna.

VIII.

Wrócił ks. Paweł do Krakowa, otwarły się znów kościoły, na zamku odprawiało nabożeństwo błagalne i dziękczynne. W kapliczce swej pobożna Kinga krzyżem leżała, radując dzwonom i modlitwie. Wracło jej życie. Lzy płynęły z oczów.

Książę wypłacał wykup swój stratą najwierniejszych przyjaciół.

Sprawa Toporeczków oburzyła nietylko ich, nie samą mnogą i potężną rodzinę, ale wszystkich ziemian krakowskich.

Z rozkazu księcia pochwycono ich obu, bo byli skazani na ciężkie w zamku więzienie. Działo się to wobec powinowatych i przyjaciół. Żegota, krwi gorącej, niepomiarowanej mowy, krzyknął głośno:

— Dobrze nam tak, żeśmy ufali w książecę miłość i wiarc! Dobrze nam tak! lecz podlibyśmy mu sieci być, gdybyśmy po tym sromie i pokrzywdzeniu zostali tu dłużej.

Ziemie nasze sprzedamy, obtrząśniemy pył ze stóp naszych, pójdziemy ztąd preez. Jest innych ziem dosyć. Stoi nam Ślązko otworem, pójdziemy na Mazury, bodaj na Pomorze, byle tu nie żyć! Lepiej do Czech w gościnę, do Węgier na wygnanie, a tu nam nie być, nie żyć!

Przyniesiono o tem wiadomość Bolesławowi, który się strwożył i zabolął. Słał do nwięzionych Dzierżykraja z dobrem słowem, ale go słuchać nie ehcieli.

— Łaski księcia nie żądamy więcej — rzekł Żegota — za służbę mu dziękujemy. Tu dla nas już gniazda niema, stać je trzeba gdzieindziej. Miły księciu biskup, niech z nim żyje!

Ks. Paweł zaś połowiczną zemstą nad Toporeczy-

kami zaspokojony nie był. Pojechał na zamek nie dziękować tylko się odgrażać i szydzić. Przez czas bytuości swej, warczał ciągle, miotał się, a Bolesław słuchać go musiał w pokornem milczeniu. Ani grzywny, ani nadanie nie nasyciły go, pluł wzgardliwie na to, co mu dano, i za oczyma głosnemi miotał groźbami.

Dworzec biskupi pełen się znalazł na powitanie go, śpieszyli drubowie z językiem, z żalami, z oskarżeniami. Kanonicy przyjaciele, śpiewali tryumfy pieśni. U drzwi znalazł się i Wit z porąbaną twarzą.

Pierwszy wieczór, jakby na okazanie, iż życia zmierzać nie myśli, spędził biskup u Biety.

Spotkanie z nią inne było, niż się spodziewała. Serdeczne niby, a zimne. ks. Paweł ją poczytywał za główną prześladowania przyczynę, w myśli już miał pozbycie się jej

Bieta spotkała go z namiętnością wielką i odepchnięta chłodem, cofnęła się obrażona, dumna.

Część wieczora spłynęło na przekąsach wzajemnych. Zemstą pałające serce Pawła, nie miało miejsca na inne uczucie. Niewiasta ta stawiała mu się ciężarem...

Lice też jej, piękne jeszcze, straciło już w tem życiu burzliwem pierwszą swą świeżość dziewiczą. Namiętność napiętnowała je szponami swemi. Oczy gorzały zapadłe, uśmiechała się na ustach resztką młodości, ale czoło marszczkami zorało. Schudła, wyschła, piękną była lecz straszną i groźną jak zrozpaczona jakaś Medea; jak mytologiczne bóstwo tętnące ogniem i płomieniami, zdolne śmierć przynieść w uścisku.

Gdy późno już biskup do siebie powracał, zastąpiła mu drogę Wercłańcowa. Czatowała nań, stawiała się z ubolewaniem, z jękiem, stara a serdeczna służa.

Z twarzy, jaką wyniósł od Biety, przeczuwała, iż się tam coś stało, lub stanie, i radowała się temu. Zagadnięty o nią, Paweł rzekł nie tając:

— Dosyć już mam tej nniszki! Prędzej później pozbyć się jej potrzeba. Nie teraz, aby nie myśleli ludzie, że się boję ich języków.

Nie boję się nikogo, ale mnie męczy ta złośnica. Co z nią uczynić?

— A! a! — poczęła Zonia przybliżając i zalecając mu się. — Dawnom to ja mówiła, że się jej czas zbyć. Zła, zazdrosna, dumna! Mielicie już jej dosyć.

— Co z nią począć? — powtórzył biskup.

Zonia potrząsała głową.

— Nie moja to rzecz radzić! nie moja! — szeptała. — Odesłaćby do klasztoru, ale czy ją tam przyjmą?

— Wydać ją za kogo? — poddał Paweł.

— Ona! ale! nie pójdzie i za pana! — zawołała Werchańcowa — nie... nie...

Rozmowa przerywana, skończyła się tem, iż Paweł powtórzył:

— Mieć jej tu nie chcę! Zła jest i zestarzała. Nie poieciechę mam z niej, a zgryzotę i utrapienie. Dość mnie namężyła!

Przez dni kilka potem, biskup nie chodził do dworku i Biety puszczać do siebie nie kazał.

Zajęty też był dniem i nocą, bo się doń znowu cisnęli ludzie.

Na wsze strony rozsyłał posłów jawnie i tajemnie, wielkie się jakieś przygotowania czyniły.

Narady kończyły się często nadedniem, poczyniły na zaraniu. Łatwo przewidzieć było, że mściwy ezlek, gotował odwet jakiś groźny.

Bieta chodziła rozgorączkowana, zrozpaczona, splakana, gdy wieczorem jednego z tych dni wsunęła się Zonia.

— A co! gołąbko moja! — szepnęła eieho. — Powrócił pan nasz, ale co się z nim dzieje? Jaki zmieniony! Nie poznać człowieka! Innym się stał. Mówię już z nim nie można. Gdy się rozsierzdi jak teraz, niewieście mu żadnej, ani na oczy!

Próżno zagadując różnie, Werchańcowa próbo-

wała wyciągnąć ją na odpowiedź, patrzała na nią nierozumiejąc, wdumana w siebie.

— Czym to ja nie przepowiadała — ciągnęła wdowa. — On do was już serce stracił. Zbierało się na to dawno. Broń Boże, by was jeszcze w złą gozdzinę w klasztorze zamurować nie kazał.

Biskup! — zakonnicze słuchać go muszą! Tyleś świata widziała. Serca nie ma ten człowiek!

Rozpłakała się Bieta, odpychając złowrogą prorokinię, aż nakoniec złamana, zawołała do niej o radę.

— Na co masz czekać złego końca! — odparła Zonia. — W świat idź, nieiekaj póki czas! Znajdzie się nie jeden, co cię weźmie. Potem mścić się będziesz mogła i nie dać mu spokoju! Nicch pokutuje!

Z twarzy Werchańcowej tryskało takie zemsty pragnienie, taka złość nieklamana, iż Bieta się nią przejęła.

— Nie mam nikogo! Gdzież się podzięję — wołała.

Na to tylko zdawała się czekać Zonia, zbliżyła się okazując czułość i troskliwość wielką, cicho rozpoczęto narady.

Werchańcowa miała pono plan oddawna osnuty. Bieta była sierotą, ona znalazła jej przyrodniego brata, prawdziwego czy kłamanego, o tem ona tylko wiedziała, ale w łaskach na zamku i jednego z pułkowników u Bolesława. O tym mniemanym bracie wspominała jej już nieraz, jego też przygotowując, aby siostrę, jeśliby opieki potrzebowała, wziął do siebie. Tłumaczyła mu i wmawiała na różny sposób, że ratować nieszczęśliwą był obowiązany.

Człek ten wybrany przez Zonię, zwał się Krzyżan, ni młody był, ni stary, w zbroi cały dzień siedzieć nawykły i ciurów pilnować, z niewiastami, mało obeznany, tyle tylko, że mu się one w weselszych życia chwilach przed oczyma przesuwwały.

Chwalila mu Zonia bardzo tę siostrę przyrodnicę, a starała się w nim litość obudzić, nim mu ją ukazała.

Krzyżan siwiejący już, ale krzepki jeszcze, choć przyjmował ją za siostrę, bo mu to wmówiła wdowa, wolałby był mieć ją zupełnie obcą, lub dalszą powinowatą. Nie od tego, aby ją na zamek wziąć. Zdala widziana podobiała mu się bardzo.

Bieta zrazu go znać nie chciała.

Brat czy nie, wydał jej się gburom i zbyt prostym czelkiem. Pierwsze zawiązki przyjaźni się nie powiodły. Krzyżan nadto poufale się do niej zbliżał, ona zbyt go chciała trzymać zdala.

Jednakże, był to jedyny człek na świecie, co się do niej przyznawał, który jakimś węzłem z nią był połączony i wiązał Bietę ze światem.

Werchańcowa na stronie, starała się chłód Biety wytłumaczyć, ręcąc, że ona kochać go będzie jak brata — i — dodawała z uśmiechem chytrym — może więcej niż brata. Krzyżan zapalił się i rozmyślał. Stosunek ten dla Biety wstrętliwy, znosila ona z przymus. Żołnierz się przywiązywał coraz goręcej.

Biskupowi też wyrwać ją. Żołnierz Bolesławowski, rad był bardzo, bo na Wawelu co żyło go nienawidziło.

Teraz, gdy pilno przytulku szukać było potrzeba, Werchańcowa swatała Krzyżana, opierała się dziewczyna.

— Lepszego nie znajdziesz — namawiała stara — on jeden cię ratować może. Na zamku będziesz bezpieczna. Biskup tam nie sięgnie.

Dzień jeden i drugi nłynął. Paweł się już we dworku nie ukazał. Bieta wiedziała, co to znaczyło.

Tymczasem Zonia przynosiła ze dworu wieści, że tam coś knuto przeciwko Biecie, że biskup do klasztorów zakonne posyłał na zwiady i namawiał się z panną starszą na Skale.

Niewola, cele zamurowane... przerażała nieszczęśliwą, wołała już opiekę starego Krzyżana nad nią.

Nie sprzeciwiała się. Natychmiast dano mu znać do zamku. Płacząc zaczęła mu się skarżyć na swój

los Bieta. Żołnierz nie bardzo wymowny, zżymał się pięścią tłukł i gotów był na wszystko. Miał parę izb swoich na Wawelu przy dworze, gdzie Bieta schronić się mogła bezpiecznie. Werchańcowa nagliła o pospiech. Straszyla, groziła porwaniem, przynosiła różne plotki, nie było czasu do stracenia.

Gdy wreszcie przyszło się rozstać z tym dworkiem, z tem życiem namiętności i męczarni, w którym Bieta nawykła była trwać jak w płomieniach, gdy trzeba było rzucić wszystko, uciekać na niepewne losy, padła na ziemię jęcząc i łkając.

Aby ją zmusić do uchodzenia z Krzyżanem, Zonia celę zamurowaną przypomniała.

Krzyżan chciwie ją zabierał na zamek, radując się szczęściu swojemu, poprowadził do ubogiego mieszkania, które się jej strasznie i nędznie wydało. Tu rzuciwszy się na łożo, bezprzytomna dwa dni spędziła w gorączce i jękach.

Wieczorem Zonia biegła przestraszona do biskupa.

— Nie ma mniszki!—krzyknęła od progu załamując ręce — nie ma! Uciekł! Nastraszył ją ktoś, czy ostrzegł, czy sama poczuła, że już nie ma co robić. Ostatnie dwa wieczory chodziła, jakby ją zimnica trzęsła.

Paweł prawie radośnie wicść tę przyjął.

— Zbiegła!—powtórzył.—No, chwala Bogu.

Werchańcowa nie zdawała się cieszyć z tego.

— Nie znacie wy jej jeszcze! Poszła ona ztąd, ale wam spokoju nie da!

Biskup uśmiechnął się, zdziwiony nieco tą groźbą.

— Cóż ona mi zrobić może?—spytał.

— Albo ja wiem—zamruczała wdowa—kto zgadnie taką szalenicę! Ona swego nie daruje.

Paweł nie zważał wcale na przepowiednie, rad był, że się zbył ciężaru.

Natychmiast dworek kazał opróżnić i klechów w nim osadził, tak, by w razie namysłu i powrotu, nie miała się już gdzie podziąć.

Tydzień upłynął, a o Biecie wcale słyhać nie było. Zonia nie wiedziała nic o niej. Upłynął drugi.

Biskup na uroczyste święto pojechał na Wawel, zasiąść w kościele na tronie swym w ezasie nabożeństwa. Dobrej był myśli i zwyczajkiego oblicza. Nieprzyjaciele wejrzenia oczu jego wytrzymać nie mogli. Tem też śmielej i zuchwalej poglądał, wyzywając ich. Przyszłość wróżyła mu się zwyczajką, krwawą, taką, jaką ją mieć chciał.

W ezasie nabożeństwa, gdy rzucał oczyma po kościele gęsto nabitym ludźmi, wzrok jego padł na tłum stojący u kraty presbiterium.

Struchlał, krew mu oblała twarz, która wnet zbladła jak ebusta.

Naprzeciw niego stała w czerni cała, w sukui zakonnego kroju, w zaslonie podobnej do tych, które mniszki nosiły, ale bez krzyża u czola, owa pochwyciona przez niego Bieta. Stała trupem czy widmem, blada, piękna, groźna, z oczyma wlepionemi w niego, oczyma tego bajecznego bazyliuszka, który wzrokiem zabija.

Biskup chciał oczy odwrócić od niej i nie mógł, grzesznica przykuwała do siebie spojrzeniem mściwym, bez litości, w którem było całe piekło.

Śmiały ów, niczem nie dający się złamać biskup, który się rzucił na książąt i panów, eo nie szanował nic, dla którego nie było świętości, poczuł w tym wzroku jakby całą piekła potęgę... moc szatana, siłę większą niż on miał. panowanie grzechu, w którym żył.

Ręką drżącą powiódł po twarzy, opędzając tę marę natrętą, chcąc gwałtem wzrok zwrócić ku oltarzowi. Żrenie poruszyć nie mógł, zdretniały. Niewiasta jak kamienna stała patrząc w niego, a oczy jej mówiły:

— Umiłowałeś mnie i grzech.. grzech nie wypuści cię ze szpon swoich. Stoję i pójdę wszędzie

za tobą: Tyś mój! Tyś pastwa moja! Piekło czeka nas oboje! bo ono nam ślub dawało!

W strasznej tej chwili halucynacji jakiejś, mniszka zmieniła mu się w poczwargę, wilka stojącego na dwóch łapach, z krwawą paszczą otwartą, ze ślepiami ogniem połyskującymi.

Potwora śmiała się uragając z niego, pazury ostre wyciągnawszy.

Widmo znikало i niewiasta wracała znowu.

Piękność jej mieniła się, rozjaśniała, rozwiewała i nagle przeistaczała w oblicze potworne a straszące. Zdało mu się, że słyszał śpiew i wycie, jęk i śmiechy.

Pot zimny kroplami spływał po czole biskupa, i gdy mu mszał do pocałowania przynieśli diakonowie, ustami go dotknąć nie śmiał.

Zamiast mszału zdało mu się, że ma przed sobą rozwartą krwawą paszczkę wileczą i różowe usta mniszki w których białe zęby zgrzytały.

Męczarnia ta wiek trwała.

Gdy powinien był przejść do ołtarza, silnego tego męza, musieli dźwigać prawie na rękach diakonowie, tak ślaniał im się osłabły i o swej sile iść nie mógł. Odwrócił się do ludu z błogosławieństwem.. naprzeciw stał ciągle wilk ten i niewiasta. Ręka drżąca zamiast krzyża, zrobiła ruch groźny. Przytomność go opuszczała.

Zdziwiono się temu osłabieniu biskupa, który wróciwszy do zakrystji, dał się rozebrać nie mówiąc nic, tylko oczyma przerażonemi rzucił do koła, wstrząsając się konwulsyjnie, a na troskliwe pytania księży, nie mogąc nawet odpowiedzieć.

Mówiono po cichu i wieść się rozeszła, że był chory. Z kościoła wprost wieść się kazał do dworu swego. Podwórzec kościelny jeszcze był pelen ludzi, którzy wychodząc z nabożeństwa, stali do koła gwarząc i rozglądając się.

Gdy biskupa pod ręce trzymając wywiedziono, ciągle się jeszcze z trwogą oglądającego, ci co go

znali. a nigdy chorym ani nawet zmęczonym nie widywali. zdziwili się mocno.

Tłumaczono to sobie różnie.

Duchowni niektórzy, ludzie pobożni, powiadali, że Bóg go od ołtarza znakiem jakimś napomniiał.

Wóz biskupi, który krucyfer poprzedzał, ruszył od wrót kościelnych, a ks. Paweł niespokojnie rozpatrywał się w tłumie.

Tuż przy drodze, obok w zbroję odzianego podżylego mężczyzny. z siwiejącym wąsem, stała niewiasta w czerni i ubraniu do zakonnego podobnem; stała jakby czekała, aby wóz się zbliżył.

Zdała już zobaczyć ją i poznał biskup, trwoga ogarnęła go znowu, chciał krzyknąć na czeladź, aby zbiegowisko rozpędzono, ale już było za późno. Znalazł się tuż oko w oko z Biętą, która wlepiła w niego wejrzenie palące, gniewne. Podniosła białą, ścisniętą rękę do góry, i wobec wszystkich pogroziła nią biskupowi. Białe jej zęby ścisnęły się jakby kasać ebciała. Stojący przy niej mąż zbrojny, gwałtownie pochwycił ją pod ramię i całej siły użyć musiał, aby rozuamiętnioną uleco na bok odciągnąć.

Paweł nie mógł się wstrzymać od obejrzenia za siebie i zobaczył ją jeszcze, miotającą się. jakby gonić za nim chciała.

Niewieleu może ludzi to spostrzegło, a nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie umiał. Niewiastę brano za obłąkaną, ruch jej groźny za prośbę rozpaczliwą; lecz biskup powrócił spotkaniem tem w kościele tak wstrząśnięty, że usiadłszy już w komorze swej, długo jeszcze drżał. słowa nie mogąc przemówić.

Zuchwałstwo dziewczyny jątrzyło go i upokarzało.

Mało dbał o ludzkie języki, nie tał się z tem co czynił. często naumyślnie nieprzyjaciół wyzywał, ale być tak publicznie wystawionym na znęcanie się mściwej niewiasty, wiecznie się lękać z nią spotkania, jego nawet siły przechodziło.

Zabobonny jakiś strach, a raczej pierwsza myśl

pomsty Bożej, umysłem jego ośwładła. Widzenie tej niewiasty mieniającej się w wilka, uśmiech jej zły, szyderski, mściwy, dreszczem go przejmowały.

Posłano po Zonię, która tylnymi drzwiami nadbiegła; nie przewidując po co ją mógł zawołać kazać o niezwyklej godzinie.

Znalazła go za stołem, ocierającego pot z czoła, z twarzą siną, z oczyma krwią nabiegłymi.

Piękne niegdyś rysy jego, od lat kilku znacznie się były zmieniły. Linje ich charakterystyczne rozlały się w jakimś obrzęknięciu chorobliwym, policzki były jak napuchłe i zawisłe, pod oczyma ciążyły rozdęte guzy; wzrok miał dziki, białka zawsze prawie krwią zasze.

Werchańcowa czekać musiała, aż się do niej zebrał odczuwać.

— Szatań! przekłeta!—począł głosem przerywanym.—Biesowa córka ta. Bieta! Patrzałże. Ona tu jest! Na zamku była dziś w kościele. Stała umyślnie przedemną... jak wmurowana, przez mszę całą. Zabiegła mi drogę... groziła pięściami.

Zabić każe tę...

Zonia przypadła aż do ziemi, udając przerażenie. W istocie nie posiadała się z radości, że się jej zemsta tak powiodła.

Wolala niezrozumiale:

- Al a! Jezu najśłodszy.

Ledwie mogła skryć swe zwycięstwo.

— Ona! na zamku? Zkądże się wzięła?

— Porwać ją każe! Szukać, wywieźć — wołał biskup.—Wit niech idzie, śledzi i z kamieniem n szyi rzuci czarownicę przekłętą do Wisły. Zabić ją! ntopić!

— A gdzież jej szukać?—przerwała Werchańcowa chytrze—miasto duże, chować się jest gdzie.

— Tyl Wit... musicie ją znaleźć! Posłać ludzi—krzyczał Paweł.—Jedna taka nędznica, żeby mi się urągała i groziła.

Mówił to i miotał się. Posłyszawszy krzyk, Wit, który zawsze miał wstęp wolny, wpadł do komory, Biskup zwrócił się ku niemu.

Wit, chociaż milczał, wiedział już kędy Bieta była.

— Ten bies! ten bies!—burzył się Paweł zastąpił mi drogę... była w kościele i na ementarzu.

Półkoza się wykrzywił, co twarzy jego obrzydlęj nadawało wyraz potworniejszy jeszcze niż zwykle.

— Wszetecznica!—zawołał—nfa w to, że jej dał opiekę pół-brat Krzyżan, co u księcia jest na zamku. Ona tam u niego, ja już wiem!

Biskup począł ostygnać — skinął na Wita, aby się zbliżył.

— Do tego Krzyżana mi idź—zawołał—powiedz mu, niech ją trzyma, gdy chce, ale jak psa na uwięzi. Pokaże mi się na oczy—niech wie, że moja ręka i na zamek sięgnie.—Zabić każe... porwać z pod nosa księcia.

Wit słysząc to, mimowolnie głową potrząsnął, jakby niedowierzał.

— Uczynię to!—potwierdził Paweł marszcząc się.

— Zakaty by to było trudno! — odparł Wit.—Na zamku ich więcej niż nas wszystkich do ostatniego wymiółszy, a czujni są.

Nie zważając na to biskup dodał:

— Krzyżanowi zagroź! słyszysz — siłą czy inaczej ja swego dokażę.

Półkoza głowę tarł.

— Sprawę taką—odezwał się — lepiejby babie niż mnie powierzyć.

Krzyżan sierzdzysty, ja też, od słowa do słowa, bez guza by się nie obeszło.

Werchańcowa wtrąciła pędko.

— Tylko nie mnie tam ślijcie! Ja nie pójdę!

— To poślij djabła! — wykrzyknął biskup namiętnie. — Róbcie co chcecie, abym od tego szatana wolnym był.

Czas nadchodził, w którym biskup musiał się

gościom ukazać. Ułożywszy twarz, aby gniewu na niej znać nie było, wyszedł posepny.

Wit i Werchańcowa zostali w komorze, spoglądając na siebie.

— No— bąknął Półkoza—myście co robić.

— Sprawa nie moja—odparła Zonia—ty głową nadrabiaj.—Ja znać nie chcę.

I drzwiami nderzywszy—wybiegła. Od dawna tak szczęśliwą nie była.

— Ha! — wołała w duchu — przyszła nareszcie moja godzina, to na com ja dawno czekała. Niech się teraz zbój wścieka! Ja w tem; że ani Wit, ani nikt jej nie tknie. Będzie mu stała na oczach, będzie zachodziła drogę! Nie znajdzie od niej pokoju! Dobrze ci tak!

Biskup znalazłszy się w gronie swych przyjaciół, uczuł swobodniejszym, odzyskał powoli swą śmiałość i humor rubaszny.

Szedł do stołu zachęcając, aby wszyscy sobie radzi byli. Usta mu się nie zamykały, a że o tem co go dotknęło mówić nie mógł, rozpoczął najulubieńsze swę przekąsy z książąt, ich dworu, obyczaju, z Leszka i żony jego.

Pomagali mu inni, co kto mógł dodając na księcia Bolesława i tych, którzy mu najulubieńsi byli.

Najwięksi jednak nieprzyjaciele księcia, niewiele mu zarzucić mogli, pan był pobożny, łagodny, sprawiedliwy, choć nie zawsze łatwo widzący, co słusznem było.

Narzekano, że go przekupić było lekko, ale to mniemanie przekupstwo nie żaden datek znaczyło, tylko pokorę i słowo dobre litość obudzające.

Nie śmieli też zadawać, ażeby mu na rycerskim duchu zbywało, bo choć kilkakroć musiał się chronić przed Tatarami, do wystąpienia przeciw nim sił nie mając, w wyprawie na Jaćwę, w której całe to plemię wytepił, dał dowód wielkiego męstwa i wytrwałości.

U stołu biskupiego, ci co sami podzégali do tego, aby Toporezyków ukarano surowo, teraz na Bolesława krzyczeli, że ich oddał na pastwę i więził, chociaż sam im rozkazał gwałt popełnić.

Biskup radował się, iż ziemian krakowskich postępek ten miał odstręczyć i zniechęcić od Pudyka... Z przekąsem uśmiechano się, mówiąc o klasztornej życiu na dworze.

Paweł wśród hałaśliwych rozmów i szyderstw, gwaru i wrzawy biesiadnej, wprędcie o strachu swoim zapomniiał.

Nim wieczór zapadł, Zonia w plachtę się obwinawszy, którą nad głowę zapuściła, tak, aby twarzy jej widać nie było, wymknęła się z dworu ostrożnie i na zamek pobięła. Nie trudno jej tu było o izbę dopytać, w których Krzyżan z niniemą swą mieszkał siostrą.

Dwie izby miał i komorę na górze pułkowódea. Z tych jedną oddać musiał Biecie, która pierwszego wieczora drzwi łączące z sobą izby zaparła. Krzyżan, spodziewający się może poufalszego pożycia, ścierpieć to musiał, z czasem obiecując sobie, iż się to odmieni.

Bieta przyjmowała opiekę jego, ale zbliżać mu się do siebie nie dawała. Wojak z cimirami bardzo surowy, z niewiastą powolnym był, wasy kręcił, głowę spuszczał i precz szedł, gdy go wypędziła. Krzyku nie znosił. Czuł już, że będzie sobie kupił, lecz za tą szaloną szalał.

Zobaczywszy Werchańcowę przed sobą, niosącą wspomnienie biskupiego dworu — Bieta zerwała się z łóża. Czy jej szatańską złością palaly.

— Coście to nawarzyli? — poczęła wdowa nachylając się do niej. — Biskup z kościoła powrócił do dworu, że tylko bić, mordować i ścinać.

Radość błysła na twarzy Biety.

— To dopiero początek — rzekła dysząc i piersi cisnąc. — O! to jeszcze nie! Znajdźcie mnie w kościele

ile razy przyjdzie, pomiędzy Bogiem a sobą... na drodze między ludźmi a sobą... a w drugim świecie znajdziemy się także, na dnie piekła. Zgubił mnie, ja zgubić go muszę! Stoi w piśmie! Oko za oko! Ząb za ząb! A ja mówię, piekło za piekło!

Szatan! wezmą mnie—a ja jego!

Zonia pobożna zęgnąła się ciągle, słysząc imię złego ducha, aby go odpędzić od siebie. Pobożność jej z pragnieniem zemsty tak się dobrze godziła, iż świecce paliła przed świętymi, aby jej pomagali.

— Cichoż! cicho!—rzekła—nie wywołujecie tak szatanów! Dość! Pewnie, że prawo macie nie przebaczyć mi! On was zrobił nieszczęśliwą! Tak! On i mnie wdową zrobił! Spytajcie ludzi, ilu pobili, ile dziewcząt pozwoził, co poszły do wody i na rynki... Oj! ma on na duszy! ma!

Nie dokończyła palce sobie kładnąc na ustach. Bieta pytała jej, jakim biskup powrócił, potwierdziła Werchańcowa, iż z gniewu szalał prawie.

— Tylkoż! — dodała Zonia z powagą — pilnuj się! abyś się jego ludziom wziąć nie dała, bo ich na ciebie naśle... Niechaj Krzyżan ma dobre oko. Zaklął się, że pochwycić każe i do wody rzucić... Co mu to trudnego.

Jakby na zawołanie, właśnie Krzyżan głosy posłyszawszy, drzwi otworzył i wszedł. Zwróciła się wdowa do niego.

— Patrzaj, abyś ty jej dobrze strzegł... Biskup się klnie, że ją każe porwać.

Stary żołnierz uśmiechnął się.

— Ona tu bezpieczna — odparł — nie tknie jej nikt, tylko wy jej powiedźcie, aby przecie mnie jak psa za drzwiami nie trzymala. bo mi i nosa pokazać broni. Wziąłem ci ją na moją duszę i głowę.

Westchnął, Bieta spojrzała nań ostro.

— Mało ci, że mnie za siostrę masz?—zawołała dumnie.

Krzyżan wesał pokręcał mruczając coś, ale nieśmiało i niewyraźnie.

Wdała się Werchańcowa czyniąc zgodę, do której żołnierz się powolniejszym okazał niż Bieta.

Obmyślano środki ostrożności, ale o tych mniszka słuchać nie chciała. Siadła na niskim swoim łożu, sparała się na rękach, włosami czarnymi jak płaszcz na ramiona spadającymi okryta, i zaniemiała. Oczy wlepiała w podłogę, myśli jej poszły gdzieś daleko, może aż do tej furty klasztornej, której próg dzieckiem będąc przestąpiła, za którą spokój był i cisza, jakich już dziś odzyskać nie mogła!

IX.

Lat parę upłynęło, nie wiele na pozór zmieniwszy ludzi i sprawy, które ich zaprzętały.

Nie gwałtownego nie zwicznęło powszedniego trybu życia. Ciągnęło się, wlokło wszystko powierchownic jednakowo, lecz w głębi przysposabiały się burze. Tak czasem bywa niebo pogodne, powietrze ciche, słońce niezaćmione, ledwie opony jakieś w dali na niebiosach mgłą się, a zwierz i człowiek czuje, że ma nadciągnąć nawałnica, że wichry ukryte hasła czekają.

Tak było w ówczesnem państwie Bolesława Wstydliwego. Siedział on mocno na stolicy swej. Leszek panował w Sieradzkim, oba rządzi i sądzili, zabawiając się modlitwą i łowami.

Bolesław z każdym rokiem pobożniejszym się stawał, piękna Kinga, owa biała lilja, coraz większą nad nim uzyskiwała władzę. Uspokajała duszę tę, co się z początku z więzów świętych wyrwać chciała.

Bolesław był już przejednany ze swym losem, a żonę czczył i miłował jak błogosławioną, szanował

ją jako wzór, któremu dorównać pragnął. Jeżeli czasem krew w nim zakipiała, włosiennica i dyscyplina, post i modlitwa spokój przywracały.

Jedyną rozrywką były mu psy i łowy, jedynym niemal powiernikiem i przyjacielem Leszek, który też bez żony był i nie tęsknił za nią. Gryfina siedziała w klasztorze, chociaż ani sukni zakonnej oblekać, ni zasłony brać nie chciała. Zawsze to była buntująca się przeciwko losowi, co ją spotkał, niewiasta czekająca na to, aby jej traf szczęśliwy stracone nagrodził lata.

Pobożna Kinga próbowała napróżno zyskać ją sobie za towarzyszkę, a Bogu za służebnicę. Leszkowa żona o ślubach żadnych słuchać nie chciała, zakonnego nie lubiła życia, narzekala na osamotnienie. Księżna Bolesławowa płakała nad nią.

Dziecinnie naiwna, dopominała się Gryfina małżeńskiego życia, wychowywania dzieci, które mieć pragnęła.

— Gdyby wszystkie niewiasty—mówiła Kindze—chciały jak ty żyć z mężami, wprędce by świata i ludzi nie stało. Nie byłoby komu Pana Boga chwalić!

Szanuję ja świętość waszą, ale mnie grzeszną nie stworzono do tego, ja się nie zakopię tutaj.

Zgłaszała się napowrót do ojca, książę kazał jej pozostać, gdzie była. Do Bolesława tylko posłał, aby pojednał małżeństwo.

Książę razy kilka powoływał Leszka, dojeżdżał do niego, namawiał aby żonę brał napowrót—Czarny ociągał się i opierał.

— Mnie też, jak wam, bez żony lepiej żyć!—mówił.

— A jabym w tem mojem sieroctwie nie do-trwał—odpowiadał Bolesław—gdyby nie ta święta Kinga moja. Ona tego żądała! Miała od Boga natehniczenie, spełnia wolę jego. Gryfina inaczej myśli, tyś jej mężem. Cóż się stanie z Krakowem, gdy wy potomstwa mieć nie będziecie?

Leszek pomrukiwał tylko.

Rodzina Piastowiczów dość była liczna, a na księstwo łatwo o dziedzica zawsze.

Bolesławowi pokonać go trudno przychodziło, bo się na jego przykład zsyłał.

— Nie chcę być innym od was! Pozostanę sami
Przedłużał się więc ten rozwód małżonków.

Z biskupem Pawłem od Sieradzkiej niewoli, książęta choć byli przejednani pozornie, pilne musieli nań mieć oko, bo coraz jawniejszym się stawało, że spiski przeciw nim knował.

Przejeżdżał się nieustannie, na Śląsko, na Mazowsze, lub znikał na czas jakiś tak, że nikt nie miał powiedzieć, gdzie przebywał.

Leceć pochwycić go na czemś jawnem było trudno, a ostrzegany Bolesław i Leszek, najgorszego się spodziewać mogli. Pudłkowi z powodu Toporczyków nieprzyjaciół przybyło. Ci odsiedziawszy karę, wyprzedali się z ziem swoich i precz wywieśli na Mazury. Nie mogli przebaczyć księciu, iż na nich złożył całą winę.

Paweł coraz mniej bywał, wręście całkiem się tam przestał pokazywać. W Krakowie nie siadywał długo, otaczał się zbrojnemi, sam zawsze wpół uzbrojony jeżdżąc i przy mieczu. Okolo niego skupiali się wszyscy, którzy Bolesławowi nieprzyjaźni byli.

Książęta oba nie wiele mogli uczynić, aby się od niebezpieczeństwa, którego przewidzieć było trudno, ochronić - a biskup krzątał się, zabiegał, czynnym był, i jak siccją osnuwał do koła tych, na których pomścić się pragnął.

Sila jego rosła.

Gwałtownik zuchwały miał tę potęgę woli nieprzelamaną, której słabsi ludzie łatwo ulegają. Jedną ich sobie energją, przebiegłością, szcudrośliwością, zaufaniem w siebie i szczęściem, jakie mu dotąd służyło.

Życie wiódł raczej ziemianina możnego, niż pasterza, kościół zdawał na swych ulubieńców, sam polował, zabawiał się i dwory pańskie objeżdżał. Oby-

czajów nie zmienił weale, choć już wiek, ociężałość, tusza, spokojniejszy rodzaj życia wskazywały! Nie był to jednak już ów Paweł pierwszych lat biskupstwa, niedający się niczem zastraszyć i zachmurzyć.

Przychodziły nań chwile pogrążenia w sobie i wewnętrznej trwogi. W nocy musiało się w izbie palić światło. Sen miał niespokojny, marzenia z których zrywał się przerażony. Z łowów powracał czasem nagle pędząc do domu, drzwi kazał zapierać, jakby go jakie widma ścigały.

Ludzie jego opowiadali, że porwana niegdyś z klasztoru zakonnica, ciągle teraz jak cień za nim chodziła, i że to widmo być musiało czy upiór, bo go pochwycić nikt nie mógł.

W kościele w czasie nabożeństwa widywano go zrywającego się nagle, oglądającego do koła, drżącego jakby ze strachu. Księża szeptali, iż potwory jakieś ukazywały mu się w postaci niewiast i wilków, że raz wilk doń przemówił w kościele.

Biskup przed ks. Szczepanem przyznał się raz, iż miał takie widzenie w czasie nabożeństwa i słyszał głos wzywający go do pokuty. Bietę, która często zabiegała mu drogę, Paweł kazał ścigać, naznaczył nagrodę Witowi, jeśliby ją w jakikolwiek sposób sprzątnął ze świata.

Zdawało się to łatwem, gdyż biskup nieraz spotykał ją samą chodzącą po mieście, w sukni pół zakonnej, w zasłonie, z włosami rozpuszczonemi odartą.

Ile razy zobaczyła go, biegła doń grożąc pięściami i miotając obelżywemi wyrazami.

Znęceni nagrodą zuchwalsi puszczali się za nią, lecz wymykała im się z rąk jakimś cudownym sposobem, znikająca, zdawała się zapadać śród ziemi. Ludzie utrzymywali, że jej jakaś moc nadziemską broniła.

W końcu i najśmielszych trwoga ogarniała. Wit, który się zaklął, że ją musi pochwycić, choćby z pod ziemi dobywać przyszło, gdy się na tę wyprawę udał,

kilka dni go nie było, a potem dało znać, iż ciało jego znaleziono uad Wisłą, na którem choć znaków morderstwa nie było, domysłano się, iż swoją śmiercią nie umarł.

Biskup obawiał się chodzić do kościoła św. Wacława, lecz, choć nigdy naprzód nie oznajmywał gdzie miał być, spotykał ją po innych kościołach. Raz w klasztorze w Sączu pewien był, że ją zobaczył za kratą, posłał śledzić czy się tam w istocie znajdowała, nakazując, aby nie wypuszczano jej więcej na świat, lecz zakonnice poprzysięgały, iż nigdy jej tam nie było.

Na łowach w sąsiednich lasach, gdy się odbił od innych myśliwych, skarżył się, że ją spotykał. Raz, gdy go zaskoczyła, koniowi się coś stało, iż z miejsca ruszyć nie mógł, choć go ostrogą do krwi kaleczył, i musiał słuchać śmiechu jej i urągania, od którego, gdy ludzie nadbiegli, znaleźli go z gniewu i trwogi na poly omdlałym.

Dziwnym sposobem radziła sobie ta oszalała, bo gdy w początkach opieki Krzyżana potrzebowała, na zamku siedziała, wychodzić z niego nie śmiejąc, później takiej nabrała odwagi, iż swobodnie snuła się po mieście, okolicy, a czasem jej w domu po dni kilka nie bywało.

Wracała potem bosa, z nogami okrwawionemi, z włosiem rozpuszczonym, w sukni porwanej, wychudła, blada, zmęczona, głodna. Padła na posłanie, i snem kamiennym, do śmierci podobnym zasypiała czasem po dwie doby. Krzyżan litością zdjęty, siadywał przy niej i rozpaczliwie zawodził.

Wstawała potem niewiele pomnąc, co się z nią działo, a wypocząwszy, nowo rozpoczynała wędrówki.

Nikt jej nie mówił, gdzie biskupa spotkać mogła, Zonię widywała rzadko; przeczuciem jakimś, które ją nigdy nie zawodziło, znajdowała go zawsze na swej drodze.

Niekiedy stanawszy zdala z rękami na piersiach założonemi, dręczyła go wzrokiem wlepionym w nie-

go i głośnym śmiechem. A miała ów śmiech szatański ze zgrzytem zębów, ze łzami w oczach, który krew ścina w żyłach.

Po śmierci Wita, czeladź za największe skarby nie chciała się ważyć na ściganie jej. Uznawano w niej narzędzie Bożej karni za pogwałcenie klasztoru i porwanie niewiasty, która poprzysięgła śluby zakonne. Ludzie widzieli około niej zastęp duchów, który ją otaczał.

Gdy się czasem ukazywała w rynku, albo stanęła w ulicy, nawykli wszyscy byli przepowiadać, że biskup musi gdzieś znajdować się niedaleko. Czekala niekiedy sparta o plot, z oczyma strasznie wywróconemi, a ludzie obchodzili ją milcząc i nieśmiejąc słowem podrażnić. Tak potem pewną już była, że ją poszanują i zlitują się jej, iż głodna wchodziła do domostw. Siadała spoczywać na ławie, napiła się u drzwi z wiadra, a gdy zamruczała o chleb prosząc, nikt go jej nie odmówił.

Żal było spojrzeć na tę młodą jeszcze i piękną niewiastę, tak straszliwie sponiewieraną, dobrowolnie pokutującą tak ciężko.

We wzroku miała coś takiego, iż najśmielszego strwożyła wejrzawszy nań. Dzieci za nią zdala tylko biegały.

W kościołach nigdy nie widywano ją modlącą się, stawiała w krucheie lub w samej świątyni na uboczu, błędnie rzucając oczyma, nie przyklękując, nie skłaniając głowy na dzwonek.

Ludzie mówili na nią—szalona, chociaż nią nie była.

Nie lepiej z nią było staremu Krzyżanowi, który, brat czy nie, przywiązał się do biednej. z razu może myśli mając inne, teraz przez miłosierdzie dźwigając ciężkie brzemię.

U niego rządziła się jak chciała, przychodziła, gdy się jej podobało, wstawiała, szła często w nocy, gdy się jej coś przywidziało.

Po śmierci Wita, nie mogąc się obejść bez posług, do których mu było zawsze potrzeba czлека straconego imienia, wziął Paweł innego powinowatego ubogiego, ziemianina, co go od włosów czarnych, Krukiem zwano.

Rodowych nazwisk naówczas prawie nieużywano, lecz za to nie było czлека bez przezwiska. Wiele z nich zmieniły się później w miana rodowe.

Kruk, którego poufalsi na Kruczka spieszczali, drab był ogromny, a biskup wybrał go może dla tego wzrostu i domniemanej siły, która mu była potrzebna na lowach i w podróżach.

Lecz ołbrzym ten, tak zastraszający na oko, w istocie był dosyć lęklivego serca i niepewien co ma czynić. Siły, choć ją mógł mieć, nie wiedział jak używać. Posłuszny, cichy, łajac się dawał i bezczęścić, rozum wielkiego nie okazując, ni zbytku słuźliwości. Ciężki we wszystkim, na dwór się dostawszy i zrobiwszy znajomość z Werchańcową, która dla niego trochę się odmłodzić starała; poila go i karmiła, poszedł pod jej panowanie i stał się pokornym sługą.

Raz z łowów powróciwszy do Zoni, tak był strwożony i przybity, iż długo słowa z niego dobyć nie mogła. Dopiero po kilku kubkach ciepłego wina, ośmieliwszy się i ochłonawszy, odpowiedział jej czego był świadkiem.

Biskup Paweł dawnym zwyczajem na polowaniu, gdy się za zwierzem uganiał, zapominający się i zapalający, zapędził się był dnia tego w ostęp ścigając kozła, którego raziwszy oszezepem, dostać się spodziewał. Kruk za nim w pewnem oddaleniu nadążał.

Wtem njrzał, że koń biskupa stanął jak wryty, a przed nim miasto kozła, który gdzieś znikł, ukazała się niewiasta słusznego wzrostu, w sukni czarnej, sznurem podpasana, bosa, z długimi włosy na ramionach. Kruk, który Biety nigdy nie widział, ale słyszał o niej, że moc straszną miała, zsunał się

z konia i ciekawy z za dębn słuchać począł i przypatrywać się.

Widmo to czy niewiasta, mówił, naprzód krzyknęło:

— Stój!

Koń Pawła wrył się kopytami w ziemię, Kruk widział jak na nim skóra drżała. Biskup siedział jak wryty.

— Jam tu!—poczęła śmiejąc się.—Widzisz! Na twej drodze wszędzie... zawsze! abyś nie zapomniał, że moją duszę masz na sumieniu. Wziąłeś mnie... muszę chodzić za tobą. Przysięgałeś pierwszych dni, że mnie nie opuścisz... do śmierci. Otóż ja cię do śmierci porzucić nie mogę. Będę za tobą gnać, będę cię ścigać.

— Szatanie—odezwał się biskup głosem zmienionym.—Mów! czego ty chcesz odemnie! Okup ci dam jakiego żadasz. Zejdź mi z oczów!

— Nigdy!—rozśmiała się niewiasta.—Ty mój, ja twoja, i w piekle nas nie rozdzieli.

A potem śmiech się rozległ taki, że Kruk, jak powiedział, ze strachu uszy sobie zatknął.

— Nie nie chcę od ciebie—mówiła potem niewiasta—tylko byś mnie napowrót wziął, bom żona twoja, wedle prawa Lucypera.

I śmiała się dziko.

— Biskup i zakonnica! para dobrana! Ja nie puszcze cię! Zsiądź z konia, chodź do mnie. Spoczniemy.

Zaczęła ku koniowi się zbliżać. Biskup targnął go w tył, tak, że omal nie padł. dęba stanąwszy. Ostrożny Kruk w pomoc iść się nie ważył, oczy kobiety trwożyły go tak, iż się z miejsca ruszyć nie mógł.

Im większą biskup okazywał trwogę, tem widmo owe śmiało się mocniej, serdeczniej. Ręce wychudłe, białe, wyciągnawszy ku niemu, głowę podniósłszy, powtarzała:

— Chodź! Siądziemy spocząć pod drzewem. Nikt nie widzi nas, oprócz szatanów, sług naszych. Niech się oni ucieszą! Dam ci całusa takiego, jak ten pierwszy, co mi usta spalił na wieki! Chodź! chodź!

Biskup z koniem cofał się coraz bardziej. Szał jakiś ogarnął go z tej trwogi, chwycił oszczepek, który miał pod ręką, zamierzył się, cisnął nim, świsnęło w powietrzu. Kruk sobie zakrył oczy, bo wiedział, że Paweł rękę miał wprawna, a nie chybiał nigdy prawie. Sądził, że trupa zobaczy.

Wtem rozległ się śmiech straszniejszy jeszcze. Oszczep tkwił drgając w pniu drzewa.

Kruk zaklinał się na wszystko najświętsze, iż ze pnia trysnęła krew pręgą czerwoną i płynęła, a Bieta w miejscu stała nieulękła.

Ujrawszy to biskup, ciągle konia w tył cofając, zsunął się z niego i padł omdlaly na ziemię tuż przy Kruku.

Ten dopiero skoczył go ratować, a gdy się obejrzał potem, widma już nie było.

Zdaleka zobaczył ją idącą w las, trzymając się za głowę, ślaniała jak pijana.

Kruk nie rychło biskupa mógł otrzeźwić, odtarł go, a gdy oczy otworzył i pytać zaczął, nie przyznał mu się, iż był wszystkiego świadkiem. Wolał skłamać, iż nadbiegłszy znalazł go leżącym na ziemi.

Słuchając opowiadania, Zonia cieszyła się, w ręce biła, czego Kruk zrozumieć nie mógł.

Wróciwszy z tych łowów biskup odleżał dni kilka. Przyprowadzono mu włocho zakonnika Salernitanina, który leczyć umiał, potem drugiego z Kolonji, ucznia sławnego Albertusa.

Siedzieli oba nad nim i poili go, okładali dni kilka, a że człek był żelazny, powstał i z tej choroby dość rychło. Dni kilka potem z domu się nie ważył, a gdy wyjechać musiał, posłał przodem na zwiady ludzi, czy gdzie przeklętej baby nie widać.

Zapewniono go, że nigdzie jej nie było! Wyjechał biskup, lecz na drodze ku Wawelowi zobaczył ją stojącą u płotu.

Ujrawszy go, pozdrowiła ręką od ust z nśmiechem.

Powłókła się potem za nim.

Nie mógł zawrócić, bo już nań w kościele czekało, a tu ona się znalazła znowu. Stała mu na oczach ciągle, mieniając się w potwory różne, tak, że osłabłym odwieziono Pawła do domu.

Czasem przez dni kilka nie ukazywała się wcale, Paweł śmielszym się stawał, sądząc, że koniec przyszedł tej męczarni. W tem, gdy się najmniej spodziewał, zjawiała mu się na drodze, w lesie, u przewozu, w kościele, a stawała tak, iż widzenia jej nie mógł uniknąć.

Wzrok jej miał siłę taką, że Paweł spotkawszy go, oczu już od niej nie mógł oderwać.

Chociaż nie było jej czas jakiś, trwoga szła za nim ciągle, ogłądał się, zdawało mu się, że ją postrzega, choć jej nie było.

Widział ją we snach, zrywał się nocami, na czeladź wołał, a ludzie wbiegłszy znajdowali go w pośrodku izby trzęsącego się, ukazującego na czarne kąty izby, w których nie oprócz ciemności nie było.

Niepokój ten, który go zmuszał szukać jakiejś namiętnej rozrywki, aby natrętne wspomnienie zagłuszyć, do spisków i knoń go podbudzał. Nienawisć do Bolesława i Leszka zwiększała się tem, iż nie im uczynić nie mógł. Chciał zemsty.

Na Ślązku u księcia Opolskiego, to we Wrocławiu, to w Płocku siedział, przeciw swym książętom knowając. Dość długo trwało to bez wyraźnego skutku, ubezpieczał się więc książę Bolesław, iż się nań porwać nie będą śmieli przyjaciele biskupi.

Próby przejednávania się ze strony książąt, zupełnie się nie powodziły. Na Wawel, gdy go do

zamku z kościoła ściągnięto, szedł ze słowy zjadliwemi i szyderstwami.

Spotykając Leszka przypominał więzienie swe i zamek w Sieradzu. Bolesława nigdy nie ominęło opowiadanie, jak go sznurami skrepowanego w wozie tłukąc wieźli druhowie księcia.

— To się pamięta—mówił— a póki człek żyw nie zabędzie!

Kińska nie mogła rozbroić anielską łagodnością i pokorą, Bolesław milezeniem cierpliwem.

I ciągnęło się tak lat kilka, czas nie zacierał, nie ułagadzał, ale jątrzył.

Coraz rzadziej, jakieśmy mówili, dawał się biskup zbliżać do siebie książętom, w końcu zupełnie zerwał z niemi. Ludzie biskupa z zamkowemi byli jak panowie.

Rycerstwo niemieckie i polskie Bolesława obrażone za księcia, odzywało się, iż gotowe jak Toporczycy, drugi raz Pawła uczyć, aby lepszym być, gdy pierwsza kaźń nie pomogła.

W mieście, w ulicach, gdy się dwa oddziały spotykały, rzadko się bez zaczepek obeszło, niekiedy do mieczów się zrywano.

Gdy w gospodzie, gdzie jedni się z drugiemu potykali, a poszły skargi, czy na Wawel, czy do biskupa, odgrażano się.

— Tego jeszcze mało.. to dopiero początek. Co dalej, to lepiej będzie.

Powoli biskup starał się ku sobie ziemian przygarniać i nowe mieszczaństwo krakowskie, które po najazdach tatarskich i zniszczeniu miasta, napływało tu ze stron różnych i osiadało.

W grodzie samym już teraz ziemianie krakowsy i rycerstwo miru tego i mocy nie mieli, co za

dawnych czasów. Coraz więcej Niemców, Ślązaków, rękodzielników, osadników powołania różnego, gromadziło się tu na osobnem prawie swem siedząc. miasto zagarniając i rządząc się po swojemu.

Było już naówczas widać, co się wkrótce potem objawiło dobitniej, że Kraków a ziemia krakowska stały się dwiema rzeczami różnemi. Ziemianie czuli się tu prawie gośćmi, gdy niedawno gospodarzami byli.

Niemcy tak tu, jak po innych miastach większych, zwłaszcza na Śląsku, garnęli wszystko pod siebie. Tubylców starych mało było, a ci ani bogactwy, ani zapobiegliwośćią przybylców sprostać nie mogli.

Wprawdzie Niemców tych więcej po stronie Bolesława stało, który ich tu osadzał, niż biskupa co obcych nie lubił.

Kraków na tatarskiem zgłiszczu budował się inaczej, zmieniał, rosł, mocniej obwarowywał, lecz dawne swe tracił cechy i do miast niemieckich coraz się podobniejszym robił. Biskup rzadko tu siedział, zbyt na widoku nie chciał być, nie narękę mu było, gdy przybywających doń ludzi liczono, wytykano i każdy ruch jego śledzono.

Wolał w Kunowie, albo innej wsi kościelnej gościć, bo tam swobodniejszym był, wymykając się na dni kilka i kilkanaście pod pozorem łowów, Bóg wie dokąd.

Złe języki powiadały, iż naówczas w świeckich sukniach, pod obcym jakimś imieniem widywano go na dworach Śląskich, u mazowieckich książąt, na granicach Litwy.

Przybywali też do niego do Kunowa tacy ludzie, których nie znał nikt. Książęta jacyś zupełnie obcy, w osobliwych strojach, mówiący językiem niezrozumiałym. Tych on przyjmował wspaniale, na rady się z nimi zamykał. Nie byli to Niemcy, bo tych naówczas znano i poznawano łatwo, lecz... jacyś poganie chyba z nad granic.

Ludzie ich i oni wyglądali obco i dziko.

W Kuuowie biskupowi i dla tego lepiej było, że się z szaloną, jak zwano Biętą nie spotykał. Dozorujący dworn i lasów pilno mieli zaleconem śledzić czy się gdzie nie ukaże, ale dotąd w okolicy jej nie widywano.

Przez kilka miesięcy Paweł jej nie widział wcale.

Uspokajało go to, myślał, że chyba zemrzeć musiała, uwalniając go od nienawistnej trwogi. Zonia, która wszędzie za nim, jako gospodyni jeździła, potwierdzała to przekonanie, iż się jej nareszcie pozbył.

Śmielej począł ks. Paweł wyjeżdżać na łowy, nie obawiając się już tak bardzo spotkania z nią.

Było to jakoś jesienią, gdy dnia jednego pod wieczór razem z Krukiem, nieodstępującym go, zapędzili się w las i zbłądzili.

Kruk w lesie źle sobie radę dawał, tak, że częściej biskup jego niż on pawa wyprowadzał z ostępów. Dnia tego jakoś i sam Paweł drogi wynaleźć nie umiał, poczynano zmierzchać.

W puszczy błędząc, przypadkiem już tylko, a jak biskup mówił, szczęściem jakimś natrafili na ścieżynę, na której ślady wozów i koni widać było. Musiała więc do jakiejś prowadzić osady. Jechali wolno, psy szły za nimi z wywieszonemi językami, upatrywali tylko rychło-li się dym lub chata ukaże, gdy na drodze znalazł się strumień.

Jeden to był z tych wielu, które za pogańskich czasów świętami się zwały, bo u ich brzegów uroczystości się odbywały, a ludzi wody ich leczyły. Tam, gdzie dawniej leżały kamienie i znaki bożyszczy pogańskich, później księża stawiali kapliczki i krzyże, bo ludzi od chodzenia do wód odzwyczaić nie było można, więc wolano miejsca te znakiem Bożym uświęcić.

I tu też zdala postrzegł biskup malusienką drewnianą kapliczkę z krzyżykiem na dachu, około którego mnóstwo łachmanów wisiało, co je chorzy z sie-

bie pozzrucali. O mroku nie dostrzegłi nic więcej, aż dopiero zbliżywszy się, ujrzał biskup postać jakąś stojącą przed kaplicą, jak gdyby nań oczekiwała.

W długiej sukni czarnej i zasłonie na głowie, wydawała się niewiastą, a biskup zobaczywszy ją, zadrżał. Przypomniła mu Bietę przekłętą.

Nie wstrzymał jednak konia, nie chcąc rzucając się w bok okazać obawy, choć Kruk jadący za nim, syknął. On także zląkł się, czy nie owa szalona była.

Zrównawszy się z kapliczką, ks. Paweł spojrział w bok, gdy w tem czarna niewiasta konia powolnie idącego za cukle chwyciła i znany ów straszny śmiech się rozległ.

Wierzechowiec biskupa stał jak wryty, choć bodzony ostrogami, Kruk przełękły w bok na gąszcze się rzucił.

— Dawnom cię nie widziała! — odczwala się Bietta. — Myślałeś, żem zapomniała lub przebaczyła? Nie, leżałam chora, nie umarłam i otom jest! otom jest!

Nie odpowiadając, Paweł konia napierał, chcąc ją wyminąć. Drżał z gniewu i ze strachu.

— Posłuchaj mało! — rzekła — posłuchaj! Knujesz zdradę! Kumaszą się z wrogami... ja wszystko wiem! Jeździsz do nich, nocami się włóczę do ciebie. Ogień i miecz gotujesz na swoich książąt, chcesz wyganiać, obcych prowadzić! Czyń tak! czyń. Znowu cię powrozami skrepują i do więzienia wtrąca! wtrąca!..

Ja się wproszę do kuny... noc i dzień śpiewać ci będę nad głową.

Cha! cha!

Puścila cngle koniowi.

— Jedź! jedź! znajdziemy się. Gdzie ty, tam i ja! Gdybyś do piekła uciekł, ja pójdę za tobą.. bom ja twoja! twoja! Jedź! powtórzyła za uchodzącym. Nie ujedziesz odemnie. Ja z tobą!!

X.

Pustą a dziką i smutną a piękną, jak wszystko co z rąk Bożych dopiero wyszło, a ludzie jeszcze popsuć nie mieli czasu, była Litwa za onych czasów.

Milami lasów trzeba było jechać do osady, do gródka, do chaty w ziemię zarytej i zagrody kamieniami a gałęzmi obrzuconej.

Gdzieś tam u brzegów rzek, u spływu dwu wód, na cyplu śpiczastym, wznosił się zameczek z olbrzymich kłód w zrab zarzucony... podobny do ofiarnego stosu.

W dolinie u rzeki wysuwał się szereg domków długi, niby obozowisko przyległe do ziemi.

Mało gościńców biegło tym krajem co się lasami i błoty jakby twierdzą opasywał od napaści. Puszcze stały jeszcze tak jak urosły, gdy ziemia osychała, mnogie jeziora i stawy, jak je powódź przedwieczna uchodząc zostawiła, a po polach i łąkach bryły kamieni, które niegdyś lody i morze z północy tu przygnały, spoczywały na ziemi obeej smutne przybłądy.

Pustynia ta wszakże żywą była i zamieszkaną, bo ją tysiące zwierza zapełniało, na sosnach pszczoły w dziuplach składały miody, pod niemi w łonach gałęzi i liści gnieździł się meszka, nad łbem jego biegały wiewiórki, pod nosem przemyskał się lis ostrożny. Nie było tu stopy ziemi, któraby nie miała mieszkańca. W ciepłych borach było im jak w chacie, a żer nie potrzebował iść daleko, sąsiad się żywił tem kogo miał pod bokiem.

Lata upływały tak w nieprzerwanym spokoju i chyba piorun las zapalił a wiatr pożar poniósł po nim, naówczas ruszało się wszystko i strach było spojrzeć jak cała ta gromada leśnych gospodarzy

razem przed ogniem uchodziła, nie myśląc o starych waśniach ni zemście.

Płomień gnał razem naówczas żubry, łosie, stada kóz, niedźwiedzie i borsuki, żbiki, lisy i zające w jedno stado zbite, oszalałe, ryczące, aż gdzieś w poprzek ognia stanęła rzeka. wstrzymała pożar a ocalała zbiegów którzy na drugim brzegu wracali do dawnych zatargów i wojny.

Lasy! Czem były owe dawne lasy przy dzisiejszych skarłatych swych potomkach! Sosny, których wierzchołka trudno dojrzeć było, dęby co strzelały jakby kamiennym słupem ku niebu. Brzozy nawet dziś rozpieszczone i płaczące, naówczas jak strzały wyprostowane, z korą popadała i zezerniała, pięły się w górę dumne, aby drugim sprostać.

Wiatr co wstrząsał wiebrami tych olbrzymów, rzadko mógł sięgnąć do puszczy głębi. Lecz jeśli wdarł się przemocą jeden z tych, co młynem idzie w powietrzu i wody wypija i piaski zamiata w górę, wówczas wylom zrobiwszy obalał obszary całe i stosy nkladał jak góry.

Puszcza była cała niemal Litwa ówczesna niedostępna i straszna, a starsze drzewa, olbrzymy, stały za hogi, bo tu z drzewa żył człowiek. Ono dawało wszystko, chatę, opał, schronienie pszczole, zwierzęciu pokarm, człowiekowi obowie, wóz, pałkę.

Na skrajach od ziem cudzych, od Rusi, od Krzyżaków. co już mieczem i ogniem się rozpościerali, inaczej wyglądały rubieże i popalone, zniszczone i zgniecione, ale czem dalej w głąb, tem uroczystsze panowały pokój i cisze. Zakąty były. do których żadne obce nie dosięgało oko. nie doszła stopa. Otworem one stały, bezbronne, lecz w te ciemnie, tajemnicze przepaście, któżby się śmiał zapuścić.

Pogańska jeszcze Litwa, znała przecież swych sąsiadów i ich wiarę, z ruskimi kniaziami się kumano chodząc do nich i ściągając ich ku sobie. Mazowieccy książęta zaczynali też szukać przyjaźni litewskich

kunigasów. A było ich naówczas wielu na gródkach różnych, tak prawie jak w Polsce, bo potężnej dłoni Mindowsa króla nie stało, a syn jego mnich Wojsiełk, już był zabity. Łupem ich podzielili się ci co na działach siedzieli, i tak jak w Polsce jeden ziemię wydierał drugiemu.

Religia chrześcijańska i chrzest szedł tu od Rusi, bo miecze krzyżackie jeszcze miały do czynienia z Prusami, które krwią nawracały.

Kunigasy litewskie to się potajemnie dawali oblegać w białą szatę chrześcian, to ją rzucali. Nad niemi wszystkiemi stał jeszcze potężny Krywe-Krywejto Arcykapłan i władca, ktéry po za sobą miał lud wszystek. Wejdałotów jak wojsko i wejdałotki. Jawnie krzyż się tu jeszcze nie śmiał ukazać, bo choćby go lud leśny ścierpiał chwilę, przychodziła szala godzina, rzucił ktoś słowem straszem, burzono kaplice i zabijano ich sługi.

Na tej ogromnej płaszczyźnie przeciętej srebrnemi rzeki i jeziora jak drogie błyszczącemi kamienie w złotej piasków oprawie, tu i owdzie wznosił się prastary dąb Perkunasa, obwiedziony tynami, obwieszony oponami, z wiecznie dymiącym ołtarzem ognia niewygasłego i białemi kapłanki. Po nad drogami stały kamienie dziwacznych kształtów, nieme bogi, słupy z powbijanemi bałwany, które dziwactwo przyrody spłotło z gałęzi lub korzeni.

U strumieni zbierano się i modlono.

Wielkie osady całe przy ziemi siedziały na kupkach kamieni, z bierwion drzewa sklecone. Le-dwie gdzie kunigasowy gródek miał kawał muru albo bielszą ściankę. Niepozorne te budy i szalasy w swych wnętrzach kryły jednak wszystko prawie co ów wiek miał najwytworniejszego.

Przypływały do brzegów morza statki, które niosły towar z daleka, gościńcami od Czarnego morza chodziły od prawieków karawany z kupią na te wśród pustyni targowiska. Nie brakło tu ani zbroi,

ni żelaza, ni miedzi hartownej, ni szat złotem prze-szywanych. Lecz po chatach i między ludem gardzono temi bogactwy tak, jak się wzdrygano wszy-stkiemu obcemu.

Od obcych przyjść miała niewola, a tu pano-wała owa swoboda wiekuista pustyni, którą dawały przestrzenie. Do głębin lasów ani ręka Kunigasa, ani Dziecocy jego dosięgnąć nie mogli. Roli wydzie-rano mało; las dawał miód, mięso i grzyby, rzeka rybę. Nieżyzna rola gdy ją popiół spalonych drzew zasilił, rodziła rok lub dwa, a potem jałowiała i za-rastała lasem.

Pół dzikie to życie, miało całkiem dzikich obroń-ców. W lasach siedzieli ludzie ukolysani baśniami i podaniami odwiecznymi, pieśnią mytycznej ojezy-zny, ze wspomnieniami słonecznymi dawnej kolebki.

W zapadłych ziemiankach życie się snulo pa-triarchalne, czyste, opromienione miłością rodzinną, związane ojcowską władzą, a przesnuwało się jak marzenie, jeżeli go wróg nie zakrwawił.

W lasach brzmiała piosenka świeża, wonna, urocza, słiczna jak dzikich pól kwiatek, którą poko-lenia tworzyły, do której każdy coś dodawał, której wieszczem były piersi wszystkie, twórcą wieki.

Obcy ludzie widzieli z tej Litwy ukrytej, dla nich niedostępnej, tych tylko co szli jej bronić zaja-dle; brodatych ludzi w czapkach spiczastych z usza-mi, z palkami u pasa, z maczugami w rękę, z pro-cami i łuki, koźuchami okrytych, skórzniami okutyh, krwi cheiwyh i oszalałych, bo domów i rodzin bronili.

Sięgnąć było potrzeba do głębi, aby prawdziwą Litwę, spokojną prządkę życia zobaczyć, siedzącą u Niemua z piosnką na ustach. Tej nikt nie znał. Mówiono o Litwie jak o tych Jaćwieżach, których wytępiono, gdy się w swem gnieździe rozpaczliwie bronili, barbarzyńcy są.

Rzadko naówczas poważyl się kto w tych puszczech wnętrza, a i posłom za życie trudno ręczyć było, bo

jak zwierz co szczeniąt swych broni, Litwin, który napaści wrogie pamiętał, zrywał się na dźwięk mowy nie swojej i rzucał się krwi cheiwy na tego co mu wydrzeć miał odwieczną siedzibę.

Przecież jednego poranku na początku zimy, w lasach, które stanowiły nie dobrze określoną litwy granicę, ukazała się gromadka zbrojnych ludzi, którzy choć byli tak przybrani, że ich po kożuchach i kołpach trudno poznać było z kąd ciągnęli, baczne okn nie mogli się Litwinami wydawać. Było ich koni więcej pół kopy, a w pośrodku jechał mąż już dobrze nie młody, silny jeszcze, dobrej tuszy, z twarzą od chłodu zarumienioną. Oblicze jego dumne było a odwagą nacechowane, oko patrzyło z góry i śmiało.

Choć w ubiorze nie miał na sobie nic, co by wodza oznaczało, widać było, że on między nimi przewodził. Oglądali się nań wszyscy. Poczet ten konnych stanął u kopca wpośród lasu u starego dębu, na którym świeżo znak był jakiś wycięty.

Temu granicznemu piętnu, wyrzezanemu głęboko w korze, wódz się przyglądał ciekawie, bo było podobnem do krzyża, tylko ramiona jego u góry zagięte, pochyłały się wszystkie na prawo, i krzyż jakby przerywanem obwodziły kołem.

— Toż nasz znak! — zawołał starszy oglądając się, a oto mogiła! Tu więc czekać trzeba, póki się nie zjawia.

— Jużci gdy przyobiecał a nas tu przywiódł, odparł mniejszego wzrostu drugi za nim jadący mężczyzna z bródką czarną, rozglądając się dosyć bojaźliwie do koła—ale za pogan ręczyć nie można, czy zdrady nie knują. Nuż nas w pułapkę chcą ściągnąć? My się tu w pół kopy mieczów temu poganstwu nie obroniemy, gdy celną do koła opasze.

— A cóżby im z tego przyszło?—odparł pierwszy. Łupn by się na nas nie dorobili wielkiego!

Nie dokończywszy spojrzeć ku lasowi, ale ztamtąd słyhać nie nie było.

Gromadka owa ściśnięta dosyć szczelnie, stała, mając się na baczności, choć dowódzca zdawał się spokojny. Gdy cokolwiek zaszeleściło w borze stawiano ucha, mimowolnie chwytając za miecze u pasa. Ale tententu koni, którego się spodziewano i obawiano, razem słyhać nie było.

Upłynęła tak więcej niż godzina. Wódz kazał sobie napoju jakiegoś utoczyć z baryłki, którą jeden z ludzi wioził pod koźchem. Mruczełi drudzy po cichu, a im dłużej czekano, tem większa obawa zdrady się rodziła. Słońce na bladym, zimowym, wypogodzonym podnosiło się niebie, nic jeszcze się nie ukazywało.

Nareście jeden z ludzi dał znak, on pierwszy daleki tentent uchwycił. Wszyscy poprzykładali do uszu ręce. Coraz wyraźniej w głębi lasu szumiało.

— Jada! — zawołał czarny, na pół z obawą, pół z radością.

Wódz nie nie odpowiedział.

Niektórzy znów instyktowo się do mieczów mieli. Bieg koni po zmarzłej ziemi rozeznac już mogli. Usiłowano z niego liczbę koni odgadnąć.

— O! ho! szepnął jeden, będzie ich tam z pół kopy, kiedy nie więcej.

Stali czekając w milczeniu, gdy z po za drzew przodem jadący pokazał się młody, piękny mężczyzna, na dziarskim małym koniu.

Kołpaczek miał na głowie futrzany, którego spiczasty wierzch zwieszał się naprzód, a dwa u uszów końce na ramiona mu spadały razem z jasnymi włosami, z pośrodku których rumiana, okrągła, z czołem wypukłym twarz patrzała, mimo młodości siłą wielką i odwagą uderzająca. Oczy niebieskie na pozór słodczy pełne, miały w wejrzeniu coś takiego, co zwiastowało, że i okrutnymi być umiały. Usta małe dookoła obsypane puchem złotym, dumnie podniesione,

śmiały się dziko, straszno, choć może wesołemi być chciały.

Wódz konnych zobaczywszy nadjeżdżającego młodziana w kożuszkę sobolowym, w pasie nabijanym, z łukiem okutym na plecach i trąbką kościaną, wysunął się naprzeciw niego i ręką od czapki go pozdrowił.

Tamten też podobnie go witał.

Za nim ciągnący widać było oddział.

Dosyć liczny na małych konikach kosmatych w kożuchach i czapkach wysokich, zbrojny w luki, proce i krótkie pociski drewniane, wiszące jak kločki, lub za pasy pozatykane.

Dwa oddziały opodal zostały od siebie, bo ten, który przybywającemu towarzyszył, zatrzymał się w lesie, jakby mu to wprzód nakazano.

W pośrodku między niemi zjechali się wódz i młodziebiec, cichą rozpoczynając rozmowę.

Nie trwała ona długo, porozumieli się wprędce, wódz dał znak swoim, aby za nim jechali. Ale w chwili, gdy się już ruszyć mieli, młody pochylił mu się do ucha i żywo mówić coś zaczął. Zatrzymano konie.

Starszy wódz chwilę się namyślał tylko, po wtórnie znak dał, aby ludzie jego stanęli.

— Kruk! — zawołał do czarnobrodego — nie potrzeba mi was. Zostańcie tu i czekajcie na mnie. — Jadę sam.

Jeden ze starszych rycerzy, syknął.

— Sam! a bezpiecznież to?

Uśmiechnął się wódz pogardliwie.

— Niebezpieczeństwo równe w pół kopy, jak jednemu — rzekł, a może większe, gdy nas kupa będzie.

Jadę sam!

Z podziwieniem spojrzeli po sobie ludzie, gdy to posłyszeli. W istocie potrzeba było odwagi, aby się samemu zdać, prawie bezbronnemu w ręce nieprzyjaciół.

— Ręczę za bezpieczeństwo waszel — zawołał młody po rusku, bijąc się w piersi. Jadąc gromadą niepotrzebnie ludzi oczy ściągniemy.

Wódz starszy popatrzył nań i dodał:

— Jedziemy więc! Nie na wieleby wam się zdało wziąć mnie albo ubić, z wolnego i żywego weźmiecie więcej.

Skinał głową ku swoim mężny człowiek i dał koniowi ostrogę

Pozostali u skraju lasu z niejaką trwogą za odalającym się patrzali.

Tymczasem dwaj jeźdźcy już się w puszcę zaszli, a za nimi oddział co przybył z młodym Kunigasem ruszył, cheiwemi i szyderskimi oczyma mierząc obcego człowieka, który za ufnie dał się im w ręce. Myśleli, że dobronuszy, a łatwowierny pewnie już więcej do swoich nie wróci.

Droga wiodła ich z początku borami, wśród których z doskonałą znajomością kierował się Kunigas młody. Zwracał, objeżdżał oparzeliska, wybierał las przerzedzony. Oba konie szły dobrym klusem. Z rzadka jadący obok przemawiali do siebie.

Starszy jechał nieco zasępiony i chmurny, gdy towarzysz jego przeciwnie twarz miał uśmiechniętą i wesołą. Dobrych dwie godzin trwała ta jazda śpieszna, gdy Kunigas zwolnił kroku.

— Koniom się dać trzeba wysapać — rzekł.

— Daleko jeszcze? — spytał stary.

— Wprędce staniemy u celu — odparł młody. — Nie chciałem was daleko od granicy odprowadzać, boby podróż za długo trwała. Jest tu mały gródek, gdzie się wszyscy zbiorą.

— A wielu was tam będzie? — zapytał stary.

— O! jest nas dużo! — rozśmiał się Kunigas — Ja sam z moimi ludźmi siły bym nie miał dosyć, aby ją wywieźć w pole daleko. Gdy nas kilku się zbierze, ludu znajdziemy tysiące, a wszyscy tacy co u granicy siedzą i na wycieczki gotowi.

Kraj u nas teraz podzielony, my wszyscy nim, każdy na swą rękę rządziemy. Nie chcemy mieć już nad sobą takiego, co by nas za lby trzymał, a kazał bić się i krew lać dla siebie.

— Tak i u nas jest—odparł starszy.—Niewiem czy wam z tem dobrze, ale gdy wróg grozi potężny, rozbijać się na małe kupki niebezpieczna.

— Kupki do gromady zbić łatwo—odparł krótko Kunigas.

Wyjeżdżali z lasu na pagórek piaszczysty. kamieniami usypany, który wysoki brzeg rzeki stanowił. Przed nimi ów zapowiadziany gródek widać było na wzniesieniu małym, nagim, sterczący jak wał ziemny, z po za którego wielki budynek drewniany, niezbyt wysoko wyglądał.

Na żerdziach wbitych w ziemię, z jednej strony płachty się jakieś wahały, jakby pasowate chorągwie.

Stary wlepił oczy ciekawie w to lice gniazdo przylepione do pagórka, a w twarzy jego malować się musiało lekceważenie jakieś, bo Kunigas rzekł żywo:

— Nie zważajcie, że to niepocześnie wygląda. Toż nie zamek żaden, czata tylko nad granicą, nocleg dla ludzi, spiżarnia. Gdyby na nas napaść chciano, gdzieindziej byśmy się bronili.

Przystęp do gródka nie był łatwy. Przez trzęsawice wiodły bacie, przez rzeczkę most lichy, który łatwo zrzucić było. Trząsał się on pod nogami koni i kołysał tak, że strach go było przebywać. Gdy na pagórek się wspięli, zobaczyli wrota otwarte, a w podwórzu wałem otoczonym, dość koni i ludzi, podobnych do tych, którzy im towarzyszyli.

Po nad budynkiem w pośrodku zbudowanym z kłód ogromnych, dym unosił się gęsty.

Stała ta szopa zasiekami dokola z podobnych grubych bierwion opasana, w drugim podwórzu, a nie miała w sobie tylko jedną wielką izbicę. Przed nią u słupów dębowych co dach wystający do kola trzymały, zsiadli z koni, i weszli do środka szopy.

Ciemno tu było choć we dnie, trochę światła wpuszczały tylko drzwi stojące otworem.

W samym środku kamieniami obłożone paliło się ognisko wielkie, płomieniami jasnymi, a nad niem ludzi kilku piekli całe udźce i rozpolowione kozły dzikie.

Do koła na kamieniach, na belkach, siedzieli i stali ludzie różnie poodziewani, zbrojni jak młody Kunigas, twarzy posępnych i groźnych. Kilku z nich naprzód wystąpiło, reszta się w głąb szopy cofnęła.

W kozuchach pięknych, dostatnio okrytych, w kołpaczkach ze spinkami, z mieczami u pasa, ozdobnemi, wyszli naprzód ci, którzy tu pierwszemi być musieli.

Dwaj z nich byli już siwi i ci się dalej trochę i nieprzystępnie trzymali, reszta ludzie młodzi, ciekawi, zobaczywszy obcego człowieka, żywo się posunęli ku niemu.

Kunigas, który mu w drodze towarzyszył, na głos odezwał się po litewsku do swoich, wskazując na gościa. Witano go niebyt przyjaźnie, z niedowierzaniem, spoglądając nań dziko, ale z wolna zbliżać się zaczęli wszyscy.

Posiadali na kamieniach leżących przy ognisku, z których kilka nmyślnie było skórą wyszarzane-mi okrytych.

Człek z krótko ostrzyżoną głową, wysunął się z za ognia, przynosząc dzbanek i kubki. Nie były to sprzęty wytworne, dwa z nich ze srebra kute grubo, inne z drzewa czysto odrobione, a we środku smolą wylane.

Gospodarz młody podniósł pełny kubek, zlał z niego trochę na ziemię, szepnął coś klaniając się gościowi, inni też zwracając się doń, do ust kubki poprzykładali i pili.

Nie wszyscy spełnili to ochotnie. Niektórzy zaledwie umoczywszy usta, wciąż się przyglądali Lachowi. Czekano widocznie rozmowy.

Kunigas młody odezwał się po litewsku, iż przybysz tylko ruską mowę rozumieć. Poszeptali starzy, zgodzono się na nią.

Stosunki z Rusią i Krzywiczami język ten na Litwie wielce już rozpowszechnił, rozumieli go prawie wszyscy, zwłaszcza starszyzna z różnemi ludźmi do czynienia mająca.

Młody więc po rusku zaczął.

— Zapraszają nas na Łacką ziemię iść, ale nie samymi. Posilkować będziemy ich Kunigasami własnym, którzy tam między sobą zwadę mają, a sami nie dosyć są mocni, aby ją rozsiekli własnym mieczem.

Starsi potrząśli głowami. Jeden z nich, co kubek pełny trzymał, zamruczał:

— Iść to iść... ale samym lepiej i bez przy mierzał. Znamy my ich wiarę i przyjaźń! Wprowadzą nas w pośrodek... aby potem otoczyć i wysieć.

Ręką znak zrobił ku ziemi.

— Nie trzymajcie o nas tak źle — odezwał się przybyły. — Gdy słowo damy, strzymamy je, jakby było przysięgą. Łup jaki weźmiecie w bydło i w ludziach, do was należeć będzie bez podziału. Pójdziecie z książętą, których znacie.

— Otóż, że ich znamy — sprzeciwił się stary Kunigas dla tego z niemi nie bardzo iść chcemy. Konia z krową do sochy nie zaprzęgać, ani wilka z baranem, ani...

Słów mu zabrakło... ręką zamachnął.

Drugi go uderzył po ramieniu dając znać, że mówić chce. Pochylił się ku gościowi.

— Gdybyśmy i szli — rzekł — dla waszej sprawy, na waszej musimy być strawie. Za pomoc trzeba zapłacić, bo łup niepewny, a za niego my żywot dawać musimy. Krew się poleje.

Mówcie ile grzywien srebra dostanie z nas każdy?

Na to pytanie gość zadumany nie zaraz mógł odpowiedzieć. Inni Kunigasowie pochwalając ten wa-

runek, głosami sobie zuak dawali i w milczeniu na odpowiedź oczekiwali.

— Damy wam i grzywny—odezwał się po namyśle gość—damy, ale wiedzieć potrzeba za co? kto i wiele przyprowadzi ludzi. Na sotnie policzemy ich i na nie grzywny podzielim.

Wszczął się spór po litewsku między Kunigasami o grzywny.

Młody gospodarz i gość milczeli, dając się starszym między sobą rozprawić. Do zgody było daleko.

Tymczasem stoły ladajakie ustawiać przed nimi poczęto, i znosić na nie mięso, miski ze strawą, kolacze, które przywieziono gotowe.

Niektórzy głodni nie czekając, brali się do nożów z za pasa, mięso krając i razem spierając się burzliwie. Na poważnego gościa, choć wiedzieli, że znaczny człek być musiał, nie uważano wiele. Obcy był, znali go tu, ale wstręt czuli ku niemu i z tem się nie kryli.

Stary Kunigas Gedrotas odezwał się do swoich po litewsku, wiedząc, że języka tego obcy nie zrozumie, wskazawszy nań palcem.

— Jak jemu wierzyć, kiedy on swych braci zdradza i przeciw nim nas najmuje? Nie ruszemy się bez grzywien.

Postawiono jadło przed przybyłym, który choć bardzo nasluchiwaniec był zajęty, dobył też dużego noża i kubek wychyliwszy, zabrał się do jadła ochotczo. Oczywiście jednak biegał po Kunigasach, którzy na niego pilno patrzali.

Spierano się, kto ile koni i ludzi dać może, i jaki lik mogą wyprawić litwini.

Zaczęli się rachować z różnych grodków i małych dzielnic, po dwieście, pięćset i po więcej głów każdy.

Potem rzekł znów Gedrotas, że w malej kupie iść, choć z posiłkiem, niebezpiecznie było dla zdrady, że kilka musieli zebrać tysięcy, aby korzyść odnieść i nie lękać się nikogo.

Przybyły gość, młodemu Kunigasowi, który mu to tłumaczył, rzekł, że choćby tysięcy kilka radzi przyjąć książęta, byle mężnego i dobrze zbrojnego ludu.

Starsi książęta dość niechętnie zbierali się na tę wyprawę, więcej ona młodszymi smakowała, uśmiechali się i szeptali po cichu.

— Jest się czem pożywić w ich kraju. Niemców tam dużo siedzi... to ludzie zamożni, skrzynie u nich pełne. Dziewek i chłopców zdrowych w niewolę nabierze się dużo. Tatarzy tam na nich najwięcej lasi, jeńcy z polski najdrożsi.

Kubki wesołość rozbudzały, ale gość siedział chmurny. Pilno mu dokończyć było umowę, oglądał się na drzwi, czy dnia dosyć na powrót zostanie. Młody gospodarz chciał także przyspieszyć koniec, zaczęto więc na kijach nożami rzezać i karbować ile się ludzi zbierze... aby się o grzywny unawiać.

Powolnie dosyć i bez sporu godził się na wszystko przybyły.

Zapijano przyjęte warunki.

Szło tak wszystko rażno i dobrze, gdy gość siedzący na kamieniu, po izbie ciemnej wodząc oczyma, teraz, gdy lepiej już widział w tych mrokach, spostrzegł naprzeciw siebie stojącego kogoś i drgnął jakby rażony.

Z drugiej strony ogniska, z poza dymu spoglądała nań twarz blada, uśmiechem skrzywiona, niby zrana a nieznajoma.

Zdawał się to być młody człowiek, choć twarz miał zmęczoną i starą. Czarne oczy ogromne wlepił w siedzącego śmiało i groźnie, a uśmiech złośliwy dzierżał mu usta.

Nieznajomy ten zmieszany był z czeladzią i jakby do niej uależał odziany, biskup raz i drugi spojrział nań, zawsze oczy jego znajdując wlepione w siebie.

Wzrok ten był jakby mu znany. Postać z za dymu krzywiąc się, wyzywając, patrzała nań ciągle.

Nie mogąc wstrzymać jej wzroku, poruszył się z kamienia.

— Kończmy! proszę! — odezwał się żywo do młodego Kunigasa. — Grzywny zapłacim, gdy staniecie gotowi. Możecie przybyć po nie do mnie.

To mówiąc, po cichu coś jeszcze do ucha dokończył Kunigasowi, i nie spokojny za ogień patrząc na czarne szyderskie oczy, zapytał go nieznacznie w stronę ich wskazując.

— Kto tam stoi?

— Tam? — odparł podnosząc głowę młody — cze-ladź nasza! Jeńcy pobrani różnemi czasy w stronach różnych! Kto wie jacy są?

Gość zamilkł, z za dymu oczy i człowiek znikły.

Zmierzchało — żegnać się zaczęto i szybkim krokiem, jakby go guano, gość wybiegł do konia, a w chwili potem tętniało już w lesie za niemi.

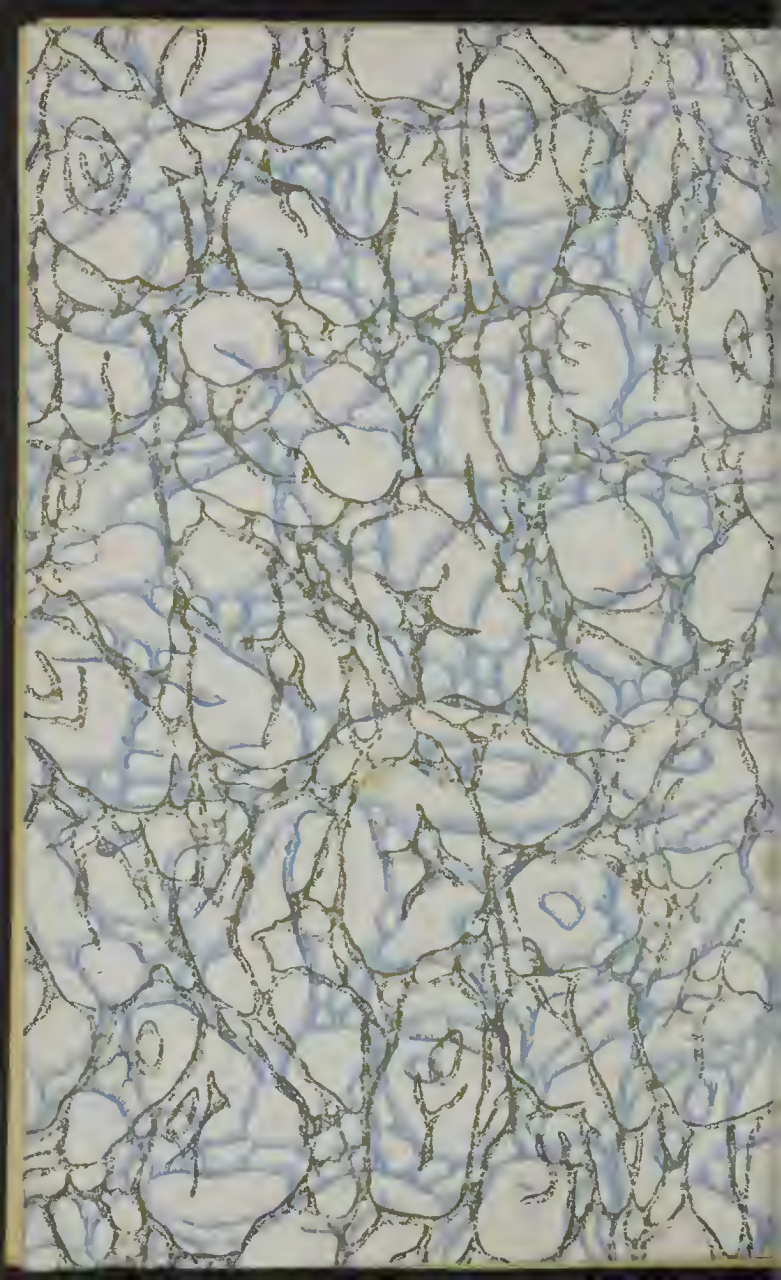
KONIEC TOMU DRUGIEGO

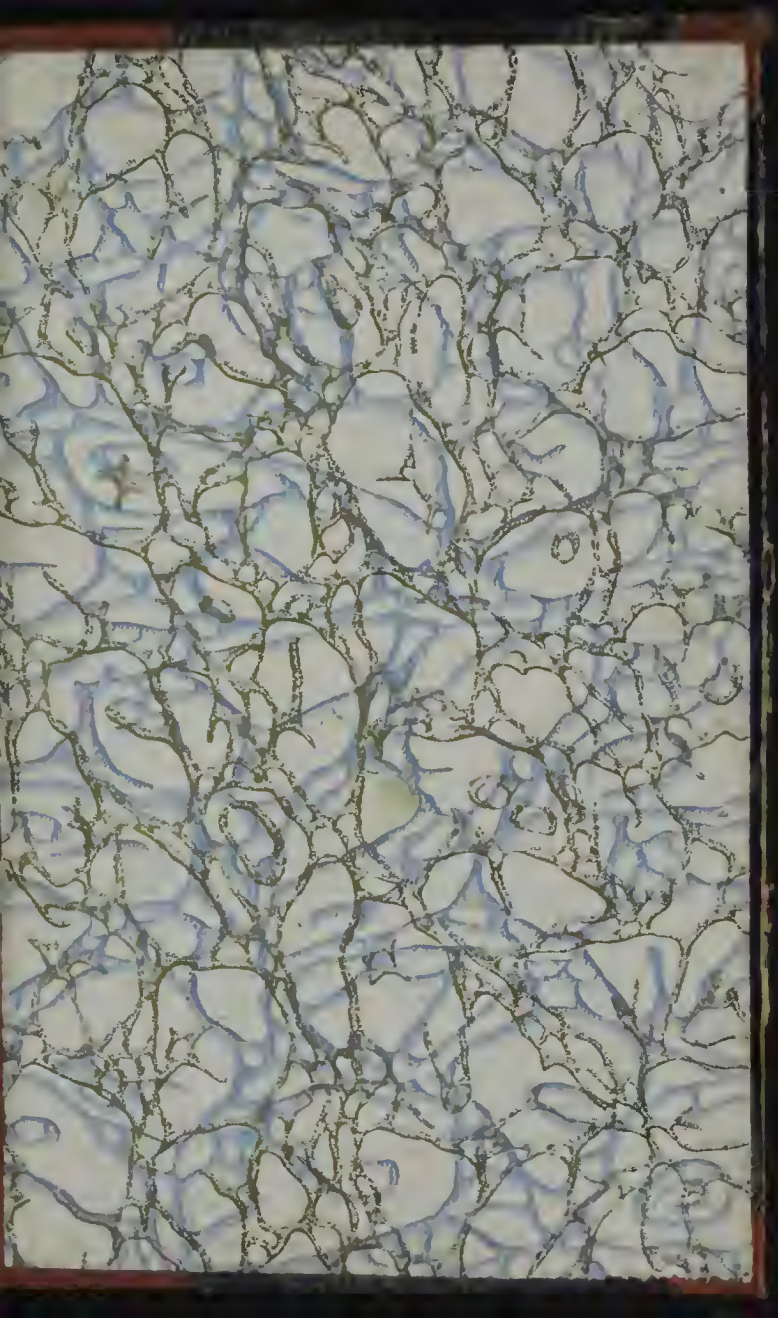


11-11-12-10

11-11-12

11-11-12





Biblioteka Raczyńskich

JIK 1406



JIK1406